



STEFAN GRABIŃSKI
SAD UMARŁYCH
I INNE OPOWIADANIA

Spis treści

[Strona redakcyjna](#)

[Kruk](#)

[Pirotechnik](#)

[Cud Żywii](#)

[Król Nenufar](#)

[Opowieść o grabarzu](#)

[Sad umarłych](#)

[Wezwanie](#)

[Czarna Wólka](#)

[Salamandra](#)

[Zielone Świątki](#)

Copyright © for the cover illustration Klaudia Najdowska

ISBN 978-83-936840-6-9

Skład i korekta: Paweł Dembowski
Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Wydawca:

Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Kruk

Z pamiętnika Kazimierza Brzosty

Złociste było popołudnie. Rdzawe, jesienną półmgłą przygaszone słońce zasuwawało szybę blasków w gęstwą drzew bez ruchu. Stały w glorii wierzchołki cyprysów, piły tęsknotę zachodu cmentarne lipy. Nerwowe liście osiki, białoziennych brzoź, tknięte czerwoną powodzią, drżały tajemnym szmerem, w łaskę przebogate. I cichy był cmentarz wieczornych przeczuć pełen. Osnute przędzą babiego lata krzyże przeżyły linie ramion, śmierci drogowskazy. Marmurowe grobowce, smukłe stele w wieńce przybrane, falą wstęg powiewne rzucały w dal cieniste kontury, a gry padł obraz i dłużył się czarnym zasięgiem, schylały się nad nim zdumione, w żalości nad sobą i dołą. Oblane ogniem krwi urny, pozgonne łzawnice nurzały w chwale życia uśpione popioły — zawartość wewnątrz; oddawały się późnym pocałunkom słońca grobowe dziewice, chłodne, bez skazy, przed żarem bezpieczne, co rodzić nie miały — w jesiennym pieszczocie...

Bezsilny wietrzyk, co wkradł się stamtąd przez bramę, igrał w żałobnych szarfach, że fruwały czarne: smutna zabawka cmentarnych godzin.

Gdzieś na gałązce jaśminu przekwitłej od dawna, zmartwiałej, ptaszek świergotał piosenkę — mały, biedny ptaszek. Wtem zamilkł spłoszony; od furty posuwał się pogrzeb i nucąc znikał tam w górze, gdzie topól tak wiele. *Salve Regina...*

Szedłem cienistą aleją w dwa rzędy klonów. Nade mną ściemniały błękit nieba, pod stopą złoty piasek. Szedłem cichy, w jesiennym tańcu liści, co szeleszcząc spływały po mnie ku ziemi. Schwyciłem jeden w przelocie, nim upadł uwiędły i położyłem na dłoni, a on ceglastym rumieńcem upstrzony wygiął się w kabłąk paroksyzmem bólu i przywarł końcami do palców. Rzuciłem liść chory na wolę wiatrowi: zakręcił się wirem, zatoczył pijany i wśliznął między inne w rozmiękkłe podglebie...

Podniosłem wzrok w górę, gdzie w odległej perspektywie schodziły się równobieżne szeregi i ukorzyłem oczy; tam słońce u skłonu wiązało szczerozłotym wrzeczadzem rozwarte pierzeje. Więc pokłoniłem się przed świetnym wrotnikiem, iż jasny był, w lśnienia wspaniały i skręciłem w ustronną ścieżynę. Stąd już niedaleko. Tam, za tą kolumną z pirytu, co ostro się stoży, tam jest jej grób. Tam idę. Na grób mojej Marty.

Mojej... Jak to dziwnie brzmi? Nigdy moją nie była i nigdy nie będzie. Ja tej kobiety nie znałem za życia, gdy była żoną innego. Przecież uważam ją za swoją. Dziś już łączą nas węzły tak silne, że nikt ich zerwać nie zdoła...

Usiadłem na ławce naprzeciw płyty grobowej w szczodrocie słońca. Nad mną odkrytą ze czcią głową powiał chłodny ciąg powietrza i uczułem na skroni dotknięcie jakby skrzydła. Ptak jakiś, opuszczając to miejsce, zaczepił mię nieuważnie w przelocie. Może siedział na szczycie jej nagrobnej steli, kąpiąc się w złocie zachodu? Nie wiem. Widziałem tylko jego cień czarny, gdy przesuwał się szybko nad ziemią.

Dziwny ptak! Ilekroć tu zachodzę, zawsze skądś z pobliza odlatuje. Nie widziałem go dotąd wyraźnie ani razu, jakby się przede mną ukrywał. Szczególny strażnik! Czasami myślę, że przesiaduje nad grobem bez przerwy dniem i nocą, pilnując umarłej; dopiero moja obecność spędza go z żałobnej placówki. Lecz zauważyłem to dopiero od pewnego czasu: pojawił się temu trzy tygodnie, tj. Po jednym z moich snów, które teraz miewam tak często. Gdy nazajutrz odwiedziłem grób, załopotał nade mną po raz pierwszy. Odtąd stale odlatuje za moim przybyciem. Widocznie moja osoba przeszkadza mu i dlatego jej unika. Jestem mu antypatyczny. Ptaki zdradzają czasem zdumiewające idiosynkrazje. Może grób ten wywiera nań, podobnie jak u mnie, jakiś przyciągający wpływ i stąd chętnie tu przesiaduje, dopóki ja się nie ukazę, by wypłoszyć go z ulubionego ustronia.

Bo zaprawdę dziwny to jest zakątek. Obrosły zewsząd gęstwą jaśminu, żywopłotem róż, zda się przybytkiem cmentarnej melancholii. Teraz już jesień — róże nie kwitną, jaśmin nie rozlewa przesłodkiej woni, tylko rząd cyprysów stamtąd od ścieżki, rozkołysany wiatrem, przydaje miejscu smutnego uroku. Lecz w lipcu, gdy byłem tu po raz pierwszy — szkarłatem grały różane krzewy, odurzał jaśmin; wtedy i kalina, ta z brzegu nad stokiem, co smutną teraz potrząsa gałęzią, schylała się nad grobem w czerwonym uśmiechu jagód — i czeremcha, choć już przekwitła, składała tu na gzymisie zieloną okiść liści, chwiejną wiatru zgięta...

Od razu przykuło mię miejsce. Poetyczne było, zadumy jakiejś pełne, w piękno wybudujące. Odtąd zaglądałem tu często, by spędzić całe popołudnia w zaciszu... Naprzeciw płyty nagrobnej jest ławka z oparciem — na niej siaduję.

Minęło lato, kwiaty przekwitły, powiędły róże i liść już pożółkniał — ja coraz częściej odwiedzam grób Marty. Teraz już wiem, że nie miejsce mię tutaj przynęca, lecz zmarła.

I dzisiaj pod zachód przyszedłem jak zwykle, usiadłem i patrzę na tę postać niewieścią za gęstym woalem z ręką na kruży i na tafli z marmuru u spodu z wyrytym nazwiskiem. Patrzę — i po raz już nie wiem który, czytam tych parę wyrazów:

*Tu spoczywa Marta ze Zbąskich Laskarys * 1865 † 1890. Przechodniu, wspomnij jej duszę w Twych modłach!*

Marta Laskarys — oryginalne nazwisko! Brzmi jakby z grecka. Rodzina dostojna — podobno wywodzą się od władców bizantyńskich. Stara krew. Tak więc nazywał się jej mąż. Czy żyje? — Tutaj nie spotkałem go nigdy — grobu prócz

mnie nikt nie odwiedza; i te astry późne, które tak cicho wstrząsają płatkami i chryzantemy jesienne, jeśli dotąd nie zwiędły, mnie winne są wdzięczność...

W tydzień po pierwszym popołudniu, jakie tu spędziłem, pociągnięty nieokreśloną siłą w cmentarne zacisze, miałem w nocy sen.

Zdawało mi się, że błądzę po jakimś parku, wśród alei bez końca, wędruję pomiędzy klombami egzotycznych kwiatów. Po czasie zaszedłem w partię odległą, ściślej określoną zwartymi ścianami krzewów. Wskutek właściwych snowi podstawień i krzyżowań, poczęło miejsce to z wolna zlewać się z ulubionym otoczeniem grobu Marty i powstał połowiczny zlepek, będący jednym i drugim. Wtedy ujrzałem Ją. Siedziała na ławce, patrząc na mnie z uśmiechem.

Od razu nabrałem przekonania, że kobietą jest zmarła. Pewność ta dodała mi odwagi i jak gdybym znał ją od dawna, przystąpiłem do ławki. Lecz zatrzymała mię gestem ręki, rzucając wkoło wylękłe spojrzenie. I ucułem, że się kogoś boi. Gdy błądząc wzrokiem, szukałem źródła jej obaw, nagle dostrzegłem gdzieś wyżej w jednym z okien wyrosłego w głębi jak spod ziemi pałacu parę ognistych fosforycznie czarnych oczu — nic, tylko tych dwoje wlepionych we mnie uparcie oczu. Dreszcz, który mimo woli przebiegł mię zimnym prądem, wydrożył ze snu. Obudziłem się z niezatartą pamięcią cudownych rysów pani Laskarys.

Odtąd niemal co noc widziałem tę samą zjawę. Marta uśmiecha się zawsze zagadkowo, jak przez woal, zawsze po najlżejszym z mej strony usiłowaniu przybliżenia się, zwraca trwożliwie głowę ku oknom pałacu. A tam niezmiennie spotykam już wpite we mnie groźne oczy. Gdy wreszcie raz zdobywszy się na odwagę, wbrew jej rozpaczliwym gestom, podszedłem ku ławce, widmo z pałacu nabrało momentalnie wyraźnych kształtów; od gładkich, lśniących szyb oderwała się biała maska o fosforyzujących oczach i przez krzewy szkarpów poczęła szybko zbliżać się ku nam: była trupioblada twarz mężczyzny z gęstym, czarnym zarostem... Odepchnięty gwałtownie rękoma Marty, zatoczyłem się jak pijany i zacząłem spadać gdzieś w dół...

Tegoż dnia po południu pojawił się na grobie po raz pierwszy ptak...

Tak żyję już od trzech miesięcy między jawą cmentarza a snem i nie pragnę zmiany. Dobrze mi z tym, dziwnie dobrze. Przebywam w szczególnym zawieszeniu między życiem a śmiercią, zadumany pośrednik dwu światów. Godziny płyną mi teraz tak spokojnie, tak cicho mijają złote popołudnia. Słodką jest melancholia grobów. I gdyby tylko nie on, mój czarny rywal...

Lecz dzień dzisiejszy już skończony, już słońce zaszło tam za daleki las i tylko czerwień wielka po nim na niebie. Dobranoc, Marto, dobranoc.

Opuściłem ławeczkę i schodzę powoli w dół. Na zakręcie, skąd jeszcze grób dostrzec można, obracam się, instynktownie rzucam okiem na czerniejącą smukle stelę i na jej ściętym płasko szczycie widzę rysujący się wyraźnie kształt ptaka: jest to duży, metalicznie lśniący kruk...

15 października

Sny moje zdradzają zdumiewającą zgodność z życiem rzeczywistym. Wiem już, kto są ci ludzie. Odkrycie zaszło tak niespodzianie, tak przypadkowo, że wierzyć chwilami nie mogę.

Onegdaj byłem w jakiejś odległej dzielnicy miasta, dokąd zresztą nigdy prawie nie zaglądam. Szedłem starą, wąską uliczką, pełną małych sklepików, tandetnych bud. Znudzony zatrzymałem się przed jakimś *bric-à-brac*, rodzajem muzeum starożytności. Parę antyków zaciekało mnie: wszedłem do środka. Właściciel, stary dziwak, zasuszony dymem fajeczki, z której pykał bez przerwy, nie ruszył się z kąta, pozwalając mi oglądać zbiory bez przeszkody.

Uwagę moją zajął wkrótce zaproszony mocno zegar na kolumnkach. Wziąłem przedmiot do ręki i obejrzałem dokładnie. Tarcza wraz z mechanizmem spoczywała na czworokątnej płytce opartej na sześciu marmurowych słupkach, które tworzyły u spodu krużganek w stylu korynckim. Kamień był barwy żółtawej, w tonie matowym *giallo anticol*, co gładkością połysku kość przypomina; między ostatnimi pilastrami krużganku była rozpięta ścianka, w niej wprawione dwie miniatury. Przybliżywszy je do oczu, zadrżałem; te dwie głowy: kobieca i męska, jakie miałem przed sobą, były najzupełniej podobne do mych sennych widziadeł: trzymałem w rękach fotografie Marty ze Zbąskich i prawdopodobnie jej męża.

Zapytany o rodowód cennego sprzętu, antykwariusz potwierdził najzupełniej me domysły. Zmarła była żoną bogatego syndyka sukienników, Filadelfa Laskarysa, potomka królewskiej rodziny z Bizancjum. Zachwycony niezwykłą jej pięknnością Grek, poślubił Martę przed laty piętnastu, lecz szczęścia nie znalazł. Jego gwałtowny a podejrzliwy charakter nie pozwolił na spokojne pożycie. Anormalnie zazdrosny, prześladował żonę na każdym kroku, zamykając nieszczęśliwą przed okiem ludzkim na całe miesiące w domu. Pewnego dnia, dziesięć lat temu, rozeszła się po mieście pogłoska o nagłej jej śmierci. Niektórzy przebąkiwali o samobójstwie, inni przypuszczali morderstwo. W każdym razie wkrótce po zgonie żony Laskarys ogłosił olbrzymią licytację i zlikwidowawszy swój znaczny majątek powrócił do Grecji. Odtąd słych o nim zaginął.

Tragizm tych paru szczegółów z przeszłości w dziwnym pozostawał rozdźwięku z suchą, sprawozdawczą formą, w jakiej je podał obojętny starzec. Przejęty nieokreślonym uczuciem, podziękowałem mu za informacje i niezrażony dość znaczną ceną, kupiłem zegar.

Teraz mam go już u siebie.; stoi tam na mym średniowiecznym kominku i tyka miarowo wśród ciszy. A każde wychylenie, każdy wzwód złotego wahadła wyważa przede mną żelazne podwoje, za którymi zawarła się przeszłość. Każdy ruch tej wąskiej, lśniącej laseczki rozchwiewa, prując w tysiące zrysów, spokojną

powierzchnię, do której ułożyły się zdarzenia sprzed laty. Tik-tak, tik-tak...

Słucham zamyślony godzinami i wzrok wpijam w miniaturę Jej głowy, Jej pysznej głowy z tym specjalnym, tragicznym grymasem na twarzy. Marta ze Zbąskich Laskarys... To znów jak przyciągnięty magnetyzmem oczu Jej męża, zwracam ku niemu wylękłe źrenice i oderwać się nie mogę od tych bladych, zawziętych rysów. On mnie nienawidzi, ten człowiek! Czuję to z każdym nerwem, każdym włóknem. Nienawidzi z oddali! On wie o tym, że kocham jego żonę, i że mieszkam z nią senne me schadzki.

I — rzecz mi niepojęta — ja go się boję.

Od czasu, gdy zegar mam w domu, ogarnia mnie czasami dziwna trwoga przed czymś nieznanym; mam uczucie winowajcy- złodzieja, który wykradł cudze szczęście. Muszę usunąć jego fotografię — nie zniosę dłużej tego spojrzenia.

W ogóle w ostatnich dniach owładnął mną jakiś nieokreślony, duszny niepokój. Mam nerwy nastrojone na najwyższą nutę. Nie mogę uspokoić się po dziwacznej przygodzie z przedwczoraj na cmentarzu. Miałem zajście z krukiem, czarnym strażnikiem Jej grobu. I przekonałem się, że jest mi wrogi i chciałby zmusić mnie do zaniechania mych odwiedzin.

Już na kilka dni przedtem zauważyłem, że ptak postępuje sobie ze mną zuchwale i staje się dziwnie natrętnym.

Ileż podchodziłem ku steli, by usiąść na ulubionej ławce, kruk zrywał się ze szczytu i łopocząc głucho skrzydłami, uwijał mi się uprzykrzony, nad głową. Musiałem wreszcie użyć laski i odpędzić go precz. Wtedy odleciał, lecz niedaleko, bo wyczuwałem jego obmierzłą obecność gdzieś w pobliżu.

Aż onegdaj w sobotę, gdy zamierzyłem się na natręta, kruk opuścił się nagle do poziomu mej głowy i ruchem chybkim, nieuchwytnym, wysunąwszy dziób, ugodził mnie w samą pierś, po czym z błyskawiczną szybkością odleciał. Cios był silny i czuję go do dziś — tu — koło serca. Celnie wymierzył. Musi mieć dziób jak ze stali. Gdyby nie to, że miałem na sobie narzutkę, byłby mi zranił głęboko. Lecz miejsce udaru jest do dziś dnia nabiegłe krwią, która jakby skrzepła i powoli z barwy ciemnoczerwonej przechodzi w czarną. W każdym razie muszę mieć się na baczności. Zły to ptak.

Najbliższym razem wezmę broń pewniejszą od laski. Nie należy przypuszczać go do siebie zbyt blisko. Może stać się niebezpiecznym...

20 października

Zabiłem kruka. Dziś po południu na grobie Marty. Zastrzeliłem w chwili, gdy grożąc krzywym swym dziobem, brał rozmach i chciał ugodzić mnie w twarz. Przebrzydły, czarny ptak!

Lecz zemścił się przed samym skonem. Widząc, że runął mi do stóp z

krwawiącą piersią, schyliłem się nad nim, by przyjrzeć się mu bliżej. Widziałem jego oczy, zaciągające się mglistym pokrowcem, nabiegłe krwią, okrutne, mściwe do końca oczy. Wtedy dźwignął ostatnim wysiłkiem lśniąco metalicznie szyję i resztą gasnącej energii zadał mi w lewą rękę silny, bolesny cios. Zaraz potem opadł i skonał. Lecz udar był mocny: przebił mi dłoń do połowy. Zawiązałem broczącą silnie rękę i zawróciłem do domu. Padlinę niech rozniosą czarni współbracia. Boję się tylko, czy dziób nie był czymś zakażony: cmentarny to kruk. Ręka nabrzmiała i boli. Przemyłem wprawdzie sublimatem, lecz czuję gorączkę i dreszcze. Pójdę do lekarza.

22 października, rano.

Wczoraj był u mnie lekarz znowu. Zdaje się źle ze mną, bo dziwnie jakoś potrząsał głową. Ręka spuchła po łokieć i całkiem sina. Gangrena. Muszę po południu poddać się operacji.

P.S. W dziennikach wyczytałem dziś następujący telegram:

Ateny, 20 października. Dziś podczas bankietu przemysłowców zmarł nagle powszechnie znany syndyk, Filadelf Laskarys. Padł, jakby piorunem rażony w chwili, gdy podnosząc się z miejsca, wyciągnął rękę z pucharem do toastu.

Dziwny zbieg wypadków.

Dłużej pisać nie mogę. Gorączka się wzmacza. Niespokojnie patrzę na zegar; za dwie godziny przyjdzie tutaj konsylium na naradę tuż przed operacją...

Mam złe przeczucia...

Koniec pamiętnika.

Dopisek wydawcy.

Przeczucie nie zawiodło Kazimierza Brzosta. Umarł w godzinę po odjęciu lewej ręki. Przy operacji zauważyli lekarze na piersi chorego specjalny znak, utworzony przez nabiegłą i skrzepłą prawdopodobnie wskutek uderzenia krew; był to czarny wizerunek kruka.

Pirotechnik

Baśń astralna

Pod granat nieba trysnął nowy pęk ogni, przepruł świetlistą linią kiry lipcowej nocy i rozsypawszy się tam, hen w zenicie w skrzący mirjadem gwiazd bukiet, spadł kaskadą pomiędzy drzewa królewskiego parku...

Zanim tłum widzów ochłonął z podziwu, wydzwignęła się w przestrzeń trójbarwna „pałka Herkulesa”, oślepiając biały promień światła mknący pionowo w górę lotem strzały, a dookoła niego dwie smugi wirujące, dwa pasma przedziwne: pąsowe i barwy topazu...

A gdy już zgasła w przestworzach trójświatlna rakietka i mroki alej rozwidniały znów tylko żagwie i smolne pochodnie, nagle zgłuszył gwar dworskiej gawiedzi przeciągły świst wstrząśniętego powietrza i wśród deszczu złotych iskier wzleciała pod niebo duża, zielona bania, za nią śmignęło w przegony wydłużone wrzeczono i dopadłszy ją na podgwiezdnym szlaku, wbiło się ostrzem na wylot; olbrzymi szmaragadowo-purpurowy bąk zawahał się na chwilę, zakołysał i zatoczywszy potężny krąg, zaczął w spiralnych skrętach staczać się cicho ku ziemi...

I tak szły w niebo coraz to piękniejsze ognie rozegrane migotem blasków, roześmiane tęczami kolorów, bujne, szczodre a krasne. Rozchyłały się w lubieżnej pysze przecudne krzewy, rozkładały ogniste kosze, sypiąc bezlikiem gwiazd, płatków i kwiatów, strzelały płomienne race, czerwone gejzery, pomarańczowe wodotryski.

A tam na rusztowaniu z tarcic, wysoko nad tłumem królewskich gości, czerniała w świetle chińskich latarek postać ogniomistrza. Jak czarodziej skinieniem laski wywabia kształty i widma, tak mistrz Jan gestem ręki szybkim, nieuchwytnym rozpętywał przyczajone do skoku rakietki, wyzwalał drzemiące baterie, podpalał stupiny i lonty, uwijając się jak zły duch wśród stosów ładunków, piramid, bomb, cygar ognistych, bengalskich ogni, granatów. A spod palców jego wąskich, nerwowych, niemal kobiecych, tryskały w niebo siklawą ogni poematy życia i jego przedziwne urody...

A gdy już północ spłynęła w mosiężnych kręgach z zamkowych zegarów i król powstał z tronu, by dać hasło do zakończenia igrzyska, zleciała ze stopni rusztowania duża, błyszcząca barwami opalu kula, prześmignęła ponad czubami drzew i skosem w podrzutach drasnęła powierzchnię parkowego stawu. Wtedy Roksana, pierworodna córka królewska, zstąpiwszy w dół w nadbrzeżne aleje, pochyliła się nad wodą, w zachwycie dziecięcym wyciągając ręce do tańczącej kuli. I oto nagle pękło w tysiące skorup świetlane zjawisko, z wnętrza wypadła pąsowa różyczka i przeleciawszy ponad balustradą, legła u stóp królewskiej dziewczycy.

Uśmiech skrasił wargi Roksany i cicho wydała zlecenie jednej z dworek. A gdy za chwil parę stanął przed nią drżący z uwielbienia ogniomistrz i wzrokiem miłości pełnym pytał o wolę i rozkazy, ściągnęła z palca sygnet rubinowy i oddała mu w darze. Pochylił się mistrz Jan kornie do kolan królowny i ucałował rąbek jej szaty.

— Jutro — usłyszał jak przez sen szept czarowny — jutro pod wieczór bądź tu nad stawem.

I odeszła z gronem dziewczek dwornych, urodziwych...

Od owej przedziwnej nocy, nocy ogni i świetlistych igrzysk rozpoczęło się dla Jana nowe życie. W samotnię jego pracowni wtargnęła czerwonym płomieniem miłość i zażegnała słodki, odurzający bezmiarem rozkoszy pożar. Pirotechnik nadworny został tajemnym kochankiem królewskiej córy.

A miłość ich ukrywały wiernie parkowe drzewa i odległe, warkoczami powojów i bluszczów spętane ustronia...

Cudnie wybijał w tym czasie kunszt Jana. Spotęgowany szczęściem bez granic, dumny z łaski Roksany, stwarzał dzieła jedyne, świetne, wyjątkowe. Powstawały ogniste symfonie radości, hejnały światła zwycięskie, peany bujawej siły rozrodu szumne jak młodość, perlące jak wino, mocne jak miody pasieczne. Całą rozkosz życia rozpierającą mu pierś młodą wyrzucał mistrz w nocie pogodne na ekran nieb; i spalały się tam wysoko na firmamencie ogniste hymny — rapsody, głosząc chwałę miłości i cudów ziemskiej wędrowki.

Lecz, wiadomo, szczęście ludzkie — to gość rzadki i na krótkim postoju; jak zabłysło nagle, niespodzianie — tak rychło zgasło.

Pewnego wieczora zastał Jan w parkowej altanie zamiast królewskiej kochanki jej szatną, Dorotkę. Dziewka z szydem w czarnych oczach podała mu ciężką sakwę z jedwabiu i rzekła:

— Pani moja zleciła oddać Wam, Panie, to złoto, dziękując za przyjaźń i serdeczną przysługę. W ogrody Króla Jegomości więcej się, Panie Mistrzu, nie zapuszczajcie, ile że trud odtąd byłby daremny, a niebezpieczeństwo łatwe. Za tydzień Roksana pójdzie w łóżnicę księcia Śnigóra, który dni temu kilka dziewczosłębów nam przysłał. Ostawajcie z Bogiem i zapomnijcie! Tak przykazuje królowna, moja pani!

Ból czarny targnął sercem Jana, ból okropny i jędza splugawionej dumy.

Miotnął w twarz dziewczce sakiewkę w dank za wiadomość i odszedł bez słowa.

Rozpoczęła się włóczęga po samotnym, pustym świecie. Z kijem podróznym w pięści, ze skrzynką przyborów pod pachą wędrował pirotechnik z miejsca na miejsce rzucając jak ten liść jesienny podmuchami przypadku. Żarła go nędza, bolał wstyd; goryczą przesiąkła dusza, krwawiło serce.

Więc mścił się na ludziach, ukazując im świat w karykaturze, a życie w lustrze wypukłym maskary i poczwary.

Bywało, w noc gwiazdne rozkładał wędrowną swą paczkę na środku rynku w

nieznanym gdzieś mieście, mieścinie lub wsi przydrożnej, klecił naprędce rusztowanie, a gdy tłum ciekawych obstał go kołem, puszczał w milczące przestworza zjadliwe węże ziejące ogniem z zielonych paszcz, jakieś zagmatwane złośliwie sznury świateł pełne czwarzających się w odstępach węzłów — ślepe, jadowite, złe, zionące trupim swędem szmermele.

Przerażony motłoch rozbiegał się wśród okrzyków grozy do domów, przeklinając niesamowitego szarlatana. A on spokojnie pakował ładunki w gilzy, okręcał w smolne szmaty, by w deszcz nie przemokły i zamknawszy szczelnie w puzdra, odchodził z miasta z uśmiechem drwiny na ustach.

Tak przeszedł spory szmat świata. Był na stołecznych ulicach Europy i zgasił radość wytwornego tłumu, na rynku był w Bizancjum w święto mas bejramu i zwarzył wesołość dzieci Proroka — na ucztach był u szejka w Arabii Szczęśliwej i ściał mrozem śmierci twarze pijanych biesiadników. Strach szedł w ślad za nim, błądy strach i groza zakłute przez mistrza w zjawy świateł, rakiet i dżdżów ognistych...

Aż spłynęło nań ukojenie. Pewnego dnia w skwarne południe sierpnia spotkał na tamie portowej w Neapolu Maritę kwieciarzkę i wtedy zapomniał o Roksanie. Słodka, czarnooka fioraja di Napoli została jego żoną.

I popłynęły dni cichego szczęścia.

Owe wspólne wędrówki po długich, znojnych kurzawą i pyłem gościńcach, owe postoje w przydrożnych gospodach, hen gdzieś w skrajnym polu pod namiotem nieba przedrzemane noce! Hej! Ból serce dławi, oczy w łzach mętnieją... Minęło, minęło...

I w sztuce Jana zaszły wtedy zmiany. Przestały płonąć na widnokregu złośliwe maskary, przestały szczerzyć się ku ludziom uśmiechy ognistych poczwarów. Złagodniała pieśń pirotechnika. Przed oczyma widzów paliły się teraz błękitne ognie ukojenia w glorii lazurowych płomieni indu, kalomelu, przetykały haftem płaszczy nocy łagodne irysy, skłaniały kielichy tulipany, rozwachlarzały się soczystą zielenią barytu długowłose palmy...

Jan zaczął prowadzić życie osiadłe. Wybudował duży, biały dom nad brzegiem rzeki, zasadził wkoło daktyle, cytryny, pomarańcze. Wewnątrz założył pracownię, zatrudnił kilku ludzi. W wielkich, beczkowo sklepionych piecach topił metale, prażył w tyglach, przecedzał przez alembiki.

Marita stała wiernie u boku męża: rozcierała tłuczkiem ładunki na marmurowych tafelkach, mieszała preparaty rogową łopatką, napełniała z kobiecą ostrożnością puste glizy i patrony. Huczały paleniska, stękały miechy, pieniały się szumem retorty.

Na płaskim dachu domu urządził obserwatorium pirotechniczne i ogniopróbnę; tu przepuszczał swe twory przez surowy osąd probierzy, nim wypuścił je w świat ludziom na podziw i zachwyty.

Bo Jan zapragnął kunszt swój ognisty podnieść na wyżyny wielkiej, świętej sztuki; nie chciał być szarlatanem jak tylu wędrownych jego współbraci, cyrkowym hecarzem strzelającym w niebo raketami dla uciechy jeno i błażej rozrywki. Chciał zakłać myśl swoją w ogniopalne dzieło, wypowiedzieć w burzy i zgiełku ogniotrysków swe czucia, marzenia i sny przebogate. Raziła go niedoskonałość środków, trawił ból i tęsknota za czymś wielkim i trwałym. I smutek bezbrzeżny kładł mu się lodowatym całunem na serce, ilekroć widział na niebie swe najpiękniejsze ognie. Bo wiedział, że moment cudu krótki, ni to mgnienie błyskawicy, że za chwil parę zgaśnie świetne zjawisko i spadnie mu do stóp żużlem meteoru.

Wtedy z tęsknoty owej w południe życia poczętej zrodził się pomysł wielki i śmiały, który miał zostać kiedyś dziełem jedynym, tworem nieśmiertelnym i trwałym pirotechnika Jana.

Zrodził się w ciszy domowego szczęścia i zapadł głęboko w duszę na dno. Otoczyła go tajemnica świętości i jakaś szczególna wstydlivość. Jan nie zwierzył się nawet przed żoną.

Od owej przedziwnej godziny narodzin co dzień wieczorną porą, gdy już ostygły retorty, ogień dogasał w paleniskach i towarzysze pracy rozchodzili się po domach — zamykał się mistrz w samotnej pracowni. Gdy w godzinę, dwie potem wychodził z tajemnego wnętrza — twarz miał dziwnie zmienioną i bladą, w oczach chmurną zadumę. Pytany przez żonę, odpowiadał ni to, ni owo, kiedyś później wszystko odkryć obiecując.

Lecz wiadomo, kobieta ciekawa. Niecierpliwości nie mogąc opanować, zakradła się Marita pod wieczór do pracowni i ukryła za żelaznym przepierzeniem, co odgradzało przystęp do pieca od wnęki na kruszce. I ujrzała rzecz dziwną.

Upewniwszy się, że drzwi dobrze zaryglowane, nacisnął Jan palcem ścianę w pewnym miejscu; wtedy ukazała się wydrążona skrytka, z której dobył dużą, kryształową czarę napełnioną jakimś purpurowym płynem z zanurzoną w nim swobodnie czarną, krągłą masą. Ustawiwszy preparat przed sobą na stole, odwinął rękaw, zadrasnął skórę ostrzem noża powyżej łokcia i wpuścił parę kropel krwi do płynu. Potem, zawiązawszy rękę, pochylił się nad czarą, dotykając czarnej kuli palcami obu wyciągniętych dłoni. Powoli oczy jego nabrały szklanego wyrazu, ciała podeszły w górę, członki nabrały sztywności drewna i stojąc... usnął. W jakiejś chwili wyprężone ramiona podniosły się i nieruchomo ustawiły do poziomu ponad czaszą. Wtedy czarna kula, jakby pociągnięta tajemniczą siłą, wynurzyła się z płynu i zawahawszy parę razy nad jego powierzchnią, zawisła swobodnie w powietrzu. Mistrz spał snem kamiennym.

Przełęczona Marita nie ruszała się z miejsca. Jakieś głucho przeczucie szeptało jej do ucha, by go nie budzić, nie dotykać w tej chwili. Więc czekała z przytająnym oddechem. A gdy już dobiegła do końca długa godzina, drzenie

przebiegło ciało Jana, ręce uderzać zaczęły lekko w powietrzu, aż zeszywniałe ramiona pochyliły się znów skosem ku czaszy. Wtedy kulista masa zanurzyła się z powrotem w rubinowej cieczy. Jan obudził się.

Od owego wieczora przestała Marita wypytywać męża. Ukoivszy raz niewieścią ciekawość, nie pragnęła dotrzeć do sedna tajemnicy; przejmowała ją lękiem i trwogą. Więc trzymała się z dala od „praktyk Janowych”.

Tak mijają im lata w ciszy i szczęścia ukojeniu. Sława mistrza rozchodziła się tymczasem szeroko, zataczając coraz większe, coraz potężniejsze kręgi. Zewsząd ściągali zarówno mądrzy i silni świata tego, jak i pokorni i małuczcy, by podziwiać sztukę pirotechnika Z Białego Domu. Urósł w oczach ponad miarę...

Aż nadeszły dni smutku i żałoby. Pewnego rana zachorowała ciężko Marita. Jakaś zabójcza zimnica opanowała zdradziecko młode jej ciało, że kraśniała i bladła na przemian od gorączki i chłodu. Trzy dni walczyła o życie, zmagając się z chorobą, by czwartego nad ranem odejść cicho w zaświaty na rękach Jana.

Zamilkła na lata pieśń ogniomistrza. Kamienny ból rozpanoszył się w sercu, okrył kirem żałoby rozżęsknioną duszę. Umilkły głosy towarzyszy w ogniotwórni, zgłuchły wesołe piosenki pracowników. Zionęły czeluściami otworów wyziębłe piece, drzemały w kurzawie pyłu poniechane tygle, spętane pajęczą przędzą, puste retorty. Jan zapamiętał się w bólu, zaciął w tępej rozpacz.

Póki nie wyzwolił go kochający duch Marity... Zjawiła mu się w jasną noc grudniową w opustoszałej pracowni, w jedną z tych długich, samotnych godzin, których teraz tyle trawił w zamkniętych czterech swych ścianach.

Zjawiła się słodka i czysta z uśmiechem anielskim na twarzy i położywszy mu rękę na głowie, rzekła doń szeptem:

— Wstań i zaświadczyć światu o sprawach po tamtym brzegu.

Okrzyk radości wydarł się z piersi Jana i wyciągnął ręce, by ją objąć; lecz świetne zjawisko rozwiało mu się w oczach. Tylko skądś z oddali, niby oddech wiatru, doszło go ciche westchnienie...

I podjął pracę ducha na nowo. Z pracowni pirotechnika zaczęły padać na niebo potężne projekcje duszy rozmiłowanej już w radościach duszy nie z tego świata: była jakaś wielka w swej przepokorze modlitwa, jakieś ogromne w muzyce nadziemskiej zasłuchanie. Rzucone w międzyplanetarną przestrzeń ognie rozkwiatały w litanie duchów mistyczne, w serc czyste chorały, niebiańskie aniołów koncerty. Wyczarowane z kuźnicy Białego Domu pociski, dosięgłszy stropu niebios, rozrzucały się hen po widnokregu w falangi świetlnych tworów, w jakieś pielgrzymie orszaki w drodze ku nieznanym celom, w zaświaty...

I szły po niebie te jasne postacie w utęsknieniu bez miary, pełgotały czas pewien w świętym wysiłku, aż wyczerpane drogą przydługą konały i gasły...

Patrzył na tę mękę serdeczną ich twórcy i tym żarliwiej pracował nad dziełem swego życia jedynym. I stało się, że wykończył je w czasie, gdy już włos mu na

skroniach posiwał, gdy pochylony już laty zapragnął spocząć snem wiecznym.

Więc sprosił na igrzysko ludu wiele z miast i wsi i wyznaczył im siedliszczą kamienne półkręgiem nad brzegiem morza. A sam, stanąwszy na rusztowaniu w środku koliska nad pluskotem wzwodliwych fal, wśród ciszy śmiertelnej, rozpoczął widowisko.

I opowiedział im ognistą baśń o duszy ludzkiej i jej wędrówkach po szlakach życia. Mówił o wzlotach podniebnych i hańbie upadków, o rajskim śpiewałym uśmiechu i piekielnej udręce, o wierze promiennej i kaźni zwątpienia. I dzierzgał na niebo swoją opowieść błyskami rakiet, zygzakiem szmermeli, cudną poświatą Bengalu. Siał hojną dłonią całe przygarście złotego pyłu, miotał w noc cichą roje tęczy bez liku i światłał dżdżące wytryski. Rozpinał niebotyczne łuki, smukłe tummy i wież iglice, rzucał w ogniowym odmęcie gmachów podniebne arkady...

Nagle ustała orgia światła, pogasły meteory i zapadły zwycięskie mroki nocy.

Lud zaszemrał niechętnie:

— Czyżby już koniec igrzysk?

I z rozczarowaniem spoglądali w dół na rusztowanie. Tam w blasku kaganka stał mistrz Jan z dłońmi przed się wyciągniętymi jak do modlitwy muezin, z twarzą wzniesioną ku niebu. Zda się skamieniał, zdrętwiał na miejscu...

Wtem wleciała pod niebo cudna, ciemno-błękitna gwiazda, przesybowała lotem błyskawicy ponad teatrem widowni i wzbiła się śmiało na firmament. Sześć ramion strzelało z błękitnej jej piersi, sześć świetlnych promieni z szafiru. Dziwna zaprawdę gwiazda.

Bo chociaż wspięła się tak wysoko jak żadna dotąd z rac mistrza, nie zmaląła przecież dla oczu, lecz wciąż świeciła nad ziemią w pierwotnym swym blasku. A wtem zawisała w przestworzach na wschód od mlecznej drogi i zatrzymała się wśród siostrzyc...

Na próżno czekali widzowie, kiedy zgaśnie i stoczy się w morze, na próżno...

Bo gwiazda mistrza Jana nie miała już wrócić na ziemię, lecz przyjęta do grona rówieśnic, odtąd miała świecić tam w górze.

A tu na rusztowaniu z desek, wśród dogorywających lontów i stupin, leżały sztywno rozpostarte zwłoki pirotechnika: blady był, bez kropli w twarzy, z zastygłym na wargach uśmiechem.

I zrozumieli ludzie, że duszę swą zaklął w szafirową gwiazdę, by mogła wzlecieć w niebo....

Astronomowie świata zauważyli tej nocy nowe ciało niebieskie: jakąś gwiazdę piękną i dużą, co rozbłysła nagle barwami szafiru we wschodniej połaci nieba.

A gdy w noc drugą i następną nie zniknęła z horyzontu, lecz zdawała się

rozpalać coraz świetniejszym błękitem — włączyli ją w poczet gwiazd pierwszej wielkości i nazwali „Stella Pacis”, czyli „Gwiazdą Pokoju”.

Cud Żywii

Gdy po raz pierwszy spojrzała królowna Dziwa we fiołkowe źrenice Jasnoty na cichej lewadzie pod gajem, gdzie trzodę swą pasał jak jodła wysmukły, urodny – przepomniała pańskiej swej doli, przemomniała królewskiej swej pychy i tylko Jasnoty pragnęła, pasterza w bujnych kędziorach...

Gdy po raz pierwszy zagrał królownie swą pieśń pasterz z doliny na prostej z leszczyny ligawce, na biednej pastuszej fujarze – zgłuchły biesiadne fanfary, zbladły fletniowe wspominki i tylko Jasnoty słuchała, gęślarza przedziwnej tęsknicy...

Gdy po raz pierwszy dotknęły ust Dziwy królowny płomienne wargi pasterza w pogodny, słoneczny odwieczerz, pod cichą zachodu godzinę – wszystkie słodyczne obmierzły i innej rozkoszy nie chciała, tylko Jasnoty całunków, tylko pasterza pieśnyczoty – królowna Dziwa przeczysta, biała i harda dziewica — gdy po raz pierwszy ujrzała pasterza z podłej lewady...

Od dnia onego, od owej przedziwnej, pokrwałem słońca złoczonej godziny widywali się co dzień. Dziwa służkę miała wierną. Jagodę czarnobrewą, której tajemnicę serdeczną zwierzyła, przed zdradą bezpieczna. W południe każde, gdy już ścichły najgorętsze żary i skwar pochylał uznojoną głowę, zstępowały obie dziewczyny z królewskiej sadyby na łąkę podleśną, hań za górę, by kwiaty rzekomo zbierać, równianki pastewne. A gdy już były opodal zielonego bugaju, w kotlinie trawą zarosłej, krzami taniny i dzikich róż bogatej, czekał tęsknicy pełen Jasnota swej pani umiłowanej nad życie.

I tak snuły im się czasy słodkie, upojeniem czarowne, mgłą rozkoszy przymglone.

Radował się lud wieśny z miłości owej, bo Jasnota pierwszym był junoszą w krainie lubo prostym pasterzem, a król sędziwy dziedzica nie miał, by po ojcu osiadł we władyczej stolicy. Radował się lud wsiowy i już w duszy prostaczej Jasnotę władcą swym przyszłym mianował. Lecz, że zamysłów króla Gromisława nie znał, serca królewskiego niepewien, co postanowi jak dolą jedynej córki rozrządzi, przeto strzegł tajemnicy młodych, wyrokom losów rzecz zostawiając.

Alić razu pewnego jeden z dworzan ciekawych w Jagodzie rozmówian wymknął się ukradkiem z dworca i spoza drzew wszystko wypatrzył: nazajutrz król wiedział.

Rozsierdził się Gromisław okrutnie i aż zaniemówił od jasnego gniewu. Właśnie, bo pod czas owy władny Czarnosza, kneź sąsiedniej, od wiek wieków zaprzyjaźnionej krainy dziewosłębów mu nasłał, by o Dziwę w łożę małżeńskie prosili. Król z duszy całej rady był potężnemu koniadcowi, gotowy oddać mu w opiekę po śmierci wraz z córą i lud swój z ziemią. Jakżeż mu było teraz

odpowiedzieć?

Przeto z przyrzeczeniem zwłócząc, tymczasem wysłańców na zamku podejmował, póki sprawy hańbiącej ród nie wyjaśni.

Gdy tak kneziowscy druzbowie po komnatach godują, niecierpliwość swą biesiadą uśmierzając, zeszyli się w łożnicy panińskiej królowej z rozkazu Gromisława co najprzedniejsze niewiasty, pierwszych w kraju witeziów żony i zamknęły się z dziewicą królewską w sypialnej świetlicy.

Czekał w udręce nieznośnej rodzic w komnacie tronowej, szarpiąc płaszcz swój szkarłatny, w złocenie przetkany, ciężkim krokiem marmury posadzki przemierzając.

Lecz gdy odpowiedź dostojne niewiasty przyniosły, gdy sąd swój o Dziwie z rumieńcem wstydu oddały, twarz króla z białej w ziemistą przeszła i jak chmura ponury odprawił Gromisław dziewosłębów Czarnoszy, córkę swą niegodną knezia mianując. Po czym wszystkich przez odpuściwszy, królowę w sklep podziemny wrzucić kazał, a sam zamknął się we wnętrzu grodziska na dni dziesięć, żadnej twarzy ludzkiej do się nie przypuszczając. Gdy po czasie owym znów oblicze swoje ukazał wiernym dworzanom, bez mała nikt go poznać nie mógł: postarzał się bowiem przez tych dni kilka o lata całe, zmarszczonym licem starcza na świat boży wyglądając; tylko oczy mu jakoś złowieszczo błyszczą.

Wnet potem wezwano na zamek czarownika Zawrata. Dziwnym był człekiem ów mąż tak cudacznie nazwany. Powszechnie uchodził za potężnego wróża, któremu nikt się nie oprze, choćby jak silny i możny. Z duchami podobno gadał, pioruny ściągał, z oddali raził. Lecz mocy swej, jak szeptano, jeno na złe używał; bo była to władza nieczysta. Przeto lud stronił od guślarza, czarnoksiężnikiem go zowiąc, jako że z czartem spółkę trzymał, jasności wróg i bożych zamysłów.

Tego to wilę Gromisław przywołać kazał na swoje pokoje. Rozprawiali z sobą na osobności długie godziny, a skoro wreszcie Zawrat znów wyszedł na podwórzec grodowy, twarz mu mieniła się złą radością i wężowe łyski szły z oczu. Zaraz też, nie mieszkając zlecił król zbirom przywlec na zamek Jasnotę i pospólnie z Dziwą w lochu skuć łańcuchem. Niebawem zaroilo się w dworskim parku od cieśli i szklarzy, którzy nakazem władzyki zwołani wszczęli tam dziwną budowlę. Pracą kierował sam czarownik, tam i sam chodził, doglądał robotników, gdy nie po myśli jego czynili, ganiąc surowo. A działało się to w ogroju królewskim, w części najbujniejszej, zwierzyńcem zwanej, gdzie kwiaty precudne omdlewały od własnej woni, drzewa wysokopienne, wiekowe rozpościerały mszyste poroście na wietrze bujając swobodne, gdzie zwierz wszelaki wolno chadzał, przez rękę łowiecką nie ścigany. A był ci zwierzyniec ów na wysokim wzgórzu i z dala wynosił nad park Szumawę drzewnych wierzchołów. Odmierzono zeń tedy przestrzeń znaczną, żeby na dom zamożnego rycerza starczyła i zamknięto ją złocistą kratą ze wszech stron, w jednym tylko miejscu przesiecz na bramę zostawiając. Gdy tak część parku od

reszty świata na głucho odcięto, rozniecili hutnicy duże ogniska, podsycane oddechami stu miechów, że aż wicher powstał gorący i zaczęli stapiać w kamiennych kadziach całe sągi szkliwa. Okrutny żar palenisk zmógł je rychło i łało się kałużą gęstego, ciągliwego ciasta. Wtedy wydymać jeli szklaną gąszczawę w olbrzymi, półkolisto skłękający się dzwon.

Potworny był ci to dzwon, w którego wnętrzu pomieściłoby się parę drużyn łowczych. Gdy ostygł, lśniąca tysiącem migotów pokrywę wydźwignęły powoli żelazne żurawie ponad okratowany ogrojec.

I tak wisiał dzwon czas jakiś szklaną groźbą ponad wzgórzem i czekał. Wtedy kazał król wywieść z podziemi grodowych córkę i jej miłośnika i w ogród złotą siatką spowity wprowadzić.

Ledwie weszli, mrużąc oczy odwykłe od blasku dnia zaskrzypiały w górze żurawie, zadudniły toki i śruby i dzwon z wolna opuściwszy się na zwierzyniec, przykrył go lśniącym w blaskach porannego słońca, śliskim o gładkich zboczach sklepieniem. Ruchem ręki oddalił Zawrat sługi pracujące, szklarzy i hutników i samowtór z królem bez świadków pozostał.

-Wstrzymaj na chwilę rękę swoją — ozwał się Gromisław — Pragnę raz jeszcze spojrzeć na wyrodne dziecię, gdyż, jak przyrzekłeś, nigdy już potem nie będą jej oglądać smutne oczy rodzica. Żałość niewczesna wtargnęła mi w męskie serce i sąd zasłużony odwleka.

Zamilkł król i czas jakiś patrzył przez szklaną ścianę w zawarty ogrojec...

A tam, wprost wrót złocistych na rygle zamkniętych staw się rozlewał cichy, nie zmarszczoną falą, a nad nim wierzby płaczące nachyliły smutne gałązki bez ruchu, bo wiatru pod banią nie było. W głębi otwierały się zielone aleje jesionów, dumwały słodycz miodną sączące lipy. A ówdzie pod kamiennym ołtarzem Żywii, bogini przedziwnej, co stawarza bez końca i początku i soki pędzi rozrodu, królewska córka siedziała z Jasnotą. On ramieniem pieściwym przyhołubił biedną do piersi i szeptał do ucha słowa pociechy. Twarz miał smutną, lecz rzewności pełną i z dumą spoglądał na jej łono, co już poczęło.

Wkoło cisza była ogromna: trawka nie zadrgała, liść nie zaszeleścił; czasem chyba z gęstwiny nadbrzeżnej podniosła się ważkim lotem dzika kaczka, by wnet opaść między rokiciny, czasem z gaju wyjrzała rosochata głowa daniela, przemknęła łasica między krzakami leszczyny. Jakaś duszność nużąca padła na ten świat oszklony i przeczucie zmaćciło gody bytowania. Oczekiwanie czegoś niebywałego stłumiło bujawość życia, zgasiło nieprzeparate, wyzwolin rade okrzyki. Wydarte z piersi tryszczących młodą siłą, co rodzić pragnie i plenić się pomiotem wieczystym, natknęły na szklistą powałę, na ściany bez serca i złamane na miążgę wracał w bezładnej porażce...

Wtem Zawrat podniósł prawicę: w skurczonych palcach wróza zabłysła rubinami wysadzana różdżka. I oto wszczęły się nad dzwonem dziwne przemiany. Z

nagła królewna i pasterz zrzucili ludzkie postaci i spod ołtarza, pod którym tulili się przed chwilą w smutku i miłości, zleciała na czarne wody stawu para śnieżnych łabędzi. Płynęły równo po gładkiej szybie, roztrącając białymi piersiami toń martwą bez wali.

Lecz i wszystko wkoło uległo zwolna przekształtom. Opasły borsuk, co właśnie wychyliwszy nieufną głowę z nory pod krzem ożyny, ostrożnie rozglądał się na wsze strony, nagle jakby stężał; lśniąca sierść oblekła piorunem sucha kora, łapy grzebliwe gdzieś wsiąkły w kadłub i przemienił się w pień na skraju dąbrowy.

Ówdzie motyl plamisty w ceglaste oka, w bursztynowe prążki zatrzepotał po raz ostatni skrzydełkami, co niespodziewanie przeszły we wiotkie płatki dziewanny...

Sceny w zapaście smreczanym tam hen, pod ścianą, przestały wydzielać lepka oskołę i jakby skrzęły: smoliste, rdzawe ich spławy wnikać jęły skwapliwie w pień, wkręcać się w macierzyste wnętrze, zielone igliwo cofnęło się w miąższ gałęzi, wracając tam, skąd wytrysło i niebawem sterczały na miejscu sosen skamieniałe słupce; kształt tylko pni pozostał, lecz rdzeń stwardniała w zimny granit...

Tu Zawrat opuścił czarodziejską laskę i bieg wsteczny zastanowił.

Król z trwożnym zdumieniem śledził zawrotnie szybko zmieniające się widowisko:

— Okropną jest mądrość twoja, stary wrózu. Nienawiść chyba i pomstę zaprzysięgłeś Żywii. Atoli strzeż się, bo władna to bogini!

Zawrat jeno uśmiechnął się wzgardliwie i wzniosł rękę powtórnie.

Wtedy nad mokrą gładzią jeziora uniosły się białe mgły, mleczne kędziory oparów i wałęsać się zaczęły jak ciężkie, śnieżyste giezła: wody dymiły. Poprzez dźwigającą się leniwo z łoża mrakę przeświecały srebrzyste ciała łabędzi, które wylękłe ubytkiem ciekłego żywiołu tułały się smutno, zataczając niepokojne kręgi. Staw parował i kurzył dymami jak moczar pieśnią zielony. Rychło już dno przezierać zaczęło żółtym piaskiem i gliną i zdało się, że ptaki osiądą na suchym miale: wtem opadły im skrzydła, znikły przegiętkie szyje i pod mocą czarów wyrosły w środku wyschłego łożyska na kępie trawiastej tuszycy dwie smętne wierzby i wicie skłoniwszy ku sobie, splotły się w miłosnym uścisku.

Lecz i w tym kształcie nie dał im Zawrat zawzięty trwać długo, bo wnet skinąwszy rubinową laską przemienił wierzby płaczące w dwa martwe kamienie.

I niczego już pod dzwonem nie mogły dopatrzeć się królewskie oczy, prócz porozrzucanych w bezładzie odłamów skalnych, jakichś buł zbitych na grudę, skostniałych w grudkę gąszczy, piachów i osypisk. Wszystko skamieniało. Tylko kształt dawny pozostał, niby wspomnienie minionej doli. Stożyły się wszędy laski krzemienne, szczyrzyły kruche grzebienie traw nastroszone skrzępłymi w kamionkę prętami krzaki i krzewy...

I odjął rękę czarodziej i odstąpiwszy od bani, paśł oczy widokiem martwicy. Lecz król przesłonił lice krajem szaty, bo patrzeć nie chciał, bo mu się zwidziało, jakoby sam w piersi kamienne miał serce.

— Małość to, kniaziu dostojny — przerwał głuszę milczenia wiła niesyty — małość to. Wszakżeć przyrzekłem Wam królu miłościwy, że ni śladu nie pozostanie.

I zakreśliwszy różdżką kola ostatnie, rozkładać ją kamienne zgliszcza. W mig rozpadły się skałki na drobne cząsteczki, na ostre kłujące żwiry, zwietrzały nagle twarde granity na suchą, piaszczystą osypkę, piorunem rzuciła się trupiesz na kwarcie i złożyste łupki. A gdy już pod dzwonem nie pozostało nic, prócz zwałów pyłu i próchna, puścił Zawrat te szcząty w piekielny taniec wirowy. Wzbiły się pod trropy bani chmury burej kurzawy, siepnęły o ściany pyłne odmioty i porysowały szklane zbocza w tysiączne pręgi. Z wolna dzikie kotłowisko przybierało pozór lotniejszy, rozmgłony, wewnątrz dzwonu zasnuło się niby parną mgławicą, niby dymnym wysiągiem, który cieńczał, rozpuszczał się, marniał... aż wszystko rozeszło, rozwiało się, gdzieś znikło. Pod banią rozsiadła się od ściany do ściany, od podnóża do wypukłej posowy wielka, wzdęta pustka. Żarne słońce południa wysławszy na zwiady swe promienne gońce, zląkło się próżnego przestworu i zawróciło na podniebne szlaki: duży, obły cień padł daleko od pustego dzwonu...

Odwrócił Gromisław oczy od przybytku martwoty i w ponurej zadumie odszedł na zamkowe podwoje.

Nazajutrz obwieścił między ludem zwiastun królewski, że Dziwa umarła...

W nagrodę za spełnione dzieło został Zawrat pierwszym wielmożą w kraju i przy boku pańskim na zamku zamieszkał. Lecz snadź król nie miłował wielce wróza, gdyż rzadko przypuszczał go przed swoje oblicze, w gawędę z nim wdawać się nieskory. I lud też z nienawiścią nań spozierał, zabójcą umiłowanej pani zowiąc. Niebawem zaczęły krążyć wśród wieśnej prostoty przeróżne baśnie o śmierci królowy, jedna cudniejsza od drugiej, bujnie się pleniąc jak zwykle. Lecz w każdej mogłeś wyłuskać kruszynę prawdy, w każdej odnaleźć rdzeń wspólny: podanie o dzwonie, który Szklaną Trumną nazwano.

Został ci ten pomnik królewskiej woli i kary na górze ogrojcowej i w dniu słoneczne olśniewał bezlikiem migotów. Z bólem przesłaniali sobie ludzie oczy zwrócone w tę stronę i mijali dzwon szybko, bo smutne budził wspomnienie.

Alić był we wsi zdun bardzo leciwy, Świdra imieniem, człek wielce czczony za mądrość i łagodną duszę. Lubieli go rataje, bo z poradą spieszył każdemu, niedoli wszelkiej pomoc niosąc. Twarz miał zawsze pogody pełną i zawsze śmiały mu się dobre, siwe oczy. Ten to Świdra jeden na całą krainę podrwiwał z Zawrata, za nic moc wróza podając.

— Lichyć on tylko człowiek — mawiał nieraz w gronie władków — lichy i marny, co to się mądrości trochę nałykał, by na złe użyć. Alić i on nie wieczny, a Żywia przemożna. Nietrwałec jego dzieło, nietrwałec. Ot i tak już po nocach

poprawia...

Na tym zwyczajnie urywał stary Świdra, a gdy go dopytywano zewsząd, co ma na myśli, nie odpowiadał, pośmieszkim ludzi zbywał, a nieraz i złajał srodze.

Lecz słowo rzucone przez zduna puściło kiełki. Ludzie częściej spoglądać zaczęli na szklany grobowiec; znaleźli się i tacy, co noce całe trawili na czatach.

Aż i wypatrzyli rzecz dziwną. Oto co pewien czas po północy, gdy już kury piałły po slobodach, pojawiała się na górze koło dzwonu jakieś światełko, obchodziło kręgiem banię razy kilka i zniknęło w przyległych gąszczach...

By dojść tajemnicy, zakradł się syn Świdry, powszechnie Śwarnym zwany w pobliże grodowe i w siódmą noc usadki ujrzał pod dzwonem w blasku kaganka uwijający się cień Zawrata. Czarodziej okrążył sklepienie potrójnym nawrotem, za każdym razem kreśląc różgą swe wieczyste znaki. Potem zgasił lampę i zniknął w wykuszu zamkowym.

Wieść o kradowych wędrówkach wiły wnet się rozniosła między ludem i uradowała mocno serca. Znać bowiem Świdra prawdę mówił i moc wróża natknęła się na jakąś zawadę. Lecz snadź krył się z tym, by nie osromocić złej swojej mądrości i w nocie wykradał się cichaczem, by się z Żywią borykać.

Aż razu jednego po okropnej burzy, co najstarsze drzewa w sadzie grodowym powyrywała; pół ogrojca zamuliła i zmiotnęła w dół na drzazgi przyczółek narożnej wieżycy, znaleziono nad ranem opodal gontyny zamkowej zwłoki Zawrata. Zginął w sposób tajemny, od pioruna czy z ludzkiej ręki — dociec nigdy nie zdołano. Ciało miał sino-czarne i szatański uśmiech na wargach.

Król zlecił go pochować dostojnie, lecz że sam za marami pójść nie raczył, wyniesiono wróża potajemnie za mury graniczne i wszyscy jak jeden mąż przysięgłszy, że nikt przed Gromisławem tej samowoli nie zdradzi, wrzucili obmierzły zewłok jak padlinę do wilczego wadołu.

Tak zginął marnie Zawrat wyklęty w pamięci ludu, znieawidzony u swoich. Kraj jakby odetchnął po tym zgonie od dawna upragnionym i poweselały serca. Tylko król chodził smutny po świecie, mało ludziom się pokazując, w zaciszu komnat ukryty. Mówili ludzie, że z zawziętości się kaja, z jaką własne dziecko zaprzepaścił i czynu swego gorzko żałuje...

Tymczasem płynął czas niewstrzymanym ciekim, coraz nowe zwoje chwil rzucając za siebie. Z nakazu pańskiego zamknięty park zamkowy pozbawiony pieczy ogrodnika dziczał z dniem każdym. Zamątwiły się ścieżki, zarosły grzędy kwiatowe, rzuciło się zielsko na piaskiem zasnute deptaki.; drzewa wybijały zuchwale, pnącza jakieś porozpuszczały wokół sturamienne zasięgi, wiążąc je ze sobą żywopłotną spójnią. Wydźwignęły się w poprzek natrętne zasięki z powalonych burzą kłód i gałęzi, potworzyły się nieprzebyte zastrzały. Wzgórze ze szklaną banią u szczytu powoli zakryły okolne chaszczce, sosny i rapate graby; czas pewien świeciła jeszcze złowrogo spomiędzy rozchylonych wiatrem chojarów

wzdęta posowa dzwonu, lecz i ta z lat upływem przytębiała się między zielenią i zapadła wśród drzewnej powodzi...

Król, a wraz z nim i dwór cały jakby o parku zapomniał: bramy zaparto na żelazne wrzeciędzie i nikt z zamku tamtędy nie chadzał. Tylko po nocach strażnik grodowy, gdy wkoło siedzibę królewską obchodził, nieraz szmery jakieś słyszał, które od wzgórza szklonego płynęły. Lecz że człowiek był prosty i w moc czarów wierzący, przeto głosy owe wśród ciszy ponocnej strzygom przysądzał i milczał; może też dusza przeklęta Zawrata oderwać się od miejsca złoczynu nie mogąc, nad wzgórzem krążyła.

A jednak zajrzawszy uważniej na zbocze góry dzwonowej, byłby odgadł snadnie inną przyczynę. Bo lubo gęstwa ogromna kłębiła się na stokach i wszystko zakrywała, przecież ówdzie od strony wasi rozgarnawszy krzaki, odkryłby ścieżynę ubitą, co wijąc się skrętami między dzicze drzew zmierzała ku szczytowi. Kto ją wydeptał i po co, kto nią przekradał się ku dzwonowi, wiedzieć trudno. To pewna, że we wsi coś o tym szeptano, radując się z rokiem każdym goręcej.

Aż dnia jednego — a było już lat kilka po zgonie czarownika — nad ranem usłyszała straż zamkowa gwar okrutny u wejścia do królewskiej sadyby. Otwarto bramy i zbrojni pachółkowie wylegli przed dworzyszczce.

Dziwny zaprawdę widok rozpostarł się przed oczyma kneziowych kopijników. Cały dziedziniec zamkowy kołysał się tysiącem głów ludzkich: przybrany w świąteczne przyodziewy, promieniejący dziwną radością lud przyszedł w gościnę do władyki i domagał się gromkim głosem, by król się pojawił:

— Knezia nam dajcie! Po kneziaśmy przybyli! Szczęsną wieść przynosim! Króla miłościwego sprowadźcie! A żywo, a żywo!

I kolebał się tłum stubarwny i chwiał rozochocony bardzo we wstęgach dziewczek, świtach niewiast i w mężów sukmanach.

A gdy Gromisław woli ludu posłuszny z świetlic grodowych zestąpił, porwał go lud miłujący i uniósł ze sobą ku parkowi. Sto ramion chwyciło za bramne kraty, sto drugich podważyło zawory i wśród zgiełku obaliwszy zaporę, wtargnęli do wnętrza.

A tam na wzgórzu już wrzała praca. Tysiące drwali jakby spod ziemi wyrosłych rąbało drzewa, trzebiło krzewną mątwę, mościło drogę.

— Pod dzwon, kneziu, pod dzwon!

A już i on przeglądał spomiędzy obalin, obrany świeżo z kryjącego go gieźła. Spojrzał król do środka i zdumiał.

Bo oto pod dzwonem w miejsce pustki, którą przed laty zostawił, zobaczył wszystko po dawnemu: i staw rozlewał się cicho wokoło jaworowej zieleni i drzewa stały w pełnej krasie rozkwitu i ptaki przefruwały wesoło.

Właśnie z gaju nad wodą wybiegła para jeleni, a za nią lekko pomykając małe sarniátko.

Wtem o dziwo! Miotnęły swe pyszne głowy i odpadły im rosochy; nie podległe już czarom zmieniły swe kształty, tułów ludzki przybrał wygląd i nad brzegiem wód stanęli, oplótszy się wzajem, w uścisku Jasnota, pasterz z lewady i Dziwa, królewna.

Lecz tu cud nowy: i sarniátko, co w ślad za rodzicami wychynęło z leśnego zapustu, teraz zrzuciło w niepamięć dawną postać i za chwilę pieściła matka na ręku cudne, jasnowłose chłopię.

Wtedy ojciec podszedłszy do zertwnika Żywii bogini przedziwnej, skłonił się nisko i rękoma objąwszy kamienne węgły, w pokorze tak trwał.

I znać miłym był bogini hołd cichy pasterza, bo oto nagle buchnął z głębi ofiarnika płomień żywy, gorący i czerwonym językiem sięgnął pod szklany strop.

Mocnym być musiał i jak życie potężnym, bo piorunem porysowały się ściany dzwonu, zatrzeszczało sucho szkliwo i potworna bania pękła w tysiączne kawały. A Jasnota i Dziwa z cudnym swym pacholęciem oswobodzeni z więzienia lat wielu zeszli ze wzgórza kary, kierując nieśmiało swe kroki ku królewskiemu rodzicowi...

Kneź szczęściem słoneczny na zamek ich ojcowski sam wprowadził, gości z całej krainy sprosił i weselisko wyprawił, jakiego nikt od wieków nie pamięta. I godowali dni wiele w radości bez granic i weselili się szczerze wśród wina i miodu, biesiadnej ochoty i gędźby. A gdy już mieli zabawy do syta, król własną ręką włożył zięciowi koronę na głowę i następcą swym uczynił.

I kneziował po nim Jasnota lat wiele mądrze i szczęśliwie, swoim łagodny i słodki, wrogom postrach i pogroza — przez lud wdzięczny „królem z lewady” przezwany.

Król Nenufar

Król Nenufar nie lubił wspominać. Rzeczy przeszłe miały dlań smak zbutwiałego wina, które że gorzkie i pełne niemiłych obrzasków odstawia piwniczny od stołu, by uczyty nie psuło. Bo i po cóż wspominać? Pamięć chwil szczęsnych, pogodą rozsnianych budzi tylko głęboki smutek i tęsknotę za tym, co już nigdy nie wróci. Wspomnienia zdarzeń bolesnych kirem żałoby osnuwają duszę i obezwładniają męskie serce...

Więc po cóż wspominać? Po cóż wywabiać z mroków przeszłości to, co już minęło jak sen prześniony, rozwiało się w mętnych mgłach przestrzeni?

Lepiej żyć dniem dzisiejszym, ukochać chwilę jedyną, wspaniałą w swej krótkiej pysze, lepiej rozłożyć życie na błyskawiczne mgnienia, bo choć te spalają się chybko jak race, przecież olśniewają sytością barw, nęcą szczodrotą jednodniowej krasy. Więc po cóż wspominać?

Zburzmy poza sobą długich lat gościńce, zniweczmy stare, trupieszą zjadłe cmentarze i naprzód nie wybiegajmy myślą w krainy nieznane, lecz cali żyjmy w chwili; ona jak oaza rozzieleni się pośród piachów ziemnej pusztary i, kręgiem obwiedziona posuchą, zakwitnie zwycięsko o własnych sokach. Zaprawdę piękną jest chwila!

Lecz że zapomnieć nie umiał i co dzień przeszłość kołatała w królewskie podwoje, poszedł Nenufar do starej, lat wielu ciężarem ku ziemi przygiętej wróżki z prośbą o radę.

— Starucho — rzekł jej władca wspaniały — pragnę uwolnić się od swych wspomnień. Ciężą mi mocno na duszy i smęcą próżno. Udarujęc hojnie, tylko poradź i poucz.

Spojrzała wiedźma na króla mądrego smutku oczyma, spojrzała i rzekła:

— Źle to, synu mój, źle bardzo, że wspominać nie chcesz. Lecz jeśli już taka twa królewska wola, weź to „zwierciadło wspomnień” czarem zakłęte przed laty. Ilekroć zapragniesz zapomnieć, zajrzyj do wnętrza, a wszystko, choćby nie wiem jak silne, ujdzie ci z duszy bez śladu i już nie wróci.

Chwycił Nenufar czarodziejskie lustro skwapliwie, rzucił starej trzos pełen złota i wrócił na zamek uradowany z daru. I ukrył zwierciadło w odległej świetlicy, co wyłożona odłamami szmaragdu skrzyła się ciemną zielenią, i przesłonił gładź lustra czarną z aksamitu oponą.

Jakoż rychło przyszło mu użyć czarodziejskiego sprzętu.

Nazajutrz wyszedł król na poranną przechadzkę nad jezioro, rozwodzące wodne swe złoża przy odwiecznym dziadów dworzyszczu. Wody były ciche, lekko zmarszczone podmuchami brzasku, otulone mgłą świtu.

Nenufar szedł powoli, wchłaniając ranne chłody, w zadumie. Wtem nad brzegiem zachrząściło coś między szuwarem. Obejrzał się szybko i spostrzegł wiejskie chłopię, które snadź ukradkiem wśliznęło się w królewski park z wędą na ryby. Pacholę na widok króla zadrżało ze strachu i niepomne na niechybną śmierć, prosto pomknęło w topiel.

Woda była głęboka i niebawem chłopię, które pływać nie umiało, poczęło tonać...

Zerwał król swój płaszcz złotolity, rzucił się nurtem ku chłopcu i w porę szczęśliwą wydobył go z toni. Na brzegu odział skostniałego z zimna w miękką szatę i zawiódł w biesiadną salę, gdzie już oczekiwali dworzanie. I dziw był wielki i radość, a najszcześniejszym ze wszystkich sam Nenufar, który chłopca z kolan puścić nie chciał i przy sobie zatrzymać pajukiem rodzicom obiecał.

— Zaprawdę — mówił do giermków i rycerzy — zaprawdę nigdy się jeszcze nie czułem tak szczęśliwy, tak rad.

I by zaświadczyć swej królewskiej ochocie, puścił dnia tego stu wrażeń więźniów na swobodę miłą i biesiadę wydał dla całego dworu. Lecz kiedy znużenie zaczęło świtać na licach uczujących gości, dogasały kaganki, pochodnie — zasmęcił się Nenufar i rzekł do swej duszy wyniosłej:

— Nazbyt dziś byłem szczęśliwy i zda się nigdy już chwila radości tak pełna nie wróci. Lękam się przeto tęsknoty za minioną godziną, gdy zacznę dzień ten wspominać. Lepiej zanurzymy wszystko w niepamięć.

To powiedziawszy, zstąpił król do tajemnej komnaty, zamknął za sobą wszystkie zawory i, uchylwszy zapy, zajrzał we wnętrze zwierciadła.

I stała się rzecz dziwna. Bo zaraz uczuł, jak wspomnienia przeszłości wraz z dniem dopiero co ubiegłym, jego własny czyn, radość stąd bezmierna i wszystkie jasne i ciemne myśli gdzieś zniknęły, wymykały się, błądły. Wreszcie zapomniał o wszystkim.

Natomiast rozkwitły niespodzianie w głębinach cudownego zwierciadła jakieś drobne, różnobarwne kwiaty i nieruchomo dźwignęły ku niebu zielone łodyżki.

Przypatrzył im się Nenufar z uwagą, zdumiony wielce, bo w komnacie żywych kwiatów nie było. Najpiękniejszym jednak wydał mu się kwiat ostatni z brzegu, największy, o jasnych bardzo, świetlistych barwach, którymi gasił inne, odsunięte jakby w dal i już pół powiędłe.

Patrzył król w dziwne kwiecie z zachwytem dziecka, co nie wie, nie rozumie, tylko rączki wyciąga i ładnym mianuje. W końcu wzrok nasyciwszy, zapuścił z powrotem kotarę i w zadumie opuścił świetlicę.

Jakby w sprawdzeniu słów króla, że wszystko na świecie krótkie i przemienne, a szczęście tym żądniejsza tęsknica, im rzadsze, im bardziej jedyne — zmarł dnia wtórego przyjaciel królewski najszcześniejszy, wódz przedni i w boju niechybny i w radzie bywały.

Żałoba wielka napełniła dwór cały, bo mąż był dzielny, od wielu umiłowany, serdeczny. Lecz najsilniej krwawiło bólem serce Nenufara, jako że druha stracił miłego, co go parokroć od śmierci ocalił. A gdy po pogrzebie i stypie został sam ze swą troską i cierpieniem nad miarę, nie mogąc przenieść katuszy, zszedł do sali odległej i pamięć smutnego zdarzenia zatopił w lustrze.

I znów wyrósł w szklistej głębinie kwiat nowy. Duży był, czarny, o listkach lśniących pod światło żałobnym połyskiem...

Zapomniał Nenufar o swojej boleści i z lekkim sercem powitał dzień nowy, który jakby w nagrodę zgotował mu radość. Oto niewiasta urodziwa nad wszystkie, od lat upragniona przyszła ku niemu i rzekła:

— Bierz mię. Jam twoja, panie.

Uradował się król i pił dzień cały z czary miłości. Lecz że zdała mu się pod wieczór za wielka i nigdy już więcej w życiu nieziszczalna, więc znów zajrzał w zwierciadło. I zapomniał o niewieście i własnym żarze, a w lustrzanej toni wytrysła płomienna, rozwita jak pierś krasawicy róża...

Tak upływały rączy m nurtem lata i miesiące, pełniły się godziny zapominane ciągle, grążone w otchłani na zawsze.

Nenufar co dzień już, gdy nad grodową wieżycą rozbłysła wieczorna zorza, spływając na pańskie pokoje, zachodził w tajną swą ustroń i zrzucał brzemię dziennych wspomnień. Wracał zawsze pogodny, zawsze w uśmiechach promienny, z bestroską w oku, swobodą w duszy. Każde rano było dlań chwilą niespodzianek, każdy dzień czymś zgoła nowym, pierwszym w życiu, ze wszech miar nieznanym. Wszystko miało świeżość rzeczy nietykalnej, soczystość jarego owocu, co, spożyty po raz pierwszy w roku, łechce urokiem pierwocin. Był jak dziecko przed cudną zabawką, ciekawe, jaką też będzie w użyciu, jak sobie igrać pozwoli, jak olśni, rozochoci, omami.

Tymczasem w zwierciadle rozkwitało i więdło bujne, różnobarwne kwiecie. Chyliły się w wieczornej zadumie białe tulipany, uśmiechały czerwono zalotne goździki, tęskniły smutne kwiaty grobów — lilie, prosiły przekornie o wspominek silne jak turkus niezabudki. Czasem jak żagiew zapłonęła namiętna piwonia, błysnęła jadem zazdrości żółty jaskier, stożyła w górę łagodny kielich słodka dziewanna.

Kwiaty — jedne stały w błogosławieństwie rozwicia, inne przekwitłe zginały powiędłe główki, kurczyły łodyżki i ścieliły się pokotem u dołu. Z czasem wyschłe szczyty skostniały i ubite w zwartą grudź stworzyły tęgie podścielisko, na którym płoniły się nowe, świeżo wyrosłe. Potem i te kładły się w podglebie i ustępowały miejsca innym i znowu innym, bez końca. Z latami wał skrzepty z włókien kwietnego miąższu stęzał od spodu jeszcze silniej, przechodząc niby w twardą grań, i załamał się kilkakroć po krańcach, aż zeszyły się końce i zamknęły w koło. Po czasie i w środku zaczęły dźwigać się na wsze strony kwieciste przyciesie, przeciągać poprzeczne przywałki i zarysowywały się podwaliny jakiejś budowli.

Podawały się w dal szerokim rozmachem posady przyszłych wieżyc, odskakiwały wyrzutnie zamkowych wykuszy, zarabiały się mocno w ziemi przyporniki. A na szczytach mknących bez przerwy ku górze i dalekich zawierzeniu rozkładały się pstre bugaje kwiatów, pączkowały wstydliwie zwarte rostuchany płatków, godowała zielen.

Rosła cicho w głębiach czarownego lustra budowla nieznana i niemal z podziwu Nenufar, widząc, jak nieznacznie a wytrwale pnie się w podniebne strony. Bywało nieraz nachyli się ku wnętrzu i zajrzy przez ogrodowe przestrzały — a tu jakby oczy czyjeś gdzieś, kiedyś znajome ku niemu błagalnie wyblysną i zgasną. Kiedy indziej zdało się, że każdy kamyczek, najlichsza cegiełka żyje i dyszy tajną jakąś mową, szepce opowieść starą, skądś dobrze znaną — skąd, nie wiadomo.

Wtedy zżymał się i odchodził gniewny:

— Zły urok jakiś zionie od tych murów. Niech pędzą choćby, pod obłoki, co mnie do tego?

Jakoż dźwigały się dalej, szumiąc kwiecistym zrębem nieprzeniknione i dziwne zarazem.

Lecz gdy już przeszły pas podwalin, niepostrzeżenie wypaczyły się linie zwierciadlanego zamku, ściany zaczęły narastać jakoś krzywo, nierówno, z boków wypadły kabłąkowate baszty. Gród z wolna przepoczwarzał się w dziwną, do rozpuku śmieszna kleć bez wewnętrznego ładu i porządku. Wyglądał na dzieło wesołego przypadku, jakby wiatr zwiął na kupę kamienie i zrzucił ciosy. Sam spód trzymał się w dawnych rysach i odcinał umiernie, lecz część górna, później narosła, szczyrzyła się dzikim nieładem łomów budulcu, miecionych w jeden stos, zdanych na łaskę zawodnego losu. Zwyrodniało kwietne grodzisko.

Patrzył na to król i śmiał się szalony i z nieznanego budowniczego podrwiwał:

— A to ci gród wybudował! Dla wilków chyba na leża ponocne lub na czarcie z babami wesela. Chy! Niechybnie człowiek to jakiś szalony lub głupiec prawdziwy.

I giął się ze śmiechu przed lustrem.

I tak nic nie byłoby zamąciło szczęścia Nenufara, gdyby nie parę dziwnych zjaw, co, ciągle niepokojąc, zniewoliły do rozwagi.

Zwyczajnie, gdy stawał przed magicznym zwierciadłem, widział król postać swoją naprzeciw na tle dziwacznej budowli. Lecz z lat ubiegim obraz własny począł się zacierać i jakby mętnieć. Sądząc, że może powierzchnia lustra spotniała, ocierał ją brzegiem szaty i stawał na jaśniejszym miejscu. Bezskutecznie. Bo wizerunek słabł coraz bardziej, oddalał się w głąb coraz więcej, aż dnia jednego nie ujrzał Nenufar siebie w zwierciadle: sterczała tylko dzika barykada murów bez ładu i składu, kwiatami dni ostatnich po wierzchu umajona.

— Nie ma mnie — wyjąkał półgłosem zalękniony król. A gdy i w dni następne nie widział już swego odbicia, stanął przed zwykłymi zwierciadłami, których miał wiele na zamku. Tu ujrzał wprawdzie postać swoją, przybraną w codzienne szaty,

lecz twarz własna wydała mu się obcą, jakby inną i trudną do rozpoznania.

Zaniepokoił się Nenufar i poszedł ku swym dworzanom, sługom i przyjaciółom i zaczął wypytywać.

— Zali mię widzicie?

— Juści, królu przejasny, widzimy cię i radujemy się w sercu, że oglądać twą chwałę nam dane.

— O twarzy mówię, o twarzy, która podobno, jak mówią, obrazem jest wnętrza. Powiedzcie najmilsi, jaką jest twarz moja?

I stropili się wszyscy i zamilkli na długą chwilę.

Aż jeden z przyjaciół bliskich, przy wspólnym jadającym stole, mąż w latach podeszły i w mądrość bogaty, wystąpił i odparł:

— Władco wspaniały, trudna na to odpowiedź, zaprawdę trudna i wahań pełna. Kiedyś, przed laty, czytałem w twym licu jak w otwartej księdze, piękna, mądrości i męskości wzorze — dziś, czy wiek przytępił oczy moje, czy inna przyczyna, królu jasny, ja twej twarzy nie pojmuje zgoła, niczego dopatrzeć się na niej nie mogąc. Królu, nie bądź gniewny na starego druha, gdy ci prawdę powie — królu, ty masz twarz nijaką.

— Nijaką? — zachnął się Nenufar i z bolesnym zdumieniem spostrzegł po licach innych, że dzielą zdanie starca. — Nijaką twarz posiadam, powiadacie? Nijaką? To tak, jakbym był bez twarzy, nieprawdaż? Bo o każdym człowieku coś rzecz można: ten ma twarz tchórza, ów to bohater urodzony, ten ci jest lubieżnik bezwstydnym, tamten wieczyście w chmurach przebywa i tak dalej i dalej, każdemu twarz coś wyda, czemś tchnie naczelnem i swoim bez działu. Tylko ja mam twarz nijaką, o której nic powiedzieć nie można, bo bez duszy jest i nie zna siebie.

I posmutniał król i zadumał się głęboko.

W końcu zleczyć smutek pragnąc, poszedł do dalekiej, samotnie wśród boru sterczącej wieżycy, w której mieszkało od czasów niepamiętnych siedmiu mądrych starców świadomych rzeczy ziemi i nieba, którzy ochotnie śpieszyli z poradą wielkim i maluczkiem świata tego. Stanąwszy przed starcami, pokłonił im się pokornie i wyjawiał cel przybycia.

Wtedy przemówił wiekiem z nich najstarszy, który w gwiazdy patrzył i śledził święte ich biegi.

— Zanim ci rady udzielim, wpierw musisz przeczytać dzieje swoje, które od początków twego królowania po dzień dzisiejszy spisał drugi po mnie wiekiem brat mój. Ojczy dziejopisie, podaj mi księgę dziejów króla Nenufara!

I zdjął czcigodny mędrzec z jednej z polic księgę w czerwony pergamin oprawną, na klamry srebrne zawartą, której ostatnie karty znać niedawno zapisano.

— Oto dzieje twoje. Idź tam w błękitną komnatę i czytaj. Gdy skończysz, wrócisz do nas po radę. Wtedy zleczymy ci serce, ukoimy zbłąkaną duszę.

Usłuchał Nenufar rozkazu i wszedł do księżnicy, gdzie wieki składały swą

mądrość i wiedzę.

Tu usiadł w szerokim, dębowym krześlisku, rozwarł księgę i zaczął czytać.

Wkoło była cisza. Przez sine szyby okien wnikało do wnętrza światło młgawe, niebieskie, że była jak w noc miesięczną rozlana w komnacie łagodna pojaśn brzasku. Od czasu do czasu przerwał milczenie brzęk muchy, co , uderzywszy o witraż, odbijała się i mknęła dalej, czasem zajęknął na marmurach posadzki odgłos kroków któregoś ze starców.

Nenufar czytał. Czytał opowieść dziwną o królu, który nosił jego imię, a był mu dotąd nieznany i obcy. Czytał o własnych czynach, których nie znał i dziwił im się z głębi serca. Bo oto stało w księdze, że zrazu był władzką dzielny i rozumny, że wrogów gromił chrobrą ręką, wyniosły dla dumnych, słodki jak pierzga pszczelna dla ubogich i maluczkich. I kwitnęła kraina Nenufara szczęściem i urodą zasobną w łaskę bogów, co hojnie darzyli. Lud ukochał króla całą mocą prostej swej duszy i błogosławił mu wdzięczny. Matki, wsiowe niewiasty, gdy wioskę czasem przechodził na łów śpiesząc myśliwski, zachodziły mu drogę w witaniu pokłonnym, dary niosąc w miodzie i chlebach, dzieci na ręku mu podając, by ujrzawszy piękną twarz króla umiłowały go na życie, bronić go do śmierci gotowe. Tak było przed laty.

Lecz z wolna poczęło się coś zmieniać. Król zaczął być człowiekiem lekkim, dla którego nic stały, nic ważnym, znaczącym. Jął żyć jakoś cudacznie, jakby dzień po dniu zbywał naprędce, byle dalej i dalej bez końca. Największą radość i najgłębszy smutek jednakowo znosił, zawsze wesół i szczęśliwy, jak w najlepsze lata.

Na dworze zaczęto szemrać, czy przypadkiem król nie oszalał. Działo się coraz gorzej. Wróg napadał coraz natarczywiej, w kraju lud burzył się coraz goręcej.

— Zaprawdę — kończył latopis — trudno jest dociec dróg, którymi błądzi myśl króla. Chyba gusła jakieś szatańskie spętały mu duszę i do szału przywodzą. Może bogi wreszcie zlitują się nad ludem i króla uzdrowią lub ze świata wezmą...

Skończył Nenufar dzieje swoje w strachu śmiertelnym przed końcem, jaki kraj czekał, gdy drogi nie zmieni, rzucił księgę i wrócił do mędrców z ponownym pytaniem.

A wtedy odpowiedzieli mu sędziwi rajcy:

— Ratunku innego nie widzimy, jeśli nie zwierzysz nam całej prawdy tajemnych twych czynów. Nie ukrywaj niczego, choćby ci się ze wszech miar błahym wydało.

Wtedy wyjawiał im król jedyną swą tajemnicę, którą za błahą uważał, jak to w dzień każdy od lat w zwierciadło wspomnień zaglądał, radości swe i bóle zatracając.

Rozpogodziły się oblicza starców, bo prawdę znaleźli.

— Wyjawieś, synu, rzeczy ważne i brzemiennie treścią. Zaprawdę nie błahą, jak

mówisz, tajemnicę piastujesz lat tyle. Bo wiedz o tym ,że, jeśli byś dalej oddawał się przeklętej owej igraszce, zagubiłbyś siebie i duszę swoją na wieki. Lecz oto spuścimy na cię sen magiczny, byś ujrzał stwierdzenie słów naszych; to, co w nim spostrzeżesz, pouczy twe serce i wzmocni twój rozum, że obudzisz się wiedzący i pójdziesz w żywot nowy.

— I zawiedli go w inną komnatę, gdzie owcze runa, jak śnieg białe, głuszyły kroki, zielone szkła okien wcedzały światło łagodne i kojące oczy. I położyli go na miękkim, w gronostaje przybranym łożu, podali napój nasenny, a sami odeszli.

— Gdy już przebrzmiały echa ich stóp, zewsząd od ścian, spoza makat fałdzistych i opon we frędzle ze złotogłowu poczęły wsiąkać do wnętrza słodkie tony jakiejś nadziemskiej muzyki. Płynęły równo, jak pieść ligawki po lęgach, ciekły pieściwą falą dźwięków i kołysały na spoczynek.

— I usnął król i miał zwid taki:

— Na bezbrzeżnym jak morze polu, na dalekim bez kresów majdanie wznosił się bezlik budowli. Jak okiem sięgnąć, zamki, grody, domostwa, chaty. Żadne nie doprowadzone pod szczyt, wszystko jak gdyby w toku dźwigania się, w dążeniu do zawieszeń. A przed każdym stał jakiś człowiek, zda się budowniczy, bo przyglądał się pilnie domowi swemu, to odstępował, to się przybliżał, poprawiał.

— I poznał Nenufar wśród ludzi owych wielu z krewnych swoich i przyjaciół najbliższych, wielu było żyjących, a wielu takich, co już byli pomarli. A każdego budowla była podług duszy jego, a nie wedle stanu, jaki na świecie zajmował. Bo czasem ubogi chłopina stał przy podniebnym zamczysku, uradowany w sercu, że tak pięknie idzie w górę, gdy nieraz dworski wielmoża przy nędznej uwijał się kleci.

— I spostrzegł po czasie śniący, że owe budowle i ludzie przy nich stojący — to jakby jedno, bo każdy jakby wnikał w domu swój i z niego wychodził, każdego twarz przeglądała z okien, ciało rozpościerało się w murach.

— Gdy tak patrzył i okiem wokół wodził, nagle dostrzegł gdzieś w dole głębokim, niżej wszystkich, nawet najlichszych budynków człowieka dostatnio odzianego, który rozpaczliwie rzucał się na wsze strony i ręce o pomoc ku budującym wyciągał.

— Przetarł oczy Nenufar, bo mgła jakby padła mu na nie i nagle jęknął z bólu. Poznał bowiem w człowieku tym siebie. Na szczerzej stał ziemi, w pustym wądole, bez domu, choćby lichej chaty, marnego szałas nad głową — a tu wkoło pustosz niezmierna i znikąd było dostać kamyczka ani cegiełki. Jakże mu było budować?

— Sam stał bez dachu, bez schronu, osromocony przed ludźmi i światem. Więc ręce wyciągał i błagał:

— — Dopomóżcie, bracia!

Lecz owi, lubo ludzie nieźli, pomoc mu nie mogli.

— Jakże ci pomożemy, bracie miły? Sam musisz kamień ciosać, sam podwal

zakładać, słupce utwierdzać. Jakże ci pomożemy, bracie miły?

— Budulcu pożyczcie?

— I cóż ci z naszego budulcu? On tobie na nic zdatny, skoro własnego nie masz. Widzisz, że my go sami znosimy, z siebie czerpiem. Nierozsądna jest mowa twoja.

I odwrócili się od niego, bo czas naglił, a praca wrzała...

A wtedy ku człowiekowi temu wychywały z nor podziemnych jakieś stwory przebrzydłe, śliskie płazy i podłe padalce i wołać nań zaczęły i syczeć:

— Pójdź ku nam, ty nasz a bywaj! Nuże z nami tam w dół!

Włosy zjeżyły mu się na głowie, pot zimny sperlił czoło, krtań dławiał okropny skowyt. I wśród mąk tych król obudził się.

Leżał sam w zielonej komnacie w ciszy, w półmroku. Nagle uczuł się silny i żwawy; myśl krążyła rączym nurtem, jaśń wielka spoczęła w duszy, spotęźniał rozum. Zerwał się złoza i podszedł ku wierzejom. A te otwarły się same przed królem i przepuściły go w drugą komnatę, gdzie nowe drzwi stanęły otworem. Tak stapał krokiem męskim przez długi szereg sal, aż przekroczywszy próg ostatniej, opuścił siedzibę starców.

A gdy znów znalazł się na własnym, królewskim zamku, bez namysłu wtargnął do tajnej komnaty, zdarł zasłonę z lustra i cisnął zwierciadło potężnym rzutem w głąb stawu.

Zawinęło się młyńcem świetlistym, zakręciło wirem i spadło na dno. A król, rozradowany bez miary, godowe przywdział szaty i jasny jak słońce wstąpił w życie nowe, co radości ni bólów się nie wyzbywa, lecz jednych i drugich pilnie strzegąc, chowa je w skarbnicach duszy, jak gospodarz dobry, zapobiegliwy...

Tymczasem zwierciadło, spadłszy w stawowe topiele, zaryło się głęboko w piaski. Znikł jasny połysk, gładź srebrna pokryła się wodną rudawą, popstrzyła powierzchnia w rdzawe cętki; szczęły gdzieś kwiaty cudowne, zapadła się dziwna budowla, zaprzepaściła bez znaku.

Lecz iż było tam ongi tęsknot i smutków wiele, co się ziścić nie miały i więdły w czekaniu nadaremny, wyrósł z głębin na wodach kwiat piękny jak smutek, cichy jak westchnienie. Biały był i twarde miał pąki, kręgiem po brzegach w zieleń liści dłoniastych ujęty.

I nazwano go kwieciem króla Nenufara, skąd nenufarem nawodnym. Później lud wiejski, jako że zawsze prosty i po swojemu wszystko zowiący, przechrzczył smutne kwiecie mianem grążela, iż długie zielone nitki w topieli grąży i wilgoć jej chłonie.

Tuła się odtąd po dziś dzień samotny grążel, błąka po wodach, po stawach, tęskni wieczyście w śnieżnej zadumie, jak smutek cichy, wieczorny...

Opowieść o grabarzu

Przez dwa lata z rzędu po tajemniczym zniknięciu Jana Tossatiego, grabarza przy głównym cmentarzu w Foscarze, uskarżali się mieszkańcy miasta, zwłaszcza osiadli w pobliżu miejsca wiecznego spoczynku, na ciągłe niepokojenie ludności przez duchy zmarłych. Podobno jednych dręczyły najrozmaitsze zmory we śnie i na jawie, innym zastępowały drogę nocną porą jakieś widziadła, innym mąciły wieczorne godziny wałęsające się hałaśliwie po izbach fantomy.

Nie pomagały msze, odprawiane po domach, ani egzorcyzmy, przeprowadzone przez biskupa nad grobami.

Owszem, niepokoje, płynące, zdaje się, z cmentarza głównego przeniosły się jakby epidemicznie na inne i wkrótce całe miasto padło ofiarą kapryśnych nieboszczyków.

Dopiero przybycie uczonego archeologa i znawcy sztuk plastycznych, mistrza Wincentego z Pragi, Gryfa, i skuteczne rady, jakich udzielił stroskanym rajcom miejskich, położyły kres niebezpiecznym zjawiskom.

Mistrz, zbadawszy dokładnie cmentarz główny, zwłaszcza jego pomniki i nagrobki, wydał niebawem książeczkę pod tytułem: *Satanae opus turpissimum, seu coemeterii Foscarae, regiae urbis profana violatio*. Dziełko to, unikat w swoim rodzaju, wydrukowane w roku 1500, bez miejsca, w języku łacińskim, jeszcze średniowiecznym, należy dziś już do białych kruków, zapomnianych pod stosem pyłów bibliotecznych.

Na podstawie sumiennego studium, które Gryf przeprowadził nad mogiłami, doszedł uczony badacz do wniosku, że cmentarz główny w Foscarze uległ niebywałej w dziejach chrześcijaństwa profanacji.

Twierdzenie Wincentego spotkało się w pierwszej chwili z gwałtowną opozycją i niedowierzaniem, gdyż wywody mistrza opierały się na szczegółach zbyt subtelnym dla niewprawnego oka gminu. Lecz gdy wezwani na pomoc z miast sąsiednich artyści i rzeźbiarze osobiście stwierdzili trafność sądu, nie pozostało nic innego, jak przyjąć z wdzięcznością wyrok i zastosować się do zbawiennych wskazówek.

A opinia Gryfa była istotnie nader ciekawa i oryginalna. Albowiem dopatrywał się profanacji właśnie w owych wspaniałych pomnikach, w owych stelach grobowych i szumnych napisach, z których słynął na kraj cały cmentarz foscaryjski. Przysłowiową stała się piękność tego ustronia zmarłych i każdy podróżnik, zwiedzający uroczą Toskanię, obejrzeć musiał choć raz jeden cmentarz w Foscarze.

A jednak wykazał mistrz Wincenty po sumiennym, przeszło całomiesięcznym badaniu, że poza zbożnym pozorem dostojnych dzieł sztuki kryje się z piekielnym

iście mistrzostwem zamaskowane świętokradztwo.

Owe pomniki, kute w marmurze sarkofagi i grobowce rodzinne były jednym, nieprzerwanym łańcuchem bluźnierstw i szatańskich pomysłów.

Spoza hieratycznej pozy nagrobnych aniołów wyglądał lubieżny gest demona, na ściętych boleścią ustach geniuszów żałoby igrał nieuchwytny uśmiech cynizmu, pochylone wichurą rozpaczy kształty cmentarnych niewiast drażniły przepychem ciała, rozwianą kaskadą włosów, obłudnym sromem obnażonych piersi. Kompozycje większe, powstałe z układu kilku figur, sprawiały wrażenie dwuznaczne, jak gdyby rzeźbiarz umyślnie wybrał tematy drażliwe, gdzie granica między wzniosłością bólu a bezwstydem niepewna i chwiejna.

Najmniej już jednak wątpliwości budziły napisy – owe słynne stanze foscaryjskie, których uroczystym spadkiem, przedziwną ważkością kadencji zachwycali się mistrze słów wiązanych. Wiersze te, czytane na wspak, od dołu do góry, były haniebnym, jedynym w swoim cynizmie, zaprzeczeniem tego, co głosiły w kierunku przeciwnym.

Były to istne peany na cześć szatana i jego plugawych spraw, hymny bluźniercze przeciwko Bogu i dusz świętości, rozpustne piosenki o falernie i drożnej ladacznicy.

Takim w istocie swej miał być cmentarz. Cóż dziwnego, że umarli na nim spoczywać nie chcieli, że podnieśli złowrogi bunt, domagając się od żywych usunięcia świętokradczych pomników?

Toteż, pod wpływem odkryć Gryfa, postanowiono poddać cmentarz gruntownej przemianie. W przeciągu paru tygodni pogruchotano wszystkie podejrzane nagrobki, wykopano płyty, posągi, a odruzgi wywieźli pachółkowie poza miasto. Na miejsce dawnych postawiły rodziny zamożniejsze posągi nowe, ubożsi zatknęli na grobach proste krzyże. W kaplicy cmentarnej odprawiał proboszcz przez trzy noce egzekwie, zakończone wielkim nabożeństwem oczyszczalnym.

I oto po dokonaniu tych wszystkich czynności zmarli przestali nawiedzać miasto i cmentarz ukoił się, pogrążając w cichą zadumę lat dawnych.

Wtedy zaczęły wśród ludzi krążyć przeróżne opowieści o minionym zdarzeniu i powoli kształtowała się legenda, związana z dawnym grabarzem, Giovannim Tossatim, przezwanym nagle, ni stąd, ni zowąd, Janem Hieną.

Przyczyniła się do tego w znacznej mierze śmierć jednego z miejskich żałobników, zaszła wkrótce po rekonstrukcji cmentarza. Człowiek ten poczynił przed zgonem ciekawe nader zeznania, które wyjaśniły nagłe zniknięcie Tossatego, oszczędzając widzom trudu nadaremnych poszukiwań rzekomo zbiegłego złoczyńcy.

Spowiedź ta, podawana z ust do ust, rozeszła się szeroko po okolicy i, ubarwiona bujną fantazją ludu, weszła z czasem w krąg owych ponurych gawęd i

opowieści, które, znikąd rodem, obłądu dzieci, przędą czarne swe nici na kołowrotkach wieczorów zadusznych...

Giovanni Tossati zjawił się w Foscarze po raz pierwszy mniej więcej przed laty dwudziestu. Ubrany nędznie, niemal w łachmanach, zrazu budził powszechne podejrzenie i gmina chciała go nawet z miasta wydalić. Niebawem zdołał jednak zaskarbić sobie względy mieszkańców i władz, którym przedstawił się jako zubożały kamieniarz i rzeźbiarz nagrobków. Poddany egzaminowi próbnemu, wykazał świetne zdolności i rękę zaprawną w kunszcie.

Nie tylko więc pozwolono mu zostać w mieście, lecz, ulegając dziwnie uporczywym prośbom artysty, mianowano grabarzem przy cmentarzu głównym; odtąd miał stawiać nagrobki i grzebać zmarłych.

Utrzymywał bowiem, że równoczesne spełnianie tych dwóch obowiązków stanowi dlań nierozdzielalną całość, że oddawanie ostatniej posługi zmarłym wiąże się u niego najściślej ze sztuką stelograficzną i nie potrafiłby wystawić nieboszczykowi pomnika, nie pogrzebawszy go wprzód własnoręcznie. Dlatego też później, chociaż sława jego objęła szersze kręgi i znanym stał się i w miejscach odległych, ani razy nie przyjął korzystnych propozycji, jakie mu czyniono ze wszystkich stron; uwieczniał pamięć zmarłych wyłącznie na swoim cmentarzu.

Z początku dziwactwo to dało niejednemu pochop do żartów i drwin, lecz z czasem przyzwyczajono się do rozmaitych kaprysów artysty-grabarza, bo dzieła, które wychodziły spod jego dłuta, zyskały wkrótce ogólne uznanie nawet u pierwszorzędných znawców. Skromny dotąd cmentarz stał się w przeciągu kilkunastu lat arcytworem sztuki sepulkralnej i dumą Foscary, której zazdrościły inne miasta.

Z obdartego lazzarona przedzierzgnął się Tossati w poważnego obywatela, cieszącego się powszechnym szacunkiem, człowieka majątnego, jednostkę wpływową i znaczną. Wreszcie wybrano go rajcą i przewodniczącym syndykatu miejskiego. Piastując tak poważne urzędy, nie grzebał już osobiście, lecz wyręczał się całym zastępem pomocników-kopaczy, których wyszkolił w przedziwny iście sposób. W ogóle wprowadził Tossati w procederze chowania szereg oryginalnych ulepszeń, skracających pracę do połowy i przyspieszających tempo czynności. Niemniej jednak, wierny dawnej zasadzie, nie opuścił żadnego pogrzebu i czuwał we własnej osobie nad porządkiem jego części składowych.

Gdy już ciało spuszczone do grobu, wtedy sam zrzucał łopata pierwszą grudź ziemi, resztę dzieła zostawiając służbie. W ten sposób funkcje grabarskie Tossatiego nabrały poniekąd charakteru symbolicznego, przeszedłszy z wolna w rodzaj idealnego wspomnienia. Lecz znak zewnętrzny pozostał i za żadną cenę nie byłby odstąpił od przyjętego zwyczaju.

Już to w ogóle był Giovanni Tossati dziwnym człowiekiem. Sam wygląd zewnętrzny zwracał uwagę przechodnia.

Wysoki, barczysty, z szeroką, ponurą twarzą, wiecznie uśmiechał się zagadkowym skrzywieniem ust. Wzrok miał jakiś niepewny, pochyły; może spojrzenie mimo woli stosowało się do sposobu trzymania głowy, zawsze schylonej ku ziemi, którą zdawał się pilnie przepatrywać.

Miejscy żartownisie mawiali, że Tossati węszy trupy. Mimo sławy zdolnego rzeźbiarza, właściwie grabarz nie był lubiany. Ludzie bali się go i ustępowano mu z drogi. Nawet utarł się przesąd, że spotkanie go o wczesnej godzinie dnia niedobrze wróży.

Toteż, gdy po dziesięcioletnim pobycie w Foscarze, postanowił się ożenić, żadna z mieszczanek nie chciała oddać mu ręki. Nie skusił ich niezmierny dobrobyt Giovanniego, nie znęciły obietnice życia w dostatkach.

W końcu poślubił ubogą wyrobnicę z sąsiedniej wsi, sierotę zdaną na łaskę i niełaskę losu. Lecz szczęścia w rodzinie nie zaznał. Po roku małżeństwa żona wydała mu na świat dwoje bliźniąt: jedno nieżywe, drugie dziwnie ukształtowane w łonie matki. Potworek niepodobny do ludzkich dzieci umarł trzeciego dnia po porodzie. Zrozpaczona kobieta znikła nagle z domu i wszelkie poszukiwania zbiegłej spełzły na niczym.

Odtąd żył sam opodal cmentarza w swym białym, murowanym domu i ludzi widywał chyba na pogrzebach. Tylko nocami do późna świeciło się w oknach jego mieszkania i nieraz dochodziły stamtąd sąsiadów ochryple okrzyki pijanych ludzi. Tossati miewał niemal noc w noc jakiś gości; lecz nie byli nimi na pewno mieszkańcy Foscarey – nikt w mieście przynajmniej tym się nie chlubił.

Zajeżdżały przed dom grabarza jakieś pojazdy, czasem sute kolasy – wysiadali jacyś obcy ludzie ze stron nieznanych i wchodzili do wnętrza – to znów wtaczały się, skrzypiąc, przez bramę wjazdową ciężkie wozy, zwykle puste, na które ładowano jakieś skrzynie, mocno obite paki, by wywieźć je precz niewiadomo dokąd przed brzaskiem rana.

Wszystkie te tajemnicze ruchy rzeźbiarza śledziło miasto tylko z daleka, nie śmiąc mieszać się do spraw człowieka dziwnego, który przejmował strachem i grozą.

Już wtedy osnuły grabarza i jego domostwo ponure legendy, narastające z latami, gawędy cmentarne, przepojone rozkładem zwłok i czadem zgnilizny.

Mówiono, że Jana nawiedzają umarli i wiodą z nim po nocach tajne rozmowy o rzeczach nie z tego świata. Dlatego nikt nie odważył się podkraść pod jasno oświetlone okna i przypatrywać gościom.

Tossati wiedział o krążących o nim powieściach i nie starał się im przeciwdziałać; owszem jakby usiłował oprząść się jeszcze gęstszą siecią tajemnic, by ukryć poza nią swoje ciemne życie.

Cała fortuna świętokradcy wyrosła z cmentarnego podłoża, dom jego, mienie i życie nasiąkło z biegiem lat trupim zaduchem. I wszystko uchodziło bezkarnie. Póki chodził po ulicach Foscery, umarli zdawali się znosić cierpliwie wyrządzoną obelgę; jak gdyby demon zła, tkwiący w tym człowieku, utrzymywał na uwieży świat cieniów, jak gdyby sataniczna wola grabarza pętała wszelki objaw buntu zbezczeszczonych nieboszczyków. Tossati wciąż chodził po świecie wysoki, nieco przygarbiony i wciąż śmiał się niewiadomo do kogo. Uśmiech ten w latach ostatnich jego ziemskiej wędrówki nie zszedł mu z twarzy ani na chwilę i stał się nawet jakby łagodniejszy. W ogóle twarz Tossatiego w tym czasie sprawiała wrażenie mumii z zakrzepłym na wieki wyrazem: była to ciągle, niezmiennie uśmiechnięta twarz dobrodusznego poczciwca: kamieniarz nosił od dwóch lat stale gipsową maskę. Materiał, z którego ją dał sporządzić, naśladował tak wybornie karnację ciała, maska przywierała tak szczelnie do twarzy, że jej nie zauważono: chodził wśród ludzi swobodnie, nie wzbudzając podejrzeń ni śmiechu.

Dopiero przypadek odkrył jego lice prawdziwe z owej epoki, zajście dziwne, wyjątkowe, po którym nie miano go już więcej oglądać pośród żywych...

Stało się jesienią, w jeden z tych dni smutnych, deszczowych, gdy nabrzmiała wilgocia ziemia osnuwa się mglistą zadymką, splakany dżdzem świat grąży w ponurą zadumę.

Po południu, w najgorszą szarugę, odbył się pogrzeb; pochowało miasto najbogatszego obywatela, powszechnie cenionego kupca i właściciela przedziałń jedwabiu. Olbrzymi orszak żałobny, złożony z przedstawicieli pierwszych rodzin mieszczańskich, z wszystkich cechów i najświetniejszej młodzieży, odprowadził zmarłego na cmentarz, gdzie spoczął w grobowcu rodzinnym.

Tossati był w dniu owym w świetnym humorze i ukradkiem zacierał z zadowoleniem ręce. Zmarły był człowiekiem niezwykle zamożnym i złożono go do trumny w stroju nader kosztownym; przy zdejmowaniu zwłok z mar, zauważył grabarz na palcu średnim i małym dwa brylantowe sygnety, a na piersiach bezcenną spinkę z rubinu. Ponadto od dawna już nie grzebał ciała zachowanego w tak dobrym stanie, nadającego się tak doskonale do badań anatomicznych; stary profesor z Padwy będzie z niego tym razem bardzo zadowolony. Podwójny łup zapowiadał się wcale pięknie; wymagał wprawdzie pracy ciężkiej i żmudnej, zwłaszcza, że grobowiec zamykał się solidnie, lecz sprawa warta była trudu.

Przyszła mu nagle ochota zajrzeć wieczorem do gospody „Pod Hieną”, austerii niedaleko cmentarza, której był potajemnym założycielem. Dom ten, wybudowany przed laty, dzięki jego skrytym staraniom i funduszom, ochrzcił tym dziwnym wezwaniem nieznanomy cieśla, przybyły na specjalne żądanie grabarza.

Nazwę usprawiedliwiał fronton budynku z podobizną kamienną hieny, prężącej swój cętkowany grzbiet nad resztkami padliny. Wkrótce zagroda stała się punktem zbornym karawaniarzy i żałobników, którzy tutaj po każdym pogrzebie odprawiali

stypę, przepijając świeży zarobek.

Giovanni z zasady nie pokazywał się w tej jaskini gry i nocnych hulatyk, chociaż lubił tamtędy przechodzić nocną porą i przysługiwać się pijanej ochocie swoich ludzi.

Mimo to owego wieczora nie zdołał oprzeć się pokusie i postanowił incognito wmieszać się pomiędzy cmentarnych pachółków. Przebrał się wtedy do niepoznania w bogaty strój szlachcica wyższego typu, wdział nieodstępną maskę, przyprawił brodę i, nasunawszy na głowę skrzydlaty rycerski kapelusz, wszedł do gospody wcześniej niż inni, by obserwować swobodnie pośmiertny bankiet swych „dzieci”.

Tego wieczora naschodziło się do oberży ludzi sporo najrozmaitszych stanów i zawodów – czas był słotny, nuda dławiała w domu, a i odpust, który przypadał nazajutrz, sprowadził mnóstwo gości z okolicy. Gospodarz zagrody, chytry, filuternie uśmiechnięty starowina, biegał od stołu do stołu jak fryga, zwijał się, pochrząkiwał, dolewał wina, zachęcał do śpiewu. Gromada wędrownych cyganów, przykucnąwszy w kącie sali, przygrywała smętno-dzikię piosenki, wtórowały lirze dziady.

Koło ósmej wieczorem weszli karawaniarze i gospoda nabrała właściwego stylu.

Tossati nie brał udziału w rozmowie. Zasunięty w ciemny kąt izby, zasłonił twarz szerokim skrzydłem kapelusza z obawy, by go nie poznano, i milczkiem spełniał tylko niezliczone kubki starego miodu; słuchoł i obserwował.

Humory były nadzwyczajne, nastrój zwłaszcza po wejściu żałobników wyśmienity. Sypały się anegdoty, skrzyły dowcipy, pryskały rakiety żartów. Zwłaszcza Pietro Randone, szwajcarski żałobny, wysoki, chudy jak laska drab, prześcigał towarzyszy w kreśleniu obrazków jurnych, których treść czerpał z przeżyć własnych.

Koło północy gospoda zaczęła się opróżniać. Znużeni pijatyką goście wysuwali się pojedynczo z odymionego domu i znikali w czerni nocy. Tossati, przebrawszy miarkę, zadrzemał. Ręka opadła leniwo na stół, ściągając z ociężałej głowy ochronny kapelusz. W jakiejś chwili obezwładnione napojem ciało ześlizgnęło się z ławy i spadło ciężko na podłogę. Grabarz nie przebudził się; opilczy sen zmógł go zupełnie. Dobroduszna maska, zaczepiwszy o nogę stołu, zsunęła się z twarzy i z cichym szelestem potoczyła pod krzesło. W zgiełku nie zwrócono z razu na to uwagi i Giovanni spał spokojnie pod ławą, niezaczepiany przez nikogo.

Lecz gdy po dwunastej austeria opustoszała i pozostało tylko czarne bractwo śmierci, leżący pod ławą gość w stroju dostojnym skupił na sobie ciekawe spojrzenie ostatnich biesiadników.

— A ten się dopiero ululał, niecnota! Pił jak na stypie! Dalej z nim do światła!

— Zobaczmy, co to za gagatek!

— Jakiś bogaty kupiec lub rycerz-włóczęga w pogoni za przygodą. Nuże wydobyć go spod ławy!

Kilka skwapliwych ramion wyciągnęło się ku śpiącemu i położono go na wznak na podłodze. Lecz ujrawszy wyraźnie twarz spitego mężczyzny, wszyscy jednym rzutem cofnęli się. W oczach żałobników zaświtało przykre zdumienie. Bo oto korpus nieznajomego, odziany w wytworne, miękkie szaty miał głowę trupa; pozapadane głęboko otchłanie oczodołów zionęły chłodem śmierci, skóra wyżółkła, pokurczona, zlewała się barwą z wyskakującymi kośćmi policzków, czaszka bez włosów, bez uszu lśniła gładką gołoledzią piszczeli...

Głuchy pomruk przebiegł gromadę karawaniarzy. Sprawa zaniepokoiła ich. Pierwszy „zorientował się” Randone.

— Co za głupi żart! Który z was wyciągnął tego nieboszczyka na maskaradę? No, przyznać się, póki czas!

Zapadło milczenie. Patrzyli na siebie w osłupieniu, nie rozumiejąc, o co chodzi. Żaden nie poczuwał się do winy.

— Ha – podjął Szwajcar – na razie mniejsza o to; rozprawimy się z żartownisiem później. Teraz brać go na bary, póki czas i prosto na cmentarz! Za dwie godziny dnieje – czasu mało; trzeba się spieszyć, nim zejdzie dzień. Jeśli miasto się dowie, zginęliśmy!

W milczeniu spełnili rozkaz. Sześciu karawaniarzy podniosła Tossatego i, włożywszy go na ramiona, wypadli z nim przez drzwi oberży na drogę cmentarną. Szli szybko, rozglądając się z przestrachem, czy kto nie podgląda; nie zważali na błoto po ulewie, obryzgujące im nogi po kolana, brnęli na przełaj gościńca po bajurach chlupoczących deszczówką. Pędził ich dziwny lęk i rozkaz niby przewodnika, niby czyjś inny, niby jakaś konieczność wewnętrzna. Nie rozumowali nic; nie czuli dziwnej ciepłoty zwłok, nie spostrzegli, że ręce trupa jeszcze nie przegniły, nie zwrócili na chwilę uwagi na różnicę stanu głowy i reszty ciała. Byle naprzód, byle prędzej, byle raz z tym skończyć!

Zanurzyli się w chłodne aleje cmentarza; minęli główną, przeszli parę bocznych i skręcili w prawo pomiędzy świeże groby. Przy jakimś, ukrytym wśród gąszczy jaśminu przystanęli i złożyli go z ramion na ziemię.

— Za łopaty – rozległ się cichy rozkaz Piotra Randone.

Żwawo chwycili za styliska i zaczęli wyrzucać mokre grudy. Za kwadrans był już dół głęboki.

— Na spód z nim! – odezwał się ponownie Szwajcar.

Tossati nie drgnął, nie poruszył się; spał jak zabity, fatalnym, żelaznym snem.

Skwapliwe czarne ręce uniosły go trochę ponad ziemię i strąciły w jamę. Głuchy stęk spadającego ciała zlał się z uderzeniem motyk i łopat, zarzucających z powrotem grób. Ludzie pracowali z rzadką gorliwością, jak opętani, na wyścigi. Za kilka minut dół wyrównano do niepoznaki, a świeżo naniesiona i ubita naprędce

darń dokonała reszty.

Wtedy odetchnęli; otarli zbrukanym rękoma perlisty pot z czoła i spojrzeli po sobie dziwnym, zagadkowym wzrokiem. Potem, nic nie mówiąc, zabrali łopaty i spieszenie oddalili się ku wyjściu.

Była może druga nad ranem. Począł padać znów deszcz drobny, przesiany jakby przez przetak. Z cmentarnych brzóz spływały mokre rózańce łez, ściekając cicho po ścieżkach. Wilgotne gałęzie krzewów gięły oślizgłe wiciny, rozchwiane smutno na wietrze płaczki-żałobnice. Szary blask przedświtu, przepuwszy ścianę drzew, przepatrywał zdziwiony smętną ustron. Ptaki jakieś złe, oślepe kirem nocy, załopotały złowieszczo pośród konarów i zaszyły się głębiej między liście. Mżył deszcz, szumiały drzewa, mętniał brzask...

Z bramy cmentarnej wysuwał się ukradkiem długi, czarny orszak karawaniarzy; chód ich ciężki, niepewny, głowy nisko opuszczone na piersi...

Sad umarłych

Baśń zadusznna

Tutaj już spokój. Tutaj wieczysta już cisza. Piosenka wędrowca-przechodnia, gdy tu się przypadkiem zabłąka, wnet milknie. Nawet ptaszki tu ciszej zawodzą...

Przez zwietrzałe mury, co mchem, chwastami zarosły, przechylają smutne głowy brzozy, kaliny i opowiadają światu tęsknotę wnętrza. Bo wszystko tu smętne zadumą.

W dal pomykają piaskiem zasnute ścieże, rozgradzając rzędy mogiłek pod krzyżem. W cieniu rozsiada się smutek, snując łagodne przedziwo spełnionej już doli...

W powietrzu woń silna. Idzie od lip przewonnych, akacji, z jabłoni płynie, od grusz. Mocna, posytna to woń.

Drzew pełno, bo w sadzie cmentarnym i krzewów przeróżnych nie zliczy. Uginają się pod ważkim plonem jabłonne spławy kraśnieją hoże lica gruszek, stoją w sonej barwie owoce śliw. Niby sad, niby cmentarz...

Z gęstwiny dzikich róż sterczą czarne ramiona krzyży i smutną myśl nawodzą – rozwieje ją wiatr, gdy, musnąwszy w przelocie czereśnię, przykryje soczystą gałęzią znak zgonu. I znów tylko sad kraśnieje...

Tam, pod jaworem niewiasta stoi; kamienną zarzuciła chustę na schyloną głowę, boleści wielkiej ruchem i łka...

Nie patrz tam! Nagrobna to płaczka. Ot tam na lewo jabłonki dościgłe witają szerokim pokłonem uśmiechnięte trześnie...

Spod mszystych badyli łopianu kadłub jakiś wystaje, na poły powietrzem strawiony. Znać anioł mogiłny był niegdyś i straż sprawował przy zmarłym – dziś już spoczywa i służby nie pełni, znużony. Niech śpi w spokoju i ciszy!

Wśród kęp dziewanny czernieją resztki krzyża zbutwiałe, przez robaka zjedzone. Gdzieś z kąta przylaszczka wytrysła. Pleni się życie na próchna poglebiu...

W blaskach jesiennego słońca lśnią pozłacane blaszki kart grobowych, chylą się wyschłe wieńce i czarne korale różańców. W złocistej powodzi promieni dościga rześny płód drzew, bo zległy bogate – pachnie mięta, rumianek – rozwodzi żółte płatki świętojańskie ziele, bieleją gładkie łuski nieśmiertelników...

Cicho jest w sadzie cmentarnym, cicho i smętno-rzewnie. Czasem przerwie głuszę twardy rzut spadającego jabłka, czasem pszczoła w kielichu kwiatowym zabrzączy, ptaszek zakwili...

Powoli posuwa się cień pni, znacząc południe życia umarłym...

Ścieżyną ostami zgłuszoną idzie siwy jak gołąb starzec; za rękę dziewczynę trzyma. Głęboka a cicha radość prześwieca im z oczu, gdy stąpają wśród mogił. Uśmiechają się dobre, wypłowiałe oczy starca, jutrznieje szczęściem twarz dziewczyny. To Grzela Cmentarny i jego wnuka.

Niegdyś, przed laty, gdy w sile wieku utracił młodą żonę, odeszła go ochota do roli i został grabarzem. Zrazu chował ludzi miejskich, potem oddawał ostatnią posługę wsiowym. Smutną miał dolę stary Grzela. W rodzinie przeżył wszystkich.

Pochował żonę, matkę, córkę – została tylko ukochana wnuka, u której życie wyprosił gorącą modlitwą u zmarłych.

Bo padł raz mór wielki we wsi i w mieście na ludzkie dzieci i nie było chaty ni domu, gdzieby po nich nie płakano. Przez dwa tygodnie chodziła po zagrodach, po domach krasnowarga dziewczucha, przystawała pod oknami i rozpościerała plamiste rańtuchy. A czyje dziecko podało jej rączki, marło jak kwiat sierpem zżęty. Drżał z trwogi Grzela, by i jego najmilszej Magdusi, jedynej co mu pozostała na świecie, morowa niewiasta w chusty nie pobrała. Przeto, grzebiąc owe pomarłeta, ślub im czynił, że będzie jak ojciec chodził koło ich mogiłek, gdy mu wyproszą u Boga wnuczkę.

Jakoś zaraza minęła i Magdusia została na świecie.

Pogrzebawszy ostatnią dziecinę, rzucił stary na zawsze smutną posługę i osiadł z wnuczką na „cmentarzu młodzianków”. Tak bowiem nazwali ludzie miejsce między wsią a miastem, gdzie osobno, z dala od dawnego cmentarza, chowano zmarłe na straszną chorobę. Potem też nikt z nieboszczyków tutaj nie przybył; pochowisko obwiedziono murem i zaparto.

Dawny grabarz zamieszkał w środku, w drewnianej kostnicy i doglądał cmentarza. Wrychle też przywykł do miejsca bardzo i związał się z nim serdecznie.

Pomny dawnej obietnicy pielęgnował swą smutną ustron, jak ongiś własne obejście. Poprawiał groby, podsypywał ziemi, prostował garbate krzyże.

I Magdusia wdzięczna była za życie umarłym. Na mogiłkach sadziła kwiaty, zioła, plotła wieńce, pełta zarosłe ścieże. Wnuczka grabarza lubiła smętek ogrójca i jego długie, głębokie zadumy. Znała wszystkie dzieci, co tu leżały pod ziemią w białych trumienkach, rozmawiała z nimi nieraz, gdy, przysiadłszy na murawie, znużoną snem główkę złożyła pod krzyżem.

A leżały tu różne. Były dzieci bogaczy miejskich, za żywa przywykłe do dostatków, odziewane w strojne sukienki – były i biedactwa z zaułków, z kurnych chat, wieczyście głodne i obdarte, szcękające z zimna białymi ząbkami, w jednej koszulce pogrzebane, bo matki na więcej nie stało. Obok zdobnych marmurem pomników, nagrobnych łzawnic, osłoniętych śnieżnymi skrzydłami aniołów, tuliły się w cieniu kalin proste, drewniane krzyże.

Magdusia wszystkie jednako kochała, złączone wspólną dolą jednako garnęła do piersi...

A tymczasem cmentarz zmieniał się i dziwnie piękniał z latami.

Dziadziuś bo zwolna przemieniał go w sad. Na każdej mogiłce zaszczepił to jabłonek, to gruszę, czereśnię lub śliwę i strzegł płonek jak oka w głowie, ochraniając przez zimę.

Aż raz jesienią, po latach kilkunastu przyniosła dziadkowi Magdusia śliczne, rumiane, duże jak pięść jabłko.

Lecz starzec, choć snadź szczęśliw z plonu, zgromił ją surowo i nie pozwolił rwać owoców cmentarnych.

— Nie wolno! To ich, to płód tych, co zmarli.

Posmutniała Magdusia i, patrząc w Grzelę głębiami czarnych jak przepaść oczu, zapytała.

— A cóż stąd, dziadku? Co im po jabłkach lub gruszy? Takieć to złe zmarłe dzieci? Wszak nie raz samiście powiadali, że oni z tamtej strony lepsi od nas żywych, bo już przez zgon oczyszczeni z grzechów.

Radował się Grzela na te proste słowa dziewczyny.

— Juści mówiłem, bo i prawda, lecz widzisz lęk jakiś mnie chwyta, ilekroć po te owoce sięgam. Tak ci mi jest, jak gdybym je okradał. Toż to cała ich radość, z popiołów własnych wytrysła. Toć te maleństwa tak krótko żyły na tym świecie, że ani kruszyny szczęścia podobnego nie zaznały, w zaraniu skoszone przez chciwą kostuchę. Patrz, ilu tu młodzianków, ile przyszłych dziewczek posnęło cicho, nie doczekawszy lat swoich. Każde z nich mogło kiedyś po dniach wielu wyrość na chwackiego junoszę, dorodną dziewczę, pobrać się, w szczęsnej doli żyć razem, dzieciom chatę bogatą zostawić... Bóg nie dał. Poszło inaczej. Niechże bodaj teraz radują się tym, co z próchnicy ich kości w górę strzeliło, niechże choć taki po nich ślad zostanie. Przeto nie chcę im tego ruszać. Ich to, z ich ciał wykwitło i do nich niech wraca. Niedobrze jest tykać owoców tych, co pomarli.

I na tym też stanęło.

Na wiosnę przybierał sad kwiecistą szatę bladioróżanych płatków jabłoni, śnieżył wiotkim puchem kwiatów czereśni, grusz – przez lato żrzał w pocałunkach słońca – jesienią rzucał ściągły i jędrny płód. A gdy już snuć się poczynały po przybladłym niebie srebrzyste przedziwa pajęczyn, a po ogrodach obtulano jesienne róże, spadał na ziemię gęsty pokot krągłych jabłek, smukłych jak dzwonki polne gruszek, sianiały wśród traw ciemne owale śliwek.

Nikt ich nie ruszał, wszystko leżało nietknięte w rześnym nadmiarze jak łaska szczodra, przebogata, ale wzgardzona. A gdy już gnić miały i na gładkich ich licach zaczynały wykwiatać chore plamy, zgarniał je Grzela w płachtę i zakopywał w

groby; wracały tam skąd przyszły.

Jedną tylko jabłonkę podle kostnicy wyrosłą samotnie zatrzymał cmentarnik dla siebie i wnuków, i owoce z niej zbierać się ośmielił.

Drzewo rosło z dala od grobów i nie tykało ciał pochowanych.

— Całać to moja zapłata, co mi ją te biedactwa za posługę dają. Może i mi tej jednej jabłonki nie poskapią.

Reszta drzew rodziła hojnie, lecz nadaremno, bo nikt plonów nie używał. Ni ze wsi, ni z miasta nikt ruszyć czegoniebądź z sadu się nie ważył, świętym zdjęty strachem przed pomstą pomarłych. A jeśli czasem łobuz jakiś zuchwał, przechodząc mimo, zerwał przez mur owoc, mówili ludzie, że gorzko potem żałował; albo go choroba zła napadła lub strach ponocny zdejmował, lub coś mu się gorszego przydarzyło.

Takie przynajmniej wieści chodziły po ludziach. Lecz Magdusia nie bardzo im dawała wiary.

— Ot ludzie! – mówiła nieraz do Grzeli, gdy dziad tajemniczo powtarzał te gawędy. – Bredzą i zmyślają na tych, co nie po ich myśli idą. A ja przecież przy swoim stoję. Lepszy są zmarli, niż powiadacie, nie chciwi jabłek swych ni gruszek.

Stary uśmiechał się, kiwał głową, niby przytwierdzając, ale jakoś robił to samo co roku.

I tak obradzał cmentarz, wysilał się co roku w twórczym znoju i grzebał w podziemnych zachowach pracę lat bez spożytku. Chyba tylko ptaki niebieskie lub czerwy gryźliwe napoczywały gdzieniegdzie ścielące się wśród zielsk i trawy barwnymi wstęgami owoce i, wydrążywszy małe otworki w jędrnej caliźnie, poniechiwały reszty, póki nie zgniła.

Aż snadź sprzykrzył sobie sad to rodzenie bez celu, bo od jakiegoś czasu coraz to mniej począł miotać płodu. Coraz to rzadziej przeglądały poprzez zgiełkliwą zieloność liści czerwone od zdrowia jabłka, gruszki, coraz skąpiej powlekały się siną zabarwą owoce śliw. Wzgardzone dary grobów, jakby wstydem zdjęte, chowały się w głąb, nieskore wychylić się z ciemni.

Tylko jabłoń koło kostnicy, co jej Grzela z wnuką zażywał, rodziła jak wprzódy i hojniej. Takich jabłek nikt podobno nie jadał w okolicy. Duże były jak głowa dziecka, soczyste i sykie aż dziwno.

Cóż, kiedy reszta drzew wypłonnała? Gryzł się Cmentarny tym wielce i w głowę zachodził, dlaczego. Duszę radby oddał, by klęsce zaradzić. Więc gnoił glebę, przesadzał, mierzwił, nawoził czarnoziemem – wszystko na próżno: w najbliższą jesień ledwo parę jabłek i gruszek błąkało się samotnie po osmętniałych drzewach.

I coraz ciszej i smutniej było na starym cmentarzysku. Dawniej, bywało, zwabione kraśniejącą pośród listowia przynętą wilgi, kosy, szare jak popiół pośmieciuzki zlatywały chmarami między groby i świergotały dzień cały do nocy.

Na wiosnę znęcone kuszącą wonią miodów spływały na przejrzystych skrzydełkach pszczoły-pracownice, zapuszczały łaknące żądła w okółki płatków i ssały kwiat wiśni, jabłoni pobrzękując srebrzyście. Teraz obojętnie mknęły mimo, szybując na łąki, gdzie czekała obfitsza zastawa.

Tylko piosenka Magdusi wędrującej wśród uśpionych mogiłek przerywała ciszę odludzia. Dziewczyna nuciła pieśni tęskne, przejęte cichym smutkiem ogrójca; drgał w nich żal nieziszczonych nadziei i ból rozwianego szczęścia, co w drodze umarło. Była czującą duszą cmentarnego sadu i tych, co w nim spoczęli. Umarłych swoich znała po imieniu i dla każdego święciła smętne wspominki. Pod kochającą jej dłonią zabarwiły się kurhanki dzieci krzakami róż, jaśminu, oblekły pełzającymi skrętami rozchodników.

Lecz w górze drzewa stały rzadko obrzucone owocem. Żałość ścisnęła dobre serce Magdusi na wspomnienie owej niegdyś w łaskę przebogatej jesieni, gdy po raz pierwszy przyniosła dziadkowi tryskające jędrną świeżością jabłko, smutna siadywała wieczorami na ławeczce pod rozłogim kasztanem i zamyślonymi oczyma wodziła po białych ścieżkach. Jesienne słońce przesiewało złotawy pył przez przetak liści i, spływając ukośną falą na jej ciemną główkę, stroiło ją w szkarłatne otęcze... Od pni drzew odpadały w dal długie cienie i kładły się długim rzędem pod murami. Wieczorny wiatr szemrał łagodnie wśród splotu gałązek, lękliwie świerkały świerszcze, z nieba dżdżyła na świat cicha rosa...

W taki to jeden wieczór ważyła się Magdusia na czyn, który już dawno błąkał się w myślach, dotąd nieziszczony z obawy przed Grzelą. Upatrzawszy sposobną chwilę, gdy stary, zajęty rąbaniem drew za chatą, ćmił fajkę, podeszła do gruszy, co wybudawszy nad grobem małej Marysi, już zmarniała prawie do szczytu – i śmiałą dłonią zerwała owoc. Potem cicho pomknęła między pierzejami agrestu, przypadła na drugim końcu sadu na murawę i tu z długo oczekiwana rozkoszą spożyła słodką, rozpluwającą się w soczystej pełni gruszkę

Gdy wróciła pod noc do chaty i usnęła, miała dziwny sen.

Zdało jej się, że koło północy siadła w nogach jej łóżka mała dziewczeczka i modrymi oczyma wpatrzona w śniącą, rozplątywała rękoma jasne jak len warkocze. Magdusia chciała jej o coś zapytać, lecz mała, uśmiechając się, położyła palec na ustach i, skinąwszy główką, jakby na znak podziękki, ucałowała ją w usta i odeszła.

I poznała wnuczka Grzeli, że była to Marysia, córka ubogiej wdowy, której zmarło się przed laty podczas morowej zarazy.

Zrazu przełękła się bardzo, czy zmarła nie przyszła upomnieć się o zerwany z drzewa owoc, lecz łagodny, wdzięczności pełen jej uśmiech i pocałunek, którym pożegnała Magdusię, odpędził zmoreę.

Nazajutrz zaraz po przebudzeniu z bijącym sercem pobiegła w sad pod gruszę Marysi. I oto ujrzała rzecz dziwną: na gałązce, z której onegdaj zerwała gruszkę, złościły się dwie inne, świeżo przez noc wyrosłe, smukłe jak dzbanuszki, skraszone

żółtą polewą.

Ogromna radość przewionęła ciepłym nurtem po duszy cmentarnej dziewczyny: Marynia znać wdzięczna była za spożycie owocu z jej gruszy i jakby w podziękę odpłaciła plonem podwójnym.

Przezorna Magdusia nie zwierzyła radosnej tajemnicy dziadkowi, lecz tegoż wieczora ukradkiem zerwała jabłko jednego z marnie obrodzonych drzew.

I znów stało się, jak przeczuło jej kochające serce. Jabłonka wypuściła przez noc na ogołoconej gałązce dwie jędrne zalążnie i nazajutrz kołysały się w pieszczotach wschodzącego słońca dwa świeżo dościgłe jabłka.

A spał pod tym drzewem mały chłopczyk, synek jakiegoś pana z miasta. Spał głęboko po równo z dziećmi wsi i tylko grób miał piękniejszy, bo nad płytą kamienną mogiły, co go przykryła, stał od lat wielki, piękny anioł.

I ów chłopczyk znać wdzięczny był, że nie wzgardzono jego jabłonką, bo nagroził również w dwójnasób, a twarz niebieskiego strażnika, co skrzydła rozwiewał nad jego mogiłą, była jakby jaśniejsza i pełna dobrych uśmiechów...

Tak dzień po dniu zrywała dziewczyna owoc coraz to innych drzew i zawsze na miejsce spożytych wyrastały nowe sownice, choć była już jesień późna i czas niezwykły do pomiotu.

Aż razu pewnego, gdy nad uśpionym światem roztoczyła się pogodna miesięczna noc, usiadła Magdusia przy otwartym oknie chaty i patrzyła zadumana w milczący sad. Grzela spał już smacznie w przyległej izbie, w kącie pod kominem kwilił samotnie świerszczyk, dzwoniła ponocna cisza. Z nieba szła w cmentarz srebrnopylna droga i wnikała w gąszcz krzewów i drzew. Zielonawe strugi księżycy przeciekały między zaroślami, rozświecając drogi mogilne, które snuły się siecią krzyżową na wsze strony.

Miękkie, wrażliwe czułki dotykały nieśmiało liści, traw i wstydliwie umykały z powrotem w przestrzeń bez kresów. A owe dotknięte drżały z rozkoszy, marszcząc się srebrzystym wstrząsem...

Czarne pnie, nastroszone głowy krzaków zostawiały przed sobą niesamowite matnie, czyhając na zdobycz. W powietrzu pod światło buzowały roje drobnych jak proch muszek, to w górę bijąc, to waląc w dół, bez celu, tułaczo...

Pod drzewami na mogiłkach wahały się jakieś białe, przejrzyste mgiełki: wykwitły z grobu małe, w gieźleczka odziane dzieci. Wychynęły na świat boży w jaskich koszulkach i bosymi nóżkami oparły się o darń mogiłek. Wszystkie wyszły z podziemnych przybytków, ni jedno nie zostało w trumience. Była i Marynia, córeczka wdowy o modrych jak bławat oczętach i płowych jak żytni kłos kędziorach, był i ów chłopczyk, pańskich rodziców z miasta synek i wiele, wiele innych bogatych i ubogich, ładnych i brzydkich, miejskich i ze wsi, a wszystkie jednakowo odziane, w koszulce jednej i boso.

Pojaśniało jakoś na cmentarzu od tych śnieżnych komeszek i uroczyście w nim

było ogromnie. Światłość bo wielka szła od nich i skąpała w sobie cały sad. Każde stanęło pod swoim drzewem uśmiechnięte trochę mglisto lecz radośnie i, oparłszy rączkę o pień, spojrzęło w górę, między pustoszą świecące gałęzie.

I oto pod mocą tego cudownego spojrzenia zaczęły jesienne paroście puszczać młode kielki, rzucać jędrne pejcze, rozwierać płatki kielichów, aż miotnął się wszędzie po gruszach, jabłoniach, po śliwach owoc rześisty, jak w zbożny, plenny rok, czasu zrodów dobrych, szczęśliwych.

I odjęły dzieci ręce od drzew i, wyciągnawszy przed się na wsze świata strony, ruchem proszącym, gościnnym zdały się mówić pospołu:

— Bywajcie! A żywo! Bywajcie!

A działały się te rzeczy cudowne w ciszy milczenia, w niemych znakach, bez szmeru, jak we śnie!

Konary poruszane wiatrem przecinały przestrzeń jakby bezpowietrzną, rozwiane gieźlecza dzieci wiły się miękką, bezgłośną falą w poświacie miesiąca.

Przetarła oczy Magdusia niepewna, czy śni, czy czuwa, wyciągnęła rękę i natknęła się na oprawę okna...

Był dzień duży, jasny i potok słonecznych strug opluskiwał jej młodą, rozwitą pierś, co nieopatrznie wychyliła się z przysłonek koszuli. Siedziała wciąż od wczoraj wieczór pod oknem, wdychając rośną rzeźwość poranka.

Na ździebełkach turzyc, na listkach krzów perliły się wielkie, przezrocze łzy – po kątach pod murem topniały rozwiane ostatki mgieł – w górze modro błękitne niebo...

Młodzianków zmarłych niż śladu; wszystko znikło, jak zdmuchnięty wiatrem puch ostromlecza. Przecież nie zupełnie. Bo gdy rozmarzoną źrenicę podniosła ku drzewom, ujrzała, że uginały się od ciężaru, cudownie przez noc tę czarownicą wytrysłych, owoców. Sad zaludnił się jak nigdy od lat, roześmiał dobytkiem rześistym, wystającym.

Podeszła Magdusia do śpiącego dziadka, szarpnęła za świętę i, obudziwszy, podwiodła do okna. A on pokraśniał od cudu i wielkiej radości. I opowiedziała wszystko, nie tając niczego od chwili, kiedy wolę jego surową złamać się poważyła.

A stary słuchał i patrzył na drzewa to znów na wnukę, dziwiąc się jej głębokiemu, miłości pełnemu sercu. I uznał w tym naukę wielką dla siebie i ludzi, bo po raz pierwszy objawiła mu się gorąca wola zmarłych. Usłuchał jej pokorny, z duszą wezbraną szczęściem i ukojeniem.

Tegoż dnia wybrali się w gościnę między ludzi. Magdusia poszła ku wsi, Cmentarny w miasto. Zabawili z pół dnia, a gdy w odwieczny wrócili do domu i dziewczyna zaczęła warzyć wieczerzę, usiadł Grzela pod piecem i, zakurzywszy fajeczkę, milcząco z uśmiechem wpatrywał się w krzątającą się po izbie wnukę. Wreszcie zagadnął:

— Prosiłaś w goście?

— A juści. Przyjdą wszystkie. Radości było co niemiara i dziwu. Nie chcieli ludziska wiary dać. Ledwom wmówiła.

— Bo i pewno. Sambym nie uwierzył. Słyszane rzeczy!

Zamilkł i zamyślił się głęboko. Dopiero po wieczerzy podjął znów to samo:

— Znać nas potrzebują. Chciałyby, widzisz, nawiązać z nami supeł jakiś z za grobu; nie chcą bytować tam bez pożytku. Przeto, jak mogą, tak świadczą. My wzajem modlim się za nich. Tak, tak... jak to się dziwnie jakoś wszystko wiąże, wspiera -święte umarłych obcowanie...

Dopalił fajeczki, wytrząsnął popiół i legł ciężko na pościeli. A Magdusia długo jeszcze w noc myślała nad słowami dziadka, bo głęboko jej zapadły w duszę. Aż i ją sen słodki zmorzył i rzucił w niepamięć...

Nazajutrz od złotego ranka gwarno było w sadzie cmentarnym. Przez rozwartą gościnnie furkę coraz to przemykały się w głąb w świąteczne sukienki odziane dzieci. Szły same lub wiedzione za rękę przez starszych, zarumienione od ciekawości, lecz i z bojaźnią jakąś czcigodną w oczach.

Nadciągnęły ze wsi i z miasta dzieci chłopskie i pańskie na święto wspólne i przyjaźnie witały się w chłodzie jesiennych, ciężkich od plonu drzew.

Zaroił się sad od ruchliwych plamek żółtych, czerwonych, siwych, zielonych, lub ciemnych, rozgwarzył dźwiękiem dziecinnych, jasnych głosów.

Gdy wreszcie koło południa każdy zakątek brzmiał gwarem, z każdej ustroni wyglądały czarne lub niebieskie, niecierpliwością błyszczące oczka, dał Grzela oczekiwany znak.

Wtedy kilku tęgich wyrostków rzuciło się w mig ku drzewom i, wspiąwszy się między konary, zaczęli strząsać na ziemię przebogaty owoc. I padał ulewą i kładł się spodem, urastając w jędrną, soczystą pościel. Rozwahał się ruchem wielkim cały cmentarz i ożył od tych potrząsów gałęzi, chwiejby wierzchołków, nachyłów zbierających dzieci. Zapachem przedziwnym zaniósł się Szczęsny sad, hardo spoglądały w niebo zległe bujnie drzewa; w ukojeniu ogromnym oddawały uznojone spławy na igraszkę wiatrom, zbywszy ciężaru, wolne, swobodne, radosne – z dumą macierzyńskiego szczęścia prężyły rozległe ramiona nad płodem swym szczodrym, nad główkami uwijających się w zbieraniu dzieci, nad tą ziemią kochaną, rodzącą.

Wieczór już rozczzerwieniał na szczytach, skośnie przesła promieni wmotywały się w gęstwę liści, gdy ciężkie zdobyczą dzieci wracały z sadu na gościniec, dźwigając pełne koszyki, węzełki i chusty. I długo jeszcze, długo dolatywał z oddali gwar krzyków, piosenek i śmiechów serdecznych...

Od owego dnia obradzał sad coraz hojniej, zlegał coraz szczodrzej – nigdy nie wyczerpany, nie zmożony trudem, ni znojem tworzenia.

Dwa razy w rok przychodziły po zbiory ludzkie dzieci: raz z początkiem lata, gdy czerwcy świętojańskie rozbłyskują po krzewach, a z pni drzewnych toczy się

miodny lipiec, by pobrać sokiem nabiegłe wiśnie i słodkoustę jagody trześni, wtóry raz jesienią po jabłka, grusze i śliwy. Przychodziły nie jak na zwykłe owocobranie, lecz w zbożnej radości, jak na święto wielkie i ukochane, w niedzielnych sukniach, z pokorą i czcią w sercach.

I nazwano to święto „Sady”, a stary cmentarz „Sadem umarłych”. I było w nim jasno, pogodnie i kąpał się w szczęściu niebiańskim, jak święte gaje bogów, bogaty w plony, dźwięczny świegotem ptasząt, pobrzękiem pszczoł, umiłowany przez ludzi. Bo był cichy a szczodry, plonów pełen, w płód hojny, bo spoczęła na nim łaska tych, co umarli.

Wezwanie

I tak rozbłysło z kolei siódme rano – rozżagwił się krwawą pochodnią moru i zatrąty dzień siódmy...

Bo już sześć dni i nocy stał w płomieniach nad miastem gniew Boży... I skamieniał z rozpaczny świat, struchlał zwierz, poszaleli ludzie...

Tak Allah grzmiał, tak się Allah mścił... — On wielki, On święty, On – kat!

I znów wstało rano. Pogodne, parne, syte żarem słońca – jak w dzień pierwszy... jak w drugi... jak o Allah, bądź przeklęty!

I diwy moru poczęły szaleć od nowa. Miotwały po mieście zatrute, kraśne turbany, włokły po ulicach zakaźne symary – i marli ludzie, i padał zwierz. I złąkły się diwy i chciały odejść. Tak był rześny sprzęt. Lecz Allah poraził je i spędził przemożną prawicą. Więc wróciły... I znów szalała zaraza...

A niebo było jasne, turkusowe jak błyszczące żarem źrenice hurysy i jak one palące... A słońce ziało skwar i gorączkę, przepalało skórę, parzyło wnętrzności – że wyschły studnie, wyparowały wody i tylko w żyłach tętniła głucho krew...

Bo był to czas, gdy słońce dosięga zenitu. Od piekielnej spiekoty zbladło niebo, rozjarzyły się do białości mury, powietrze rozpałała gorączka.

Przyszło pragnienie nieznośne, suche jak samum, płomiennie-grzywy syn pustyni i nastał kres... rozwarła się gehenna zbrodni i szалу...

Matki ssaly krew z naciętych żył dzieci i z ociekającymi posoką wargami oddawały się w rozpacznej żądzy przechodniom. Lubieżni starcy rzucali się z dzikim błyskiem w oczach na młode, niewinne dziewczęta i zdobywali je z niebywałą, szatańską siłą... W pyle drożnym, w kurzawie gościńców tarzała się rozpięta bólem, bezkarna chuć, przewalała się w tytanicznych kłębach trędowata Asztoreth...

Od czasu do czasu, jak z leja morskiego strzaskane, zmiażdżone szczęty wsanego statku – wypadały z rozwścieczonego splotu ciał nagie, stalowo-sine trupy i rozciągały się na ziemi ciche już, stężale i zimne...

Grabarze w czarnych, smolnych opończach zahaczali je żelaznym odziergiem i wlekli do wspólnego wadołu. Raz hak nie trafił, worując się głęboko w łono zadżumionej Gruzinki – spostrzegli i wydobyli żelazo: z ostrza zwisały w krwawych strzępach reszty niedościgniętego płodu...

Na placach, po rozdrożach płonęły wielkie stosy drzewa; szary perz osiadał posępną żałobą na dachach, na zżółkłych skwerach, na twarzach. Suchy trzask ognia przerzynał przyczajoną ciszę grozy, przerywaną krzykiem tkniętego zarazą, pohytnywaniem szaleńców... Nagle z tysiąca niewidzialnych ust podnosił się głuchy ryk czy skowyt, niby odruch na sekundę przytającej świadomości chwili – sponad domów wychylało się węzowisko nerwowych rąk, splecionych w rozpaczliwym

zgiełku palców, powykręcanych stawów, przegubów – wydłużało się, rosnęło, sięgało bolesną konwulsją wypłowiałego nieba... i staczało z powrotem na ziemię... Zachichotały diwy...

W pół-śnie, w pół-jawie wgrzążył się w zawrotny krater czarnych, robaczywych myśli. Bił stamtąd trujący, zjadliwy obrzask i zalewał mózg. W zielonawo połyskujących rzapach krwi przeciągały leniwo przeguby strupieszale grzechotniki – syk, karbonkuły oczu, piana wścieklizny – małe, drgające języki...

Porwał się z otomany... przeszło.

Ukradkiem, jak złodziej, spojrzął przez okno na rozległy plac.

Pod murami, co go na krańcu zamykały, przechodziło parę postaci w długich, szarych burnusach, przepasanych czerwoną kitajką; kilka zdawało się mieć ruchy skrzepowane nieznaną przeszkodą.

— Wariaci – szepnął – więc już i do tego doszło? No tak... przecież teraz to już chyba wszystko jedno...

Znikli za załomem.

Hassan powiódł nerwowo ręką po czole. Rozpełzłe myśli, wspomnienia zaczęły układać się, jednoczyć, zlewać w kontury przykrych, nad wyraz dręczących obrazów...

... Trzech ich było, tak, trzech, a Ibrahim między nimi – Ibrahim, serdeczny druh, przyjaciel drogi – biedny Ibrahim!

Wieczór był... nie... późna noc... wesoło, pogodnie. Palono opium, grano w szachy, on opowiadał zabawną anegdotę. Śmieli się, och, jak serdecznie się śmieli, a on Ibrahim najpierwszy; córkę kochaną, najstarszą, mężowi oddawał – dzielny, piękny młodzian; i Fatmę kochał, jak kochał!

Wzniósł puchar:

— Niech im Allah błogosławi!

Nim spełnił, rozległ się mosiężny jęk trąby.

— Co to? Na twogę muezin gra? Hassanie, bracie, znać łunę nad miastem?

Po twarzach powiał chłodny ciąg powietrza. Drzwi z łoskotem otworzyły się i w czeluści nocy ukazała się kredowa twarz młodszego z synów Ibrahima:

— Ojczy! Czarna choroba w domu! Fatma! - Zwierzęcy ryk przerwał mu w połowie...

Wypadli i znikli w ciemności. Zostali we dwójkę, bez słowa, unikając wzajemnie swych oczu. Tak minęła godzina. Nagle poczęli na się jakoś dziwnie patrzeć, jakoś dziko, wrogo i odsunęli się od siebie, badając uparcie twarze.

Wtem Achmet opuścił pokój, nie pożegnawszy się – poszedł się zamknąć w swym domu. Hassan został sam. Nie zmrużywszy oka, nasłuchiwał czegoś i... nie zawiódł się: trąbka muezina zabrzmiała tej nocy jeszcze raz trzydzieści. A gdy

wybladły blask zazierał w okna, zagrała raz jeszcze i był to raz ostatni... bo już tchu nie stało piersiom muezina... Odtąd cicho już było na galerii minaretu i bezgłośnie już gasły dusze...

Jakaś nieprzewartana chęć wlokła go do wysoko sklepionego okna od strony skweru; w tej chwili skwer był pusty: sprazona bezustannym słońcem darń, pożółkłe, wyschłe szkielety kwiatów i fontanna... zatruta. Hassan czekał.

Z głębi szpaleru cyprysów wysunęła się gromada publicznych hurys. Poznał je po jaskrawych, charakterystycznych strojach, po silnej barwiczce twarzy. Szły bezładnie, z bezdźwięcznym pohutnywaniem tyjad. Twarze trawione gorączką, oczy oszalałe grozą śmierci wychodziły niemal z orbit. Na czele pół obnażona, cudnej budowy kobieta; purpurowa zapona lekko ściągnięta na biodrach koralową spinką, wstężyła się krwawo wzdłuż lędźwi perłowej macicy. Twarzy zwróconej w stronę przeciwną, na razie nie widział.

Kobiety zbliżały się z coraz wyuzdańszym krzykiem. Wpatrzył się uporczywie w przewodnicę. Rysy znajome, niegdyś drogie, uwielbiane... Poznał Zulimę, czarnowłosą kochankę lat młodych, teraz pyszną kobietę, a za chwilę...

Naraz doznał w tyle głowy szczególnego wrażenia. Przez sekundę zdało się, jak gdyby cały mlecz pacierza wcisnął mu się pod czaszkę... Zulima spostrzegła go i na moment przystanęła, nie mogąc jednak opanować spazmatycznych ruchów ciała, które drążyła już piekielna choroba.

Hassan usiłował odejść w głąb mieszkania, lecz żelazne zdrętwienie przykuło go do framugi. Znów poczuł skurcz w karku: odłączyła się od reszty i najwyraźniej poczęła zmierzać ku jego oknu...

— Kochanku mój, panie mój, idę ku tobie przez żar, płynę ku tobie przez ból... Piękna jestem lubieżą śmierci, upojona szałem. Kochanku mój, farysie mój, patrz, jak płonę cała! Piersi me krągłe jak owoc granatu, w źrenicach się szafir kryształy. Włosy me wonne jak cedry Libanu, wargi rubinem mi gorą... Kochanku mój, farysie mój, otom jest wierna nałożnica, spragniona róża Edenu... Och, jak spragniona!

Daj mi z twej kruży pić, z twej kruży szczerozłotej. Tam słońca krwawy zgon szmaragdy morza kują: już czas! daj pić!... harubiech szału nućmy, zwycięską pieśń miłości, płomienną pieśń zarazy... Kochanku mój, farysie mój, dążę ku tobie przez szal, idę ku tobie na skon...

Już była pod oknem. Wspięła się ostatkiem sił na podmurowanie... Ocknął się. Okno było otwarte, zamykać już za późno. Pozostały stalowe okiennice. Chwycił za obydwie skrzydła, usiłując pchnąć na zewnątrz. Całym ciężarem ciała wspięła się na nich, pracując ku wnętrzu. Rozpoczęła się zaciekle walka. Wszystkie myśli pierzchły gdzieś w najciemniejsze kryjówki mózgu, pozostawiając tylko żywiołową chęć

wyprężenia sił na zewnątrz. Nagle napór zwolnił. Hassan pochylił się gwałtownie naprzód wraz z trzymanymi kurczowo okiennicami, a równocześnie usłyszał głuchy stęk spadającego ciała...

Zaryglował oba skrzydła, jak szalenciec porwał wzorzystą sofę z kąta, zatarasowując nią drugie okna, następnie uczynił to samo ze stołem i krzesłami, zwalając wszystko na kształt bezładnej barykady. W pokoju zrobiło się całkiem ciemno...

Oślupiały ze strachu, wcisnął się w róg kamiennej niszy i skierował oczy w parapet fatalnego okna.

Z zawrotnych nor wychynęły jedna po drugiej upiorne myśli.

Uświadomił sobie: oto tam pod oknem leży trup zarażonej... tam pod oknem... Obrzydliwe robactwo mrowi się w jej wnętrzościach, rozsiadło się na powierzchni... małe, zjadliwe zarazki, co wszędzie się wnąca... co?! co?! Nawet przez najdrobniejszą szparkę...

Ściany drewniane, deski popękane od skwaru...

Krew stężała w tętnicach; w oczach obracały się jasnozielone kręgi, rozwijały się w coraz dłuższą spiralę...

Zaczął obserwować koła. Składały się z bardzo drobnych, mikroskopijnie drobnych stworzonek... Spirala przenikała jakby zza parapetu od zewnątrz, z wolna przybierając kształt ciała kobiecego...

Wtem Hassan zrozumiał, że przyszedł kres; z piersi wydobyło się niby skomlenie, niby charkot obłąkańca i stanął nad czeluścią szału...

W tej chwili doszło go od drzwi nagłe, urwane stuknięcie. Gdy zdrętwiały, odchodząc niemal od zmysłów, nie ruszył się z kąta, ktoś zapukał po raz drugi, a w chwilę później odezwał się groźny, męski rozkaz:

— Otwórz!

Głos był dziwnie silny, pełen świadomej siebie potęgi. Jakby zmagnezyzowany, Hassan poddał mu się i odsunął zaworę.

Przez otwór rozwartych drzwi bluznęła w ciemnicę pokoju łuna zachodu. Na jej tle ujrzał starca wyniosłego wzrostu, w szarym burnusie z czerwoną kitajką na biodrach.

W myśli Hassana przemknęło błyskawicą wyobrażenie rozpalonego do białości muru i kilku przesuwających się pod nim postaci.

— To jeden z tych – pomyślał, nadaremnie usiłując oderwać wzrok od przepastnie fosforyzujących oczu nieznanego.

Gość wszedł śmiało do wnętrza, a zatrzymawszy się w środku izby, spojrzał na zatarasowane okna. Na wąskich, z wyrazem zawziętej energii skurczonych wargach zaświtał na poły ironiczny, na poły bolesny uśmiech. Chudą dłonią chwycił za zawalające okno sprzęty, odrzucał w kąt pokoju i z kolei otworzył okiennice. Przez cały czas zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na zdumiałego Hassana.

Dopiero po rozrzuconiu barykady, zwrócił nań swe pijane żarem źrenice i rzekł podniosłym, mocnym głosem:

— Bądź pozdrowion w imię woli!

Hassan milczał, przejęty trudną do wytłumaczenia bojaźnią i czcią zarazem ku starcowi.

Ten ciągnął dalej, nie zmieniając tonu:

— Przychodzę w porę; jeszcze chwila, a byłbyś zgubiony.

Wskazał na walające się w nieładzie sprzęty i na drugie, zawarte okno.

— Jeszcze chwila, a byłbyś wpadł w szal strachu. Ty już nawet stałeś na tej zawrotnej rubieży. Przychodzę cię wyzwolić i... wezwać za sobą... Byłem i u innych braci, lecz się zaparli po domach i odepchnęli mnie! Głupcy! Oni zginą! Nie wierzysz?!... Wszyscy, wszyscy ci, co nie chcieli mnie wpuścić!! Tyś mnie przyjął. A wiesz, czemu?... Boś już był bliski szału. I to szczęście twe, że na tę chwilę trafiłem. Biada ci, gdybym był przyszedł wcześniej. Bo wtedy byś i ty mnie odepchnął.

Urwał zdyszany.

W mózgu Hassana pieniała się zawzięta walka dwóch przeciwnych żywiołów. Z jednej strony skomlał ohydny, nieznośny strach, trwoga chwili, obłęd zarazy, z drugiej różowiła się jasna jutrzienka wprost bezdennej wiary, jaką powoli napawał go nieznajomy.

I mimo woli przechylał się ku ostatniej, bezwiednie poddając się potężnemu jej wpływowi. I płynął tym czarującym prądem, który unosił go coraz dalej, coraz przemożniej, i słuchał...

— Synu mój! Witam cię w imię woli. Lecz wola jest podwójna. Zwykliście mówić wyłącznie o woli duszy i w tym się fałsz kryje. Bo jesteście jednostronni. Dwie są wole: ciała i duszy. Jedna przenika drugą i obie razem w najserdeczniejszym zespole dają całego, doskonałego człowieka; obydwie zwarte w święte Jedno, błyszczą stubarwną tęczą woli życia, rozlewają się królewską zorzą piękna i siły na horyzoncie wszechświata.

O bracia moi, bądźcie cali! O siostry moje, bądźcie doskonałe!

Bądźmy piękni! Bo piękny jest człowiek cały. Wśród syku płomieni z radosnym spokojem włoży rękę w palące zarzewie i wyjmie ją nienaruszoną. I rzuciwszy się w przepaść, wynijdzie cało. Kto obie wole w sobie zestroił, ze stalowym chłodem topi źrenice w wyschłych oczodołach śmierci: nie zajdzie go zniecka – sam do niej chrobrą dłoń wyciągnie, gdy przyjdzie nań czas, który przyjść musi.

Harmonii! Zestroju!

Wszędzie ból, wszędzie rozkal. Tu wije się bezbrzeżna tęsknota i łaski biedna żebrze, tam cudne asfodele więdną...

Harmonii! Zestroju!

Mieli go wielcy farysi świata, bo była im potrzebna do czynu, mieli i maluczcy

(i ci najszcześliwsi), mieli tajemni mistrze, by jej wybranym udzielać.

Bywają ludzie, co w dziecięcej nieświadomości, w głębi serc prostych ten zestrój posiadli. I nagle jakaś kłętwna moc nadchodzi chram zgody, targa wiązania, rozsadza sklepienie przymierza – i wtedy człowiek przechyla się na jedną stronę, traci równowagę i bez pamięci, bez tchu pędzi w odmęt zguby...

Synu! Takie przejścia bywają zawsze fatalne!

Głos mu dziko schropowaciał i tętnił przyciszonym świstem. Przechylił roznamietnioną twarz ku Hassanowi i szepnął:

— Synu, taką harmonię posiadałem i ja. Zdobyłem ją, wydarłem Temu tam w naszym domu w długie godziny samotnych rozmyślań. I oto już siódmy dzień chodzę po mieście i nucę harubiech wyzwolin i siły. Dotykałem umarłych, wsysałem się w ich zwiotczące, sine wargi, wżerałem w biedne, skażone ciała i patrz! Cały jestem i czysty. Pogodny jestem i ze świętą radością na czole! I taki promienny przyszedłem do nich, by się mym szczęściem podzielić jak z braćmi. Lecz wyśmiali mnie i nazwali szaleńcem. Chyba szaleńcem jasności i słońca.

I teraz ja król, ja Pan mocy, chcę ci jej synu udzielić. Bo taka jest moja wola!

Dotknął ręką czoła Hassana, wczłogując się w jego znieruchomiałe oczy:

— Oto masz ją!

Opadł wyczerpany na otomanę.

Tamten stał u okna i patrzył w miasto. Już od dawna szedł krętymi kruźgankami myśli szczególnego gościa. Resztki zachwianej w posadach świadomości wołały nań, by zawrócił z drogi, zszedł z wyrastających pod stopą wykrotów... Nie słuchał: z radością rozpaczy wpadł na dotąd nieznanne sobie tory i zapuszczał się coraz dalej i dalej, w jakieś strzeliste sale o podniebnych posowach, w niebotyczne zamki, chłodne, bez końca korytarze...

Na moment tylko uprzytomnił sobie, że ta radość jest czymś strasznie brutalnym, że do niej nie ma prawa, bo przecież tam w pokrwawiu zachodu inni...

I chmura bólu zawlokła pogodę.

Jakby odpowiadając, podjął nieznamy:

— Tak, to prawda. I to jest jedna z brutalności życia... Tylko jedna z tysiąca niezliczonych. Lecz cóż? Nie przełamiesz piekielnego kordonu. My tylko im pomagać możemy, a reszta.... reszta w rękach diwów...

Bracie! Pod twoim oknem leży zezwłok kobiety-kochanki, co chciała cię pożegnać pocałunkiem śmierci. Idź i oddaj jej ostatnią przysługę! Idź! Piękna była i młoda, i tylko... kobietą...

Z wiarą wielką, z czcią bezkresną, nie spuszczać oczu z twarzy mistrza, przechylił się Hassan przez parapet okna, podjął zeszywniałe ciało i na zimnych ustach wycisnął długi pocałunek. Potem złożył ją na łożu z hebanu i przykrył jedwabnym chylatem w złote szafrany. W łożnicę śmierci wpadło parę promieni zachodu i roztoczyło się po płaszczu żalobną otęczę.

Starzec wzniosł rękę w stronę miasta:

— A teraz nam w drogę czas. Tam nas inni czekają. Pójdź bracie wyzwalać...

Słońce zwiło krwawą skargą u spodu widnokręgu. Ostatnie rzuty światła szły migocząc po roztoczy wód i skoraliły grzebienie. Tam, w dali, pławiły się w złocie i purpurze romby i cyple gór... Z przepastnych czar, źleńców, przełęczów przelewał się drogocenny, rubinowy płyn...

Od pałaców, meczetów, kamienic padały głębokie cienie i klinem wrzynały się w ulice, kładąc potężnymi liniami ich zolbrzymiałe zrysy. Z dołu bił w niebo ciężki, skwarny opar pogorzeli...

Na zegarach biła ósma. Przeciągłe, mosiężne dźwięki rozpierścieniały się w szerokich, poważnych kręgach, spadały niżej między domy, tułały się wśród pierzei ścian i głucho zalekły po zaułkach...

...Wyszli...

Czarna Wólka

Byłże to sen tylko, straszliwy sen, czy stokroć straszliwsza rzeczywistość? Jeśli był to sen tylko — niechaj pamięć jego przeklęta szejnie na zawsze, niechaj nie zatruwa dłużej swym zabójczym jadem życia mej duszy!..

Lecz jeśli była to rzeczywistość, szaleńczo groźna rzeczywistość, wtedy los mój już rozstrzygnięty nieodwołalnie — okrutny w swej bezwzględności los...

Sen i jawa! Sen i rzeczywistość! Jakże te pojęcia płaczą się teraz bezładnie, krzyżując dziko na rozstajach myśli!... Ktoś złośliwy nad ludzką miarę usunął graniczne znaki i zatarł rubieże; zapodział się gdzieś bez śladu zbawcze drogowskazy, i wszechwładnie zapanował omam, oszalały król błędnych ścieżek i gościńców...

Co to jest sen? Co to jest jawa? Co to jest rzeczywistość?... Powiedzcie! Zlitujcie się nad moją katuszą i powiedzcie! Rzeknijcie słowo, rozstrzygnijcie okropną wątpliwość!...

Na próżno błagam, na próżno... Nikt nie da mi odpowiedzi. Nikt na szerokim bożym świecie...

Czy istnieje poza tą rzeczywistością jeszcze jakaś inna? Czy można się czasem, wśród jakichś wyjątkowych warunków, zapuścić w tamte strony? Czy można stamtąd przynieść z sobą „na pamiątkę — ha, ha, ha! — na pamiątkę jaki „gościniec”? Albo czy można z krainy sennych marzeń przywlec z sobą coś „w upominku”? He, he, he! No tak — dobrze mówię — w upominku jakiś „podarek”?

Powiedzcie — na wszystko święte zaklinam — powiedzcie, czy coś podobnego jest możliwe?...

Zaprzeczacie, nieprawdaż?... To niemożliwe, to obłąd — nieprawdaż?... To oczywiste szaleństwo, to chimera chorej myśli?...

A jednak — a jednak posiadam dowody, fatalne dowody. Pozostały ślady — uważacie — przeklęte ślady, które świadczą. Jeżeli po jakimś czasie wyłonią się dalsze, stokroć ohydniejsze, te plugawe ślady, na których ukazanie się czekam wśród niehumanicznej męczarni — jestem zgubiony! Bez ratunku — bez ratunku!...

O, gdybym znalazł w otaczającej mnie rzeczywistości jakiś odpowiednik do mego „upominku”! Choćby jeden punkt zaczepienia w beztroskiej, słonecznie niewinnej jawie!...

Szukam go daremnie. Tym kluczem podobno nie otworzysz żadnego zamku na ziemi. Od tygodnia chodzę pomiędzy ludźmi i dopytuję się o siebie i swój czyn — lecz wszędzie spotykam niedowierzanie, obojętność lub uśmiech. Niektórzy uważają mnie za szaleńca i schodzą mi z drogi. Szczęśliwcy! Może wkrótce, może za parę dni, godzin zaczniecie unikać mnie z innego, całkiem innego powodu!... I wtedy przyznam wam rację, o tak — wtedy przyznam wam rację i sam zacznę

omijać progi waszych cichych domów...

A wszystko zaszło w przeciągu dziesięciu minut! W przeciągu dziesięciu minut przeżyłem jedną z najszańszych przygód, upiorną i dziwną jak zwid obłąkańca.

Przyżyłem czy prześniłem?... Nie wiem, nie wiem, nie wiem.

W okresie czasu, którego potrzebują ziemskie zegary do wykonania sześciuset wahnięć, byłem w jakimś dziwnym miejscu, przebywałem w jakiejś obcej stronie, by po upływie minuty dziesiątej znaleźć się z powrotem u siebie. Na krótki, ściągnięty do wątych rozmiarów czas wychyliłem się z płaszczyzny codzienności i zakreśliwszy dziwaczny łuk w jakimś nieznanym kierunku, wróciłem znów w opłotki rzeczywistości...

Najdziwniejsze, że nie wiem, co się ze mną przez cały ten czas działo — czy byłem tam cały jako człowiek z krwi i kości, czy tylko myślą przeniosłem się na chwil parę w tamte strony; czy był to stan tylko anormalny, chorobliwy stan duszy, czy też przeżycie w całym słowa znaczeniu — tylko w innej rzeczywistości?...

Nie mogę w żaden sposób przerzucić pomostu między tym światem, w który się, niewiadomo jak, wtedy dostałem, a między tym, do którego od dziecka przywykłem; nie umiem znaleźć przejścia na tamtą groźną stronę, która zaciążyła nade mną tak przemożnie swym ponurym wspomnieniem. Ktoś po moim przejściu usunął zdradziecko łączące kładki i podminował mosty. I rozwarła się poza mną przepaść bez dna, mroczna, niezbadana...

Stało się tydzień temu, dnia 31 maja b.r., między godziną piątą a piątą minut dziesięć popołudniu. Fatalna data do tej chwili widnieje nad moim biurkiem złowieszczym memento.

Wróciłem dnia tego do domu o godzinie trzeciej popołudniu silnie podenerwowany niemiłym zajściem, którego szczegóły są tu obojętne. Obiadu prawie nie tknąłem i zapaliwszy papierosa, rzuciłem się w ubraniu na sofę. Wkrótce zmorzył mię nerwowy, niespokojny sen, którego treści nie pamiętam. Obudziwszy się z przykrym posmakiem w ustach koło godziny czwartej i pół, dźwignąłem się ciężko z posłania i zapaliwszy ponownie papierosa, usiadłem przy biurku nad otwartą od dnia poprzedniego encyklopedią.

Było mi dziwnie nieswojo. Odrzuciłem pozutą na miazgę tutkę papierosa i kazałem służącemu podać herbatę. Wkrótce potem dymiła przede mną pełna filiżanka. Osłodziłem i wpuściłem parę kropel cytryny. Były już wtedy trzy kwadransy na piątą.

Wychyliwszy dwa łyki herbaty, wyciągnąłem się wygodnie w fotelu przy biurku, podpierając głowę ręką opartą łokciem o jego poręcz. W tej pozycji

przetrwałem z dziesięć minut. Gdy po upływie tego czasu ocknąłem się z zamyślenia i spojrzałem przypadkiem na zegarek przed sobą, dochodziła już piąta. To był ostatni moment „z tej strony”, który jeszcze zupełnie wyraźnie pamiętam. Co się potem ze mną stało, nie wiem. W tym miejscu istnieje w mej pamięci luka — jakiś mnemoniczny rozziw, którego nie umiem niczem wypełnić....

W pewnej chwili znalazłem się na jakiejś samotnej drodze. Był szary brzask na świecie, i nachylone stronami szlaku witki wierzb zwilżone ranną rosą chwiały się cicho na wietrze...

Szedłem szybko, wzbijając tumany kurzu; pył drożny okrył mi wkrótce grubą warstwą trzewiki i ubranie.

Nagle gościniec skręcił w lewo, przechodząc w wąską ścieżkę wijącą się spodem głębokiego parowu. Wszedłem na ścieżkę, przebyłem w paru minutach gardziel jaru i wyostałem się na łąkę, przez którą płynął strumień. Obejrzałem się. Gdziekolwiek było rzucić okiem — równina, szczerą, pusta roztoz gruntu: znużone monotonią oko gubiło się na krańcach widnokręgu.

Odwróciłem głowę w stronę strumienia i ruszyłem dalej. Przez wodę przerzuciła się kładka z poręczami. Przebyłem kładkę i na chybił — trafił obrałem koleinę biegnącą na prawo.

Wtem grunt uległ gwałtownej zmianie: zniknął pas trawy, a miejsce jej zajęła połyskująca metalicznie czerń węgla. Cały teren wysłany był miałem z okruchów żużla, odmiotów węgla i czarnej, smolistej zędry. Szedł od tego pościeliska oddech skwaru i napełniał powietrze dusznym gorącem. Wkrótce rześisty pot sperlił mi czoło...

Na horyzoncie zamajaczyły jakieś budynki. Szedłem machinalnie ku nim, nie zwracając uwagi na brak właściwej drogi: od chwili już ścieżka zatarła się bez śladu, ginąc wśród zwałów żużla i węglowego miału. Niebawem zbliżyłem się ku domom na odległość kilku metrów.

Była to jakaś podmiejska osada czy przysiółek, złożony z dwudziestu może kominów. Niesamowita cisza zalegała wkoło. Na jednej, jedynej uliczce, biegnącej wąskim skosem pomiędzy domami, nie było żywej duszy. Domostwa były rozmieszczone w dziwaczną linię, która

przypominała kształtem ślimacznice; sześć domów w dolnej części osady rozłożyło się spiralą dookoła stalowo połyskującego jeziora, reszta — wyciągnięta w odstępach, — podwójną pierzeją odwijała się gdzieś w przestrzeń na północ.

Domy sprawiały nader przykre wrażenie. Graniaste ich kadłuby, powleczone po ścianach brudno-szarem wapnem, pokrywały dachy z czarnej, smołą napuszczonej papy. Prostokątne jej płyty, pozszywane brzegami, zachodziły jeden na drugi jak tarcze żółwiego pancerza ; miejscami wyzierały łaty naprawek; plugawe, dziegciem napojone szmaty, kawały skóry, pogiętej blachy, starych, wyświechtanych ścierek. Barwa tych ponurych budynków z zamkniętymi szczelnie

drzwiami i zabitymi na głucho deską oknami zlewała się z czernią gruntu w całość dziwnie żałobną.

Nieznośny smród, przypominający połączoną woń siarki i asfaltu, uderzał w nozdrza u samego wstępu. Płynął prawdopodobnie od jeziora, które rozlewało brudne, schorzone wody na krańcu południowym przysiółka. Ani jedno drzewko, ani jedna trawka nie rozweselały smutnej osiedli: bezpłodny grunt, przesiąknięty czarnym, suchym pyłem, nie umiał wydać z siebie nic. Tylko nad samym jeziorem parę karłowatych krzewów z rdzawo — czerwonym owocem kształtu rajskich jabłek pochylało się w krwawym uśmiechu nad niedolą wód. Wyciągnąłem rękę po jeden z tych owoców i zerwałem; wtedy skruszył mi się w palcach na proch i popiół, niby purchawka, wewnątrz pusty, spróchniały i trupieszą cuchnący...

Szczególna też była woda jeziora. Gęsta: przesycona siarką, solą i smołą, spoczywała martwo w głębokim, obrzeżonym skalnymi złomami łożysku. Dno stanowiły widocznie pokłady asfaltu, gdyż tu i tam pływały po powierzchni wody grudki stężałej smoły.

Brzegi jeziora stromo spadające w dół jeżyły się ostrymi skałami, które połyskiwały pod światło grubą warstwą solnego szkliwa. Na skałach tych, szarych i jałowych, siedziały duże, czarne ptaki, z wyglądu przypominające potworne kondory. Martwota jeziora zdawała się wpływać na ich ruchy powolne i ospałe: siedziały jak przykute do swych kamiennych cokołów, tylko od czasu do czasu wyciągając ku wodzie długie, obrzydliwe, jakby oskubane z pierza szyje...

Nad jeziorem i osadą panował szary, nużący oczy blask. Mimo braku słońca, ukrytego gdzieś za chmurami, parno było i duszno jak w zamkniętej przestrzeni. Od podglebia wysłanego węglową strzyżką szły niewidzialne fale gorąca, jak od rozpalonych metalowych płyt.

Zacząłem obchodzić wkoło potępione jezioro. Najłżejszy powiew wiatru nie marszczył jego powierzchni: drzemało bez ruchu w swej olbrzymiej, w kiry brzegów ujętej czasie, niby wielkie, czarne oko. Tylko miejscami, tu i ówdzie błąkały się bryłki oderwanego z dna asfaltu, lub snuły się gnuśno długie, mętnie tęczujące ściegi wody.

Podniosłem pierwszy z brzegu kamień i rzuciłem na głębię. Zanurzył się tylko do połowy i zaczął unosić się leniwo na powierzchni. Woda jeziora była roztworem nasyconym.

Zbliżyłem się do jednego z ptaków i uniesiony nagłą ku niemu niechęcią, usiłowałem spędzić go laską ze skalnej placówki. Ptak rzucił mi groźno-osowiałe spojrzenie, wydarł mi dziobem laskę z ręki i posunąwszy się ociężale na niżej położony cypel, zaczął ostrzyć o kamień swe krzywe, stalowo lśniące szpony. Pozostawiłem go w spokoju i poszedłem dalej. Z jeziora już od pewnego czasu zaczęły wywiązywać się cuchnące smołą i siarką opary. Wkrótce gęste ich, żółtawo-szare kłęby pokryły jego połowę i wydłużyły się mglistym zasięgiem

pomiędzy domy.

Zatknałem nos chusteczką i zacząłem szybko oddalać się w stronę jedynej ulicy. Już miałem zapuścić się pomiędzy budynki, gdy doszedł mnie od zakrętu suchy, drewniany odgłos. W bezwzględnej ciszy osady głos ten nagły i niezwykle zabrzmiał mi w uszach złowieszczym zgrzytem. Przyśpieszyłem kroku. Po chwili po raz wtóry, lecz już całkiem blisko, odezwał się ten sam dźwięk. Teraz byłem już pewny, że pochodzi od drewnianych kołatek.

I nie pomyliłem się. Mijając drugi dom z prawej, ujrzałem znikającą już za jego węglem gromadę ludzi w długich, ciemno-brązowych habitach z nasuniętymi na głowy kapturami. Oni to właśnie potrzásali drewnianymi kołatkami, trzymanymi w ręku.

Chciałem rzucić się za nimi w pościg, potem jednak zaniechałem tego zamiaru. Przyszło mi na myśl, że może mieszkańcy tej dziwnej osady nie życzą sobie towarzystwa obcych intruzów i dlatego zauważywszy mą obecność w osiedli, pozamykali się umyślnie po domach. Zresztą zaduch i nieznośny skwar, panujący w tem miejscu, obrzydziły mi je do tego stopnia, że chciałem jak najprędzej wydostać się poza jego obręb.

Ruszyłem więc naprzód, mijając czarne budynki. Wtem na progu ostatniego po lewej stronie ujrzałem młodą, trzydziestoletnią może kobietę. Smukła i gibka jak jodła, ubrana była w śnieżno-białą, powłóczystą szatę, ściągniętą w pasie wielokrotnie przeplatany sznurem. Przepiękną, klasyczną głowę okrywał czarny, fantastyczny zawój w kształcie arabskiego turbanu. Twarz nieznajomej, urodziwa nad wyraz, uderzała swą przeraźliwą bladością. Z pod brwi, rozchodzących się dwoma silnymi łukami od nasady orlego nosa, patrzyła para przedziwnych oczu. Jasnozielone, z otoczką złoto-żółtą dookoła źrenicy, opalizowały te oczy za najlżejszym ruchem blaskami berylu. Z barwą oczu dziwnie spływał się kolor włosów popielato-stalowych, które w skrętach wymykały się z pod czarnego turbanu. Na ustach, czerwonych jak koral, wałęsał się uśmiech niedbale zalotny.

Utkwiwszy we mnie swe urokliwe oczy, bez zmieszania wytrzymała moje spojrzenie. Oczarowany, odruchowo zdjąłem kapelusz. Podziw, jaki niewątpliwie wyczytała w mej twarzy, usposobił ją dla mnie życzliwie, bo powitała pierwsza:

— Pozdrowion bądź, gościu miły, w osiedli ojców moich.

Głos melodyjny brzmiał słodko i pieściwie jak ton fujarki. Zdumiewał język i styl antyczny, zgoła nie dzisiejszy.

— Piękna niewiasto, — odpowiedziałem, odzyskując swobodę ruchów, — gdzie jestem? Co to za dziwna osada? Kto są jej mieszkańcy i dlaczego domy wasze pozamykane?

Uśmiechnęła się zagadkowo.

— Pohamuj mowę swoją, co jak potok wezbrany wartkim nurtem się toczy! Poskrom ciekawość swoją! Nie sięgaj zbyt rychło po kwiat tajemnicy i czaru, bo

zwiądnie ci w rękę przed czasem z urody odarty.

— Niechaj więc i tak będzie — ustąpiłem z rezygnacją. — Lecz powiedz mi przynajmniej, jak nazywacie swoją osadę.

— Jesteś w Czarnej Wólce.

— Co za trafna nazwa! — przyznałem w myśli, a głośno dodałem: — A ty jesteś najcudniejszą jej perłą.

Wyciągnęła ku mnie rękę drobną, białą jak alabaster, z rubinowym sygnetem na palcu średnim.

— Wejź pod dach mój, gościu, i spocznij, boś strudzony snąć drogą. Sama jestem.

Posłuchałem słodkiego wezwania, i trzymając się za ręce, weszliśmy do wnętrza.

Izba do której mnie zaprowadziła, zajmowała całe prawie skrzydło domu, bo była niezwykle obszerna, a okna jej wychodziły na trzy strony. Od razu rzucał się w oczy kontrast pomiędzy prostotą ścian drewnianych z grubo ciosanych belek, jak w chatach góralskich, a przepychem urządzenia. Ściany pokrywały ciężkie, perskie makaty, obwieszane bronią saraceńską, strojne w fantastyczne bułaty, damascenki, pawęże. W pośrodku izby ustawione pod kątem ostrym stały dwie otomany, zasłane kilimami. W węglach, pomiędzy ścianami, dymiły na srebrnych trójnogach brązowe kadzielnice, ulatniał się zapach ambry i bursztynu. Ze stragarza stropowego zwisały trzy lampy olejne, rozrzucając wkoło łagodne, trochę przyćmione światło.

Miałem wrażenie, że w sposób cudowny przeniesiono mnie nagle w jedno z tych egzotycznych wnętrz, na których tle gorąca fantazja Wschodu rozsunęła opowieści z tysiąca i jednej nocy. Zapominało się tu o tym, że dom ten — to też jeden z tych czarnych, wstrętnych budynków, które z taką odrazą mijałem, zapominało się o bliskości martwego jeziora, jego smrodliwym wyziewie i ohydnych sępach, co obsiadły skalne brzegi. Zamknięte na głucho okiennice, zaciągnięte oponami z zielonej kitajki okna odcinały zupełnie tę lewantyńską oazę od ponurego otoczenia...

Usiedliśmy naprzeciw siebie przy bambusowym stoliku, nakrytym na dwie osoby. Piękna gospodyni ujęła w palce czajnik z herbatą i nalawszy dwie filiżanki, podała mi jedną.

— Zanim skorzystam z twej gościny, piękna niewiasto, — powiedziałem, — pragnąłbym poznać twe imię. Musi być dźwięczne i melodyjne jak twój głos.

— Ci, którzy mieszkają nad jeziorem, nazywają mnie Mafrozją; rodzina i krewni, posiedleni bliżej naszego domu, wołają mnie krótko: Mafra.

— Dziwne imię! — szepnąłem, patrząc jej w oczy.

W tej chwili od zewnątrz doszedł nas ponowny dźwięk kołatek. Wzdrygnąłem się i spojrzałem na nią pytająco:

— Co ma znaczyć ten odgłos, Mafro? Słyszę go w Czarnej Wólce już po raz trzeci.

Kobieta zdała się być jakby zmieszana czemś i podrażniona.

— Głupcy! — odparła półgłosem, jakby do siebie, przez zęby. — Głupcy! Znow odprawiają te śmieszne obrzędy!

Lecz gdy dźwięk się więcej nie powtórzył, zapomniałem o nim zupełnie, oddając się zupełnie rozkoszy, jaką sprawiało towarzystwo Mafry.

Była czarowna jak odaliska, bogata w pieszczoty. Mowa jej, kwiecista jak wschodni kobierzec, pełna przenośni i poetycznych hiperbol, upajała wonią słów rzadkich, jedynych, przedziwnie dobranych. Ciało jej młode i jędrne, zakryte przed moimi oczami tylko lekką, przejrzystą gazą peplosu, pachniało wonią egzotycznych olejków, mąciło zmysły obietnicą nieznanych jeszcze rozkoszy...

Zatraciłem zupełnie poczucie czasu, i nie pamiętam, jak długo trwała cudowna chwila, czy spędziłem z nią godzinę, dwie, czy więcej.

W końcu pozwoliła mi rozwinąć czarny swój turban i zanurzyć ręce we włosy. Usta nasze, długo spragnione, zwały się nareszcie w jakimś słodko-bolesnym, tragicznym pocałunku i tak trwały przez długą, długą chwilę...

Wtem uczułem gwałtowny ból w prawym policzku i posmak krwi w ustach: Mafra w szale miłosnym ukąsiła mię... Porwałem ją w ramiona...

Nie broniła się, oddając pieszczotę za pieszczotę. Lecz gdy w pewnym momencie, pijany nadmiarem rozkoszy, odsunąłem się od niej na chwilę, wpijając zachwycone oczy w jej twarz nieodgadnioną, wybuchnęła nagle okropnym, mrozącym krew w żyłach śmiechem...

— Mafro! Co tobie?! — krzyknąłem, pochylając się nad nią. — Co to ma znaczyć?!

— Cha, cha, cha!... Cha, cha, cha!... To ma znaczyć, że posiadłeś w miłosnym upale córkę króla trędowatych. Patrz! Poznajesz to znamię?

I rozchyliła koszulę na piersi.

Wtedy ujrzałem straszliwą ranę, która wżarła się już głęboko w przecudne jej łono.

— Widzisz, i jam też naznaczona! Ale i ty już nasz! — dodała z mściwym uśmiechem. — I ty już do nas należysz! Pocałunkiem Mafry złączyłeś się z nami na wieki! Ha, ha, ha! Ha, ha, ha!

Piekielny strach chwycił mnie za gardło, i wściekłość zawlokła mgłą oczy. Ruchem na pół świadomym zerwałem ze ściany kindżał i utopiłem go w piersi zdradzieckiej kochanki. Bluznęła krew purpurową fontanną, i ciszę Wólki rozdarł samotny krzyk trędowatej...

Z podniesionym w górę nożem, z wykrzywioną od grozy twarzą wypadłem z przeklętego domu. Jacyś ludzie w brunatnych burnusach zastąpili mi drogę, otaczając korowodem trupich, wygniłych twarzy. Miotnąłem się całym sobą w

którąś stronę i przerwawszy ohydny pierścień, zacząłem uciekać. Pędziłem wąską, czarną ulicą ku jezioru. Za mną szedł suchy tupot bosych ich stóp i stłumione, gardłowe okrzyki w nieznanym mi języku. Czułem, jak nogi, poderwane strachem, plączą się pode mną i mdleją, jak tętniąca dziko krew wali tysiącem młotów o skronie. Resztą dogorywających sił rzuciłem się w bok, by wydostać się poza obręb osady, gdy wtem ujrzałem gromadę potwornych, sępich ptaków, nadciągającą od jeziora w olbrzymim półkolu; zmierzały w moją stronę, odcinając mi ostatnią drogę ratunku. Były już tak blisko, że widziałem metaliczny połysk na zakrzywionych ich szponach, czułem na sobie ich ciężki, trujący oddech. Świat mi się zakręcił przed oczami, i jak piorunem rażony runąłem bez pamięci w kurzawę ulicy...

Odzyskawszy przytomność, spostrzegłem, że siedzę na krześle przy biurku w mem własnym mieszkaniu; w ręce prawej trzymałem zboczony obficie świeżą jeszcze krwią kindżał. Z uczuciem wstrętu wrzuciłem go do kosza na papiery i powiodłem dłonią po czole. Ponura przygoda przesunęła się w pamięci w ostrych, wyrazistych konturach; pamiętałem dokładnie najdrobniejszy szczegół.

Oparłszy twarz na rękę, uczułem piekący ból. Spojrzałem w lustro: prawy policzek był okrwawiony i nosił wyraźne ślady ukąszenia.

— Pamiątka po Mafrze — pomyślałem, i zimny dreszcz przebiegł mi ciało. Z kolei rzuciwszy okiem na obuwie, zauważyłem, że było okryte szarą warstwą kurzu. Ściągnąłem jeden trzewik z nogi i obejrzałem podeszwę; zdradzała ślady węgla i żużlowego miału. Nasunęło się pytanie, w jaki sposób znalazłem się z powrotem u siebie.

— Chyba mnie tu przyniesiono w stanie omdlenia? Służba zapewne musi coś o tem wiedzieć. Hm... którego też dziś mamy?

Popatrzyłem na kalendarz i ze zdumieniem stwierdziłem datę 31 maja.

— Czyżby służący zapomniał zedrzeć kartkę?

Wnosząc z położenia słońca, było już przed wieczorem; zegarek wskazywał dziesięć minut po piątej.

— Hm... Chyba więc mamy dziś 1 czerwca po południu.

Zadzwoiłem na sługę, zakrywając dłonią zraniony policzek.

— Którego dzisiaj? — zapytałem wchodzącego.

— 31 maja, proszę pana — odpowiedział trochę zdziwiony.

— Kazimierz żartuje — zauważyłem podrażniony. — Nie jestem dziś usposobiony do żartów. A zatem?

— Jak Boga kocham, 31 maja, godzina kwadrans na szóstą popołudniu — powtórzył, precyzując odpowiedź. — Pan dziś wrócił do domu później niż zwykle, bardzo zmęczony, i zapewne zasnął w krześle przy herbacie.

— Kazimierz zwarzjował, czy ze mnie chce zrobić wariata?! — krzyknąłem,

zrywając się od biurka.

— Jak Boga mego kocham, mówię szczerą prawdę. Pół godziny temu kazał mi pan podać herbatę; spełniłem polecenie i odszedłem. O, proszę pana, jest dowód! Nie dopił pan jeszcze reszty; szklanka stoi wciąż jeszcze w miejscu, gdzie ją postawiłem, tylko wypróżniona do połowy — dodał triumfująco, wskazując na biurko.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że miał słusność.

— Hm... — mruknąłem, opadając bezradnie w krzesło. — Więc naprawdę widział mnie Kazimierz tu, przy biurku jeszcze przed pół godziną?

Sługa patrzył na mnie zdumiony:

— Ależ tak, z wszelką pewnością.

— Hm... A w czy w czasie między piątą a piątą minut dziesięć ani razu Kazimierz tu do mnie nie zaglądał?

— Ani razu. Bo i poco? Pan nie lubi, gdy wchodzę do pokoju niewzywany.

— Dziękuję. Może Kazimierz odejść.

Gdy tylko sługa zniknął za drzwiami, otworzyłem podręczną apteczkę i wydobywszy flaszkę z rozpuszczonym sublimatem, wymyłem nim starannie ranę na twarzy.

Uspokojony trochę tym zabiegiem, wydobyłem z kosza kindżał i zacząłem go oglądać. Krew na ostrzu zaschła już i skrzepła w ciemno-wiśniową, poszarpaną smugę. Na rękojeści, wyłożonej sandałowem drzewem, widniał napis w języku arabskim, zapewne jakiś werset z Alkoranu.

Przyszła szczególna myśl: gdzieś już raz broń tę oglądałem!

Wtem wzrok mój padł na otwartą wciąż od wczoraj encyklopedię i spoczął przypadkowo na wyrazie „Kindżał”.

— Hm — pomyślałem — dziwny związek...

Dopiero teraz przypomniałem sobie, że dnia poprzedniego, przeglądając ryciny mej dużej, ilustrowanej encyklopedii, natknąłem się między innymi na objaśniające wyraz: „kindżał”. Rzuciłem się skwapliwie do porównywania ich z moją krwawą pamiątką i ze zdumieniem odnalazłem wkrótce jej „pierwowzór”. Zgadzały się w najdrobniejszych szczegółach, nawet napis na rękojeści był identyczny; usłużna książka podawała jego dosłowny przekład.

— O Allah, Akbar Allah! — brzmiała dewiza. — Chronź ciało moje od kaźni okrutnej choroby!

— Szczególny napis — pomyślałem, zamykając książkę.

Miałem, niestety, w ręku tak silne dowody na to, że wszystko co przeżyłem w Czarnej Wólce, było rzeczywistością, iż spokojna postawa mojego obecnego otoczenia w stosunku do owej „sprawy” wydała mi się tylko maskowaną do czasu hipokryzją. Postanowiłem tedy przyspieszyć rozwiązanie zagadki. W uszach brzmiał mi wciąż piekielny śmiech Mafry, przejmował wciąż dreszczem strach,

blady, szcękający zębami strach przed spełnieniem jej słów mściwych, okrutnych. Straszliwa ciekawość pędziła mię z domu pomiędzy ludzi, by od nich usłyszeć potwierdzenie ponurej prawdy. Ciekawość? A może słaba nadzieja, że, gdy zaprzeczą, będę mógł wszystko uważać za chimerę snu?

Należało choćby oskarżyć siebie samego, byle zyskać pewność, byle zdobyć jakieś informacje... Popatrzyłem na zegarek. Niestety! Było już za późno, by jeszcze dzisiaj wdroić odpowiednie kroki. Trzeba było rzecz odłożyć do jutra. W perspektywie zarysowała się przede mną długa, czarna, bezsenna noc...

Byłem dziś w urzędzie policyjnym i powiedziałem im, że jestem mordercą trędowatej z Czarnej Wólki. Komisarz, w którego obecności złożyłem to zeznanie, popatrzył mi przenikliwie w oczy i poprosił o bliższe szczegóły. Gdy skończyłem swoją opowieść, zbliżył się do mnie i ująwszy za rękę, rzekł łagodnie:

— Panie doktorze, proszę mi wybaczyć otwartość, lecz mówię z urzędu. Sprawą tą powinien się zająć raczej psychjatra; ja tu nic nie poradzę.

Ten człowiek widocznie uważał mnie za obłąkanego.

— Panie komisarzu, — odpowiedziałem — ależ ja mam na to dowody. Ten kindżał, ten ślad na twarzy!

— Te dowody w niczem nie zmieniają mojej opinii o tej sprawie. Pan musi być nerwowo chory, panie doktorze.

I uścisnął mi rękę.

Odszedłem z uczuciem ulgi i wdzięczności dla tego człowieka.

Z kolei zwróciłem się po informacje do władz miejskich; kazałem sobie pokazać mapę wszystkich wsi, przysiółków i osad, rozmieszczonych w promieniu pięciu mil od rogatek miasta. Pokazało się, że w okolicy podmiejskiej istnieją tylko dwie osady, które w ogóle mogłyby mnie interesować: jedna w stronie południowej miasta, zwana Wańkową Wólką, druga we wschodniej, tzw. Wólka Żołyńska.

Wynotowawszy te szczegóły, rzuciłem jednemu z urzędników niby od niechcienia pytanie, czy też nie słyszał nic o gminie trędowatych, osiadłej w ostatnich czasach w pobliżu naszego miasta. Urzędnik, mój stary, dobry znajomy, popatrzył na mnie jakby nie dowierzając własnym uszom, i po chwili parsknął serdecznym śmiechem.

— Che, che, che! E, widzę, doktor przyszedł tu nas brać na kawał! Lecz co za pomysł, proszę! Osada trędowatych pod Dworzanowem! W naszej szerokości geograficznej przysiółek dla tkniętych biblijną chorobą!

Tam do licha, kapitalny żart! Che, che, che! We śniebym nie wpadł na podobny koncept.

Odpowiedź była oczywiście aż nadto wyraźna. Mimo to, chcąc przekonać się na własne oczy, zwiedziłem obie Wólki. Rezultat był naturalnie ujemny: oba

przysiółki w niczym nie przypominały czarnej osady, a mieszkańcom ich o trądzie ani się nie śniło...

Więc co to było? Co to było? Co ma znaczyć ślad ukąszenia na twarzy? Co ma znaczyć ten skrwawiony kindżał?...

Dziś mamy już 21 czerwca. Od przekłętego popołudnia upłynęły trzy tygodnie. Od 21 dni żyję w nerwowym naprężeniu, rozstrojony wewnętrznie, pod prężeniem nieustającego strachu. Nie wytrzymam już długo tego stanu; przyjdzie chyba w łeb sobie palnąć lub... oszaleć...

Zwiedziłem całą okolicę w promieniu kilku mil od centrum miasta: Czarnej Wólki nie znalazłem...

Są chwile, w których dziwię się własnej naiwności, z jaką szukam tej osady. Jak wogóle można szukać tego miejsca, w którym rzekome wypadki zaszły w ciągu dziesięciu minut, skoro wiem, że moje mieszkanie oddalone jest od najbliższej z rogatek miejskich o trzydzieści pięć minut drogi tramwajem elektrycznym? Jak można w tych warunkach szukać Czarnej Wólki? Jak można? Jak można?...

A jednak szukam — szukam wciąż i drzę na myśl, że mogę ją kiedyś odnaleźć...

25 czerwca 1903 r.

Wczoraj byłem u kolegi z lat szkolnych, znanego powszechnie psychiatry, i opowiedziałem mu wszystko. Historia moja zajała go ogromnie i uznał ją za „*un cas exceptionnel*”. Oglądał uważnie kindżał i bliznę na policzku. Potem zbadał mnie. Coś się mu nie podobało, bo parę razy potrząsnął głową, a pod koniec wizyty zawyrokował:

— Musisz się intensywnie leczyć. Masz rozstrój nerwowy w bardzo ostrej formie. W takim stanie jest się bardzo podatnym na wszelkie sugestie; należy ich unikać za wszelką ceną. Najlepiej wyjedź stąd gdzieś na zachód; może do Francji, Londynu... Aha! Jeszcze jedno, najważniejsze! Stanowczo, pod żadnym warunkiem nie wolno ci myśleć o tej całej wariackiej przygodzie. Żadnych analiz, żadnych dociekań, żadnych dochodzeń! Masz się bawić, śmiać, kochać — tylko o tem nie myśleć! Bo następstwa mogłyby być groźne — dodał poważnie, z naciskiem.

30 czerwca.

Nie usłuchałem rady kolegi-lekarza i nie wyjechałem. Nie mogę, nie mogę. Coś mię przykuło do tego miasta i nie pozwala wychylić się poza jego obręb. Natomiast byłem u specjalisty chorób skórnych, dr. Wierszy. Wysłuchał mej opowieści cierpliwie, obejrzał zagojoną już zupełnie bliznę na twarzy i wziął próbę

mej krwi. Nie znalazł nic.

Trochę mnie to uspokoiło. W każdym razie analiza krwi — to już coś pozytywnego.

Historia z kindżalem również go zajęła; kazał mi go sobie przynieść do zbadania skrzepłej na ostrzu posoki. Asystowałem mu przy jej rozbiorze. Rezultat zaskoczył nas obu niespodzianie. Wiersza stwierdził, że krew na kindżale zdradza chorobliwe przemiany. Więc organizm Mafry był zatruty jakąś nieznaną bliżej bakterią!...

10 lipca.

Ha, ha, ha! Ha, ha, ha! Muszę i ja sprawić sobie kołatkę!

Dziś rano, uczuwszy na lewej piersi silne swędzenie, rozpiąłem koszulę i spostrzegłem na ciele szeroką, białą jak śnieg plamę... W pół godziny potem pokazałem ją dr. Wierszy.

Popatrzył na mnie jak na upiora i nagle odsunął się o parę kroków. Zląkł się szanowny eskulap. Nawet mu się niebardzo dziwię. Po chwili, wymijając moje spojrzenie, rzekł stłumionym tonem:

— Pańskie objawy w sposób dla mnie niewytłumaczalny ziściły się. Ma pan początki *lepra orientalis*...

Chwiejnym krokiem, z oczami wbitymi błędnie gdzieś w przestrzeń, wyszedłem z pokoju konsultacyjnego na miasto.

Precz, precz, podły motłochu! Z daleka ode mnie! Z daleka!... Jestem trędowaty! Jestem trędowaty!

Salamandra
Powieść fantastyczna

Ludzie z mostu Św. Floriana

Od pewnego czasu wtargnęły w orbitę mego życia zagadkowe moce i natrętnie zastępują mi drogę; wpadłem na trop zdarzeń, które pozornie niewinne, odziane dla niepoznaki w potulny płaszczyk codzienności, muszą zastanawiać przez swą uporczywość. Bo muszę uznać za przypadek wyjątkowy zbieg okoliczności powtarzających się raz, dwa, trzy razy w jakimś odstępie czasu — lecz jeśli coś podobnego rzuca mi się w oczy niemal codziennie i prześladowe sobą od kilku tygodni, mimo woli budzi się podejrzenie, czy nie ma się do czynienia z ukrytym celem. Czyżbym stał na progu nowego okresu w moim życiu? Miałażby po latach szarzyzny i cichej powszedniości odchylić się w księdze mego losu pierwsza karta tajemnicza?...

Go mnie może obchodzić ten człowiek? Dlaczego od miesiąca ciągle go spotykam w najrozmaitszych punktach miasta? Co mnie może obchodzić ten szczupły, wysoki człowiek w wichurze siwych włosów, w wytartej zarzutce?...

Nigdy nie zachodzi mi drogi od razu; zawsze przedtem „zapowiada się”. Na parę minut przed spotkaniem zawsze przywiduje mi się w kimś innym. Podobieństwo bywa czasem tak wielkie, że przysiągłbym na jego identyczność; dopiero w ostatniej chwili, gdy już mijam nieznanego przechodnia, orientuję się, że to przecież ktoś inny. W kilka minut potem spotykam się z nim naprawdę.

Czy on to robi z umysłu? Wątpię. Przeciwnie — zdaje się, dotychczas nawet mnie nie zauważył: nigdy na mnie nie patrzy — jego łagodne, szaroniebieskie oczy zawsze zatopione są gdzieś w przestrzeń... Dziwny człowiek. Czyżby go popychała ku mnie tajemnicza siła? A może on w ogóle o tym wszystkim nic nie wie, a tylko ja, właśnie ja chodzę za nim jak cień? Czy owo „przywidywanie się” jest dziełem mojej podświadomej jaźni, która przeczuwając jego zbliżanie się, dopatruje się jego rysów na twarzach innych — czy też on naprawdę sygnalizuje swój rychły „przyjazd”, narzucając chwilowo własną maskę jednemu z przechodniów?... Problem nie do rozwiązania...

Parę razy, spotkawszy go gdzieś w samotnym zaułku, chciałem go już zaczepić i wprost zapytać, dlaczego mnie prześladowe, lecz jakiś wstyd wstrzymał mnie w ostatniej chwili; nie mogłem zdobyć się na tę, bądź co bądź, impertynencję. Wszakże on mógł równie dobrze zadać mnie to samo pytanie...

Przechodząc dziś mostem Św. Floriana, znów ujrzałem tych troje. O ile się nie mylę, przytrafia mi się to już po raz piąty w tym miesiącu. Szczególny zbieg okoliczności! Kobieta, niezwykle piękna, rudowłosa, stoi pod prawym obłękiem mostu, tuż przy wejściu, i wkłada rękawiczkę perłowego koloru. O kilkanaście kroków od niej, mniej więcej już w połowie mostu, przechyliła się przez jego żelazne przesłta, jakby badając nurty pieniącej się dołem Druczy, jakiś człowiek w rybackiej bluzie, z ostro zaciętą w klin, ryżawą bródką; gdy przechodzę koło niego,

odrywa oczy od wody i wpija je w nieznaną; jest to spojrzenie pełne równocześnie nienawiści i bezgranicznego uwielbienia. Ona widocznie nie zwraca na to żadnej uwagi...

A tam znów, u wylotu mostowego sklepienia, oparty ramieniem o figurę św. Floriana, wodzi po niebie rozmarzonymi oczyma mój siwowłosy nieznanomy, którego spotykam teraz tak często.

Co za dziwny traf sprowadza mi tych troje razem już po raz piąty zawsze na to samo miejsce i ustawia zawsze w tych samych pozach?! Doprawdy, wyglądają na aktorów powtarzających tę samą scenę z niewiadomego powodu. Czy widzi ich też ktoś inny prócz mnie na moście? Byłoby to wszystko uwerturą do zdarzeń, które dopiero przyjść mają — projekcją mających zajść w dalekiej perspektywie wypadków? To pewne, że ci ludzie nie zdają sobie z tego zupełnie sprawy i że mnie nie znają. Więc czekajmy, czekajmy...

Wczoraj wieczorem byłem znów w Parku Strzeleckim na górze; jedyne miejsce spacerowe, które lubię; może dlatego właśnie, że nikt tu prawie nie zagląda. Park zapuszczony bardzo i na pół zdziczały. Przeszedłem wzdłuż aleję lipową i zatrzymałem się nad urwiskiem od strony południowej. Godzina była szósta, złota, zachodowa. Z dołu szedł stłumiony gwar miasta spowitego w dymy wieczorne, płynęły spizowe pacierze dzwonów. W sąsiednim ogrodzie klasztornym poza siatką sztachet przesuwiał się orszak sióstr karmelitanek. Zdawało się, że w ciszy zachodu słyszę szept ich warg w Pozdrowieniu anielskim. Czarne kontury habitów rysowały się smukłe na tle zieleni, grały w purpurze konającego słońca białe kornety... Skreśliły gdzieś w bok pomiędzy drzewa i zniknęły mi z oczu. Po chwili usłyszałem śpiew chóru i organy.

Nieszpory w kaplicy — pomyślałem odkrywając głowę

Na dawnym placu tenisowym nie było nikogo. Ze szczelin popękanego w tysiącne rysy asfaltu wyzierały kępy trawy, podarta nielitościwie drucziana siatka załamała się w śmieszny linię strzępów.

Usiadłem na jednej z ławek i utonąłem w zadumie. Nagle obudził mnie szelest lekkich kroków poza mną. Odwróciłem głowę, by o parę kroków od siebie, poza kratą klasztornego sadu ujrzeć w glorii zachodzącego słońca smukłą jak stela grobowa zakonnicę. Z ram śnieżnych kornetu wychylała się ku mnie anielska jej twarz. Na chwilę utkwiała we mnie spojrzenie dużych, smutnych oczu i zdawało się, że chce przemówić. Wstałem i mimo woli zbliżyłem się do dzielących nas sztachet. Kobieta z gestem lęku cofnęła się, wydając lekki okrzyk. Wtedy z uczuciem niewypowiedzianej trwogi i zdumienia „poznałem” moją narzeczoną.

— Halszko! — rzuciłem się ku kracie. — Halszko! Co to ma znaczyć?

Pięknej mniszki już w sadzie nie było. Jak spłoszony ptak pomknęła w gęstwą klasztornych jodeł, chroniąc się w zacisza świętego ustronia...

Gnany biczami okropnej niepewności zbiegłem z góry parkowej i wsiadłszy do

przygodnej dorożki, kazałem się zawieźć natychmiast do Grodzieńskich. Z łomocącym głośno sercem zapytałem sługę, czy panienka w domu. W odpowiedzi usłyszałem spoza drzwi jej drogi głos:

— Ależ naturalnie, mój Jerzy — jest we własnej osobie i czeka na próżno już od godziny, ty szkaradniku! Jak można było spóźnić się tak okropnie? Obiecałeś przecież

być tu już o szóstej, niedobry!

Para słodkich ramion otacza mi szyję pieszczotą bluszczu, a na wargi moje spływa bezcenna łaska jej ust. Patrę jej w oczy szczęśliwy, ściskam ręce, tulę do piersi jej cudną głowę.

— Halszko, Halszko moja!

Spogląda wzruszona silnie, lecz i z odcieniem zdumienia na twarzy...

Wierusz

Poznałem go dzisiaj na odczycie doktora S. Mój siwowłosy nieznajomy nazywa się Wierusz — Andrzej Wierusz. Znajomość zawarliśmy w czasie dyskusji, jaka rozwinęła się po prelekcji. Temat jej poruszający zagadnienie „reinkarnacji i prawa karmy” żywo nas obu zainteresował. Zabierałem parę razy głos, polemizując z prelegentem. Wierusz mi odpowiadał, biorąc poniekąd jego stronę. Po zamknięciu pogadanki zbliżył się do mnie pierwszy i przedstawił się. Głos jego cichy a głęboki i łagodny uśmiech,, przewijający się na ustach, ilekroć mówi, działają ujmująco. Człowiek ten budzi od pierwszego słowa sympatię i zaufanie. Kto wie, czy nie będziemy przyjaciółmi.

Zaprosił mnie do siebie jeszcze tegoż wieczora na „skromną kolację”. Przyjąłem z miłą chęcią i byłem przyjemnie zdziwiony, gdy zamiast, jak przypuszczałem, na jakieś lice poddasze, zaprowadził mnie do pięknej parterowej willi w głębi zacisznego ogrodu przy ulicy Parkowej.

W urządzeniu wnętrza uderzał na pierwszy rzut oka surowy niemal purytanizm. Wierusz zajmował właściwie tylko dwa pokoje: sypialnię, wyposażoną po spartańsku tylko w najkonieczniejsze sprzęty, i pracownię — duży, za dnia jasno oświetlony słońcem pokój z parą wielkich gotyckich okien. Pozostałe dwie ubikacje zawierały bibliotekę, która przedstawiała się imponująco. Wszystkie ściany były pokryte literalnie od posadzki po strop książkami.

Korzystając z chwilowej nieobecności gospodarza, który poszedł wydać instrukcje co do wieczerzy, przejrzałem kilka bibliotecznych kondygnacji, orientując się w treści po tabliczkach, przybitych na półkach.

Przeważały dzieła treści filozoficznej. Z podziwem przekonałem się, że Wierusz posiadał prace niemal wszystkich największych myślicieli od czasów najdawniejszych aż do doby współczesnej. — Nie mniej bogato przedstawiał się zbiór dzieł z zakresu psychologii i nauk przyrodniczych: nie brakło też książek poświęconych dociekaniom matematycznym i astronomii. Całą niemal ścianę drugiego pokoju zajęła „Wiedza tajemna”, najcelniejsze prace okultystów wszystkich wieków i narodów.

Właśnie odczytywałem tytuł na grzbiecie książki jakiegoś hinduskiego filozofa, gdy usłyszałem za sobą głos Andrzeja:

— Teraz proszę na wieczerzę. Na to — wskazał oczyma długie, w brązowy safian oprawne szeregi tomów — będziemy mieli czasu dość i potem.

Wróciliśmy do pracowni, gdzie zastałem już na stole dwie dymiące filiżanki mleka, świeży, pachnący chleb i wazkę z masłem; obok, na pięknie rżniętym w kwarcu talerzu czerwieniły się jesienne jabłka i winogrona.

— Wybacz pan brak mięsnej przekąski, lecz jestem jarozsem, a gości się dziś wieczorem nie spodziewałem.

— Mięsa na kolację nie jadam — odparłem, wychylając szklanę z mlekiem. — Czy pański wegetarianizm jest wynikiem zasady filozoficznej, czy też wypływa z własności pańskiego organizmu?

Uśmiechnął się:

— Ciało powinno iść za duszą, a organizm kształtować się w planie zasady. Myśl stwarza ciało i jego fizyczne predyspozycje — nie odwrotnie.

Zapadło na chwilę milczenie. Chociaż żaden z nas nie starał się go przerwać, nie czułem ani śladu zakłopotania, które w podobnej sytuacji zwykle powstaje. W towarzystwie tego dziwnego człowieka byłem swobodny jak u siebie; obecność jego nie krępowała zupełnie, przeciwnie: Wierusz działał szczególnie kojąco. Tutaj, w tym cichym, dobrym domu można było wszczynać i przerywać rozmowę, kiedy się chciało. Owszem — czuło się, że chwilowa przerwa w toku słów jest nie tyle wycieczką, ile pogłębieniem myśli.

Po pewnym czasie rzekł, patrząc mi bystro w oczy:

— Niepotrzebnie stawał pan dzisiaj wieczora w opozycji do prelegenta; byłbym i tak dziś pana pierwszy zaczepił.

Spojrzałem nań, niedobrze rozumiejąc.

— No tak — tłumaczył z łagodnym uśmiechem na ustach — właściwie bowiem chciał pan polemizować ze mną, nie z nim. Widząc, że poniekąd trzymam jego stronę, usiłował pan wbrew przekonaniu przeciwstawić mu się, aby mnie wyciągnąć na słowo i w ten sposób wejść ze mną w bliższą styczność.

Mimo woli zarumieniłem się. Andrzej w tajemniczy sposób odgadł intencję, którą sobie sam w ciągu dyskusji tylko bardzo niewyraźnie uświadamiałem.

— Istotnie — przyznałem pochylając głowę. — Zwrócił mi pan uwagę na rzecz, z której sobie sam nie zdawałem jasno sprawy. Pan czytał w moich myślach — dodałem po chwili z odcieniem niepokoju w głosie.

— Czasem udaje mi się pochwycić niektóre wibracje ludzkiej psyche — odpowiedział skromnie.

Podniosłem głowę i utkwilem badawcze spojrzenie w jego twarzy:

— W takim razie pan musi mnie znać już od dawna? Spotykaliśmy się niby przypadkowo niemal codziennie już od miesiąca. Czy pan o tym nic nie wie?

— Owszem. Znam pana znacznie dawniej, niż przypuszczasz; jażn pańska weszła w orbitę mego życia duchowego już od roku; wyczuwałem jej zbliżanie się na wiele dni przed tym momentem, w którymśmy się po raz pierwszy fizycznie spotkali.

— Czy być może? Szczególnie!

— Lecz pańską fizyczną fizjonomię poznałem dopiero dzisiaj, na odczycie.

— Hm. To prawda. Ani razu przedtem nie zwrócił pan na mnie uwagi.

— Raczej oczu — chciał pan powiedzieć — i to fizycznych oczu, wyrażając się ściśle.

— Rzecz ciekawa. Zastanawiałem się nieraz już nad celem tych pseudoprzypadkowych spotkań i nie mogę go zrozumieć.

— Przyszłość okaże. Jestem starszy od pana, doświadczeńszy — mogę mu się na coś w życiu przydać.

— Ma pan słuszność — przyznałem z pokorą w głosie. — Czuję, że mi wiele, bardzo wiele niedostaje i że tu, u pana, znajdę to, czego brak w życiu odczuwam. Jakiś głos wewnętrzny mówi mi w tej chwili, że dzięki panu pozbędę się tej czczości duchowej i pustki, jaka od czasu do czasu rozwiera się przede mną w godzinie samotnych rozmyślań. Pan mi nie odmówi swej pomocy w razie potrzeby, nieprawdaż?

Położył mi łagodnie rękę na ramieniu i rzekł po prostu:

— Bądźmy przyjaciółmi, Jerzy!

Wzruszony wstałem i uściśnąłem wyciągniętą ku mnie dłoń:

— Dziękuję.

— Przypadek w ogóle nie istnieje — mówił siadając na krześle naprzeciw dużego ściennego zwierciadła. — Nigdy nie można z góry wydawać sądu o bezcelowości pewnych zdarzeń. Kto wie, czy nasza znajomość nie jest potrzebną w równej mierze dla nas obu?

— Czymże ja mogę przysłużyć się panu? — zapytałem zdziwiony.

— Choćby tym, że pozwoli mi pan rozciągnąć nad sobą rodzaj duchowej opieki.

Nagle urwał, wpatrując się w lustro naprzeciw. Skierowałem oczy w tę stronę i mimo woli wydałem okrzyk zdumienia... Z ram zwierciadła wychylała się ku nam postać demonicznie pięknej, rudowłosej kobiety w czarnej dżetowej sukni i pomarańczowym szalu na głowie. Patrzyła wyzywająco, nakładając perłowszarą rękawiczkę...

Poznałem ją. Była to kobieta z mostu Św. Floriana. Obróciłem się w przekonaniu, że ujrzę ją poza moimi plecami w sąsiednim pokoju, lecz nie spostrzegłem nikogo: poza mną czernił się tylko pusty, zmroczony poćmą nocy czworokąt drzwi bibliotecznych... Spojrzałem powtórnie w lustro. Teraz nie było w nim już nikogo; jasna, światłem lampy gazowej przepojona gładź odbijała już tylko moją własną postać. Zwróciłem się do Wierusza:

— Widział pan?

— Widziałem.

— Czy ona jest tu może u pana, w tym domu?

— Co za przypuszczenie! Nie znam jej zupełnie. W tej chwili ujrzałem ją po raz pierwszy w życiu. Strzeż się pan tej kobiety!

Uśmiechnąłem się pobłaźliwie:

— Kocham już inną; mam narzeczoną.

— Mimo wszystko miej się przed nią na bacności! To niedobra kobieta!

— Nie jest mi zupełnie obcą. Spotkałem ją już parę razy.

I opowiedziałem mu o dziwnym zgrupowaniu ludzi na moście, nie tając obecności jego własnej osoby.

— Hm — szepnął, wysłuchawszy uważnie do końca — rzeczywiście byłem parę razy na przyczółku mostowym koło figury świętego i wyczuwałem niejasno jakieś wrogie prądy płynące nie wiadomo skąd. Hm... teraz rozumiem.

— Wyłaniają się powoli tajemnicze związki.

— Niewątpliwie. Drogi nasze zaczynają krzyżować się wzajemnie coraz częściej. Jakaś wyższa moc spleta coraz zwarciej dotychczas rozbieżne tory naszych losów.

— Lecz co to było? Halucynacja?

— Nie. Ona w tej chwili myślała o tobie.

— Czy to wystarcza?

— Nie u każdego. U niej widocznie tak. Stąd wnoszę, że kobieta ta musi posiadać ogromnie silną wolę.

— Więc uważasz tę wizję za rodzaj projekcji myśli?

— Nie wiem; może. Zresztą — dodał po namyśle — kto wie, czy ona rzeczywiście nie stała w owej chwili za nami.

Zadrzałem, odruchowo obracając się w stronę biblioteki:

— Czyżby coś podobnego było możliwym?

— Dlaczegoż by nie? Nasze myśli i wspomnienia lubią czasem przyoblekać się w ciało. Świat pełen jest larw i masek zrodzonych w ten sposób. Wałęsają się te strzępy jaźni oderwane od macierzystego łóżyska i straszą jak upiory czas pewien, dopóki nie rozwieją się w przestrzeni lub nie ulegną absorpcji przez wiry silniejsze.

— Odsłaniasz przede mną nowe światy; piękne są i straszne zarazem jak marzenia obłąkańca.

Wierusz uśmiechnął się smutno:

— Niestety. Aż nazbyt często fosforyzują blaskiem próchna.

Powstał i zbliżywszy się do pianina pod oknem, wziął parę molowych akordów.

— Przyjacielu — rzekł nie odejmując palców od klawiatury — dziwnym zrządzeniem losu przyszedłeś dziś pod dach mój w godzinę dla mnie osobliwą. Tęsknota dni minionych spłynęła na mnie nieukojną falą i porywa z sobą w lata, co dawno już przebrzmiały. Przynajmniej, że będziesz spokojny, cokolwiek się zdarzy.

— Przynajmniej — odpowiedziałem, przejęty do głębi tonem jego głosu. — Przynajmniej, że nie ruszę się z tego miejsca.

Wtedy Andrzej uspokojony zaczął grać jakąś rozlewną jak morze, nabrzmiąłą smutkiem fantazję. Wiała z niej nieutulona tęsknota wielkich przestrzeni, żal pustych, czarnych nocy, płacz doli zabłąkanej w stepie.

Grał jak pierwszorzędnny artysta. Jego zwykle łagodny, smutno uśmiechnięty profil stęzał nagle i zaostrzył się, śmiertelna bladeść wypełzła na policzki, oddech

stał się krótki, świszczący; powieki, jakby znużone światłem, opadły ciężko, zakrywając oczy...

— Grał, nie patrząc na klawisze. Może zasnął?

Nieokreślony lęk zaczął zakradać mi się do duszy; nie mogąc dłużej patrzeć na tę śmiertelną maskę, odwróciłem się ku oknu.

Było otwarte na ogród. Na dworze szalał jesienny wicher, miotając wściekle szkieletami drzew odartych z ostatnich już liści. Od czasu do czasu przy silniejszym ataku wpadały do wnętrza całe ich przygarście i słały się zżółkłe z szelestem na posadzce...

Zasłuchany w melodię Wierusza, utkwilem wzrok w czarny wykrój okna.

Wtem z głębi ogrodu wyszedł wysoki, biały starzec i oparłszy się o framugę okna, przysłuchiwał się grze... Stłumiony okrzyk zamarł mi w piersi. Zimny pot sperlił mi czoło i z rozszerzonymi od przerażenia oczyma siedziałem jak przykuty do fotelu...

Po chwili widziadło, wyciągnąwszy ku Andrzejowi chudą, trzęsącą się rękę, jakby na znak pożegnania, wsiąkło w mroki ogrodu...

Wierusz, jakby nie wyczuwając tego, co się działo poza nim, grał dalej. Spod palców jego wąskich, nerwowych wypłynęła teraz precudna kołysanka. Cicha a rzewna, brała w macierzyńskie dłonie czyjaś maleńką duszyczkę i pieszcząc tuliła do piersi:

— Ach, lulaj mi, lulaj, dziecino kochana — oczęta słodkie zmruż!... — Para przeźroczych rąk, strojnych w pierścienie, wiotkich rąk kobiecych wysunęła się z ram okiennych i spoczawszy na głowie Andrzeja aktem błogosławieństwa, cofnęła się w przestrzeń nocy...

On grał dalej. Tylko postać jego, dotychczas sztywno wyprostowana, przygarbiła się i skurczyła w sobie, podając się ku klawiaturze; na usta, zaciśnięte od wewnętrznej męki, wystąpiła piana...

Charakter melodii zmienił się. Kołysanka przeszła w czerwoną od krzyku krwi pieśń miłości. Bezbrzeżna, tryskająca gejzerami pasji namiętność rwała akordy, przewalając się lawiną dźwięków rozpasanych do szału...

Oparte o uszak, z odchyloną wstecz dumną, tragicznie piękną głową, stało teraz tam, za oknem, wśród jęku jesiennej zamieci widmo młodej kobiety. Na oczach jej smutnych, ciemnoorzechowych spoczęła cicha dłoń anioła rezygnacji; usta wąskie, usta pąku róży rozchyliły się w tęsknocie warg nieukojonej... Wtem wicher bólu przygiął ją ku ziemi; obsunęła się na parapet okna i wyciągnąwszy bezwładnie ramię, złożyła na nim głowę...

Nagle muzyka umilkła. Fantom rozwiął się gdzieś w czeluściach nocy...

Wyczerpany do ostatecznych granic, Wierusz upadł jak martwy na posadzkę. Podbiegłem ku niemu ze szklanką wody, lecz wkrótce przekonałem się, że cucenie tu na nic się nie przyda. Był cały sztywny jak kawałek drewna; należało uciec się do

magnetycznych pociągnięć. Na szczęście zabieg nie był mi obcy. Po kilku passach członki Andrzeja zaczęły odzyskiwać normalną giętkość, białka oczu wróciły do właściwego poziomu i wśród rześistego potu Wierusz obudził się.

— Dziękuję ci, Jerzy — szepnął ściskając mi rękę. — Proszę cię — dorzucił po pewnym czasie z głębokim westchnieniem — nie wspominaj nikomu o tym, co tu widziałeś tej nocy.

Bądź spokojny — zapewniłem wspierając go ramieniem. — To nasza wspólna, święta tajemnica.

Gdy w pół godziny potem wracałem do domu, świtało już na niebie i cicho gasły ostatnie już gwiazdy.

Maskarada

Owej środy, 29 maja kr., nie zapomnę nigdy. Świetna maskarada w domu Leżańskich wyryła mi się w duszy niezatartymi śladami. Zwłaszcza jej epilog nad ranem...

Halszka miała na sobie śliczne błękitne domino, w którym wyglądała jak wiosenny poranek. Ja wziąłem na się postać hiszpańskiego granda i intrygowałem ludzi maską stylizowaną na czarny charakter.

Tańce rozpoczęto dopiero po północy. Oczywiście przeważał two-step i fox-trot. Nie lubię tych tańców; gdzieś, w stepie meksykańskim tańczone przez autentycznych gauchos i cowbojów na tle podzwrotnikowej prerii, przy jarzącym się krwawo ognisku muszą sprawiać silne, bo stylowe wrażenie; w Europie na zwykłej, banalnej sali balowej rażą prostactwem i... wyuzdaniem. Halszka wie o tym i zapewne dlatego ograniczyła swe tury do minimum. Kochana dziewczyna...

Koło drugiej zauważyłem po raz pierwszy w szeregach tańczących czarne, smukłe domino, starannie zamaskowane koronką. Wkrótce przyłączył się do niej doża wenecki i odtąd prawie nie odstępował na krok. Przy kadrylu, który tańczyłem z Halszką, nagle wyłoniła się tuż przed nami zagadkowa para.

— Czy możemy prosić o *vis-à-vis*? — zabrzmiał dźwięczny, metaliczny głos czarnego domina.

— Z przyjemnością — wyręczyła mię w odpowiedzi Halszka, oddając ukłon doży.

I stanęliśmy naprzeciw siebie w kolonie . Podczas jednego passez drugiej figury wenecki dostojnik, mijając mię, rzekł półgłosem:

— Pozdrawiają cię ludzie z mostu Św. Floriana, señor hidalgo.

I przeszedł ku swojej damie, by wykonać z prawdziwie wielkopańskim wdziękiem *tour des mains*.

Głos wydał mi się jakiś znajomy; gdzieś już raz w życiu z tym człowiekiem mówiłem, ale gdzie i kiedy, nie mogłem sobie przypomnieć.

Tymczasem wodzirej zarządził „zmianę pań” i znalazłem się u boku czarnego domina. Muszę przyznać, że tańczyła bajecznie. Smukła i gibka jak tuja, płynęła lekko jak sylfida, podając nieco wstecz kształtną główkę. Widocznie taniec upajał ją, bo od czasu do czasu czułem nerwowe dreszcze, zbiegające wzdłuż jej obnażonych ramion, i namiętny ruch gorsu. Raz, nie wiem, przypadkiem czy umyślnie, skroń jej dotknęła mojej; wtedy palce jej zacisnęły się kurczowo na moim ramieniu i usłyszałem stłumione słowa ekskuzy:

— Przepraszam! — a po chwili: — *Diamine!* Pan tak dobrze tańczy! Zdaje mi się, że płynęłabym tak z panem w wieczność.

Akcent słów brzmiał trochę obco. Byłażby cudzoziemką? Lecz w takim razie skąd się tu wzięła? Może to jaka mistyfikacja?

Chciałem już wprost zapytać ją o rozwiązanie zagadki, gdy wtem mijając jakąś parę spotkałem się z utkwionymi we mnie oczyma Halszki. Nie wiem, czy rzeczywiście, czy też mi się zdawało, była w nich cicha skarga. Spostrzegłszy, że na nią patrzę, uśmiechnęła się z przymusem i zwróciła się z jakąś uwagą do swego tancerza. Uczułem coś jakby wyrzut sumienia i podziękowawszy intrygującej mnie maseczce, odprowadziłem ją na miejsce.

— Już się pan zmęczył? — zapytała odymając niechętnie usta. — A ja przypuszczałam, że kawalerowie z Kastylii mają więcej tanecznego animuszu.

— Prosiłem o najbliższy taniec moją narzeczoną — odpowiedziałem po prostu, składając jej ukłon. — Nie powinna na mnie czekać.

— Ach, tak! — zaśmiała się nerwowo. — Jest pan wzorowym narzeczonym! Nie przeszkadzam.

I poszła w taniec z jakimś jegomościem przebranym za ptasznika z Tyrolu.

Koło piątej nad ranem ochota zaczęła przygasać. Liczba tańczących stopniała do połowy. Gros towarzystwa skupiło się w sąsiedniej salee, oświetlonej różowym światłem dwu żyrandoli.

Podano herbatę i poranne przekąski. Wciśnięte w ramiona foteli, sofek i kozetek postaci masek rysowały się tajemniczo w purpurowym półmroku pokoju. Z póź niedbałych wyglądało znużenie i taneczny przesył. Ktoś ziewał dyskretnie...

Tylko w lewym rogu salki panowało szczególne ożywienie. Grupa mężczyzn i kobiet otoczyła widocznie kogoś siedzącego przy stoliku i słuchała czegoś z zainteresowaniem.

Zaciekawiony podszedłem z Halszką opartą na moim ramieniu.

— Linia Saturna — usłyszeliśmy z wnętrza grupy dźwięczny głos czarnego domina — niedobrze wróży. Czekają panią w niedalekiej przyszłości zawody i niepowodzenia.

Odpowiedział krótki, urwany śmiech kobiety.

— Horoskopy wcale nie zachęcające — odezwał się ktoś z przeciwnej strony.

Teraz ujrzałem zamaskowaną damę w sukni koloru „tango”, z ręką odwróconą grzbietem ku płaszczyźnie stołu, przy którym siedziało czarne domino.

— Nic nie widzę. — zauważyła po chwili wróżka, odrzucając niechętnie głowę. — Potrzebuje, więcej światła.

Jakiś usłużny pan przyniósł trójramienny kandelabr z pianina i zaświecił.

— Pani dużo już przeszła — czytała z dłoni po chwilowej przerwie chiromantka. — Przygada w Lionie zaciążyła fatalnie na całym jej życiu.

Kobieta wydała słumiony okrzyk i szybko cofnęła rękę. W oczach jej, dziwnie świecących przez otwory maski, zapaliły się na sekundę błyskawice gniewu:

— Kim pani jesteś?!

Tamta, nie zmieniając pozycji w fotelu, odparła spokojnie:

— Wszyscy korzystamy tu z prawa masek. Proszę uszanować i moją. Zresztą

nikt pani nie zmuszał do pokazywania ręki.

— Zupełnie słusznie — poparło ją parę głosów. Dama w „tango” bez słowa przeszła do sali sąsiedniej i zniknęła w tłumie wirujących w takt walca.

Wtedy poczułem nieprzewartą chęć usłyszenia wróżby z ust tej niezwyklej kobiety. Lecz Halszka usiłowała mię wstrzymać:

— Jerzyku, daj spokój, ja się takich rzeczy ogromnie boję. Może ci powiedziec coś złego, jak tamtej pani.

— Ależ, Halko — uspakajałem ją półgłosem — przecież to tylko zabawa — taka sobie salonowa rozrywka w antrakcie między jednym turem walca a drugim.

I przystąpiłem do chiromantki, wyciągając lewą dłoń:

— Może mnie z kolei zechce pani wywróżyć coś z ręki? Drgnęła i żywo obróciła się ku mnie. Uczułem na sobie mocne spojrzenie jej oczu.

— Panu? — zapytała z wahaniem w głosie. — Wolałabym wstrzymać się od wróżby.

— Jerzy! — usłyszałem za sobą błagalny szept Halszki. — Sama ci odradza. Chodźmy stąd, Jerzy!

Słowa te, choć ciche, zdaje się dotarły do uszu wróżbiarki, wywołując skutek wprost przeciwny intencjom mej narzeczonej.

— Zresztą — rzekła, decydując się nagle — spróbuje coś wyczytać z pańskiej dłoni. Ponieważ podał mi pan rękę lewą, zaczniemy od odgadywania przeszłości i charakteru. U mężczyzny bowiem lewa ręka jest negatywną i rejestruje tylko to, co już minęło lub jeszcze trwa do chwili obecnej; u kobiety jest wprost przeciwnie. Cóż? Nie obawia się pan ewentualnych rewelacji?

— Ani trochę — odpowiedziałem ze sceptycznym uśmiechem.

— W takim razie zaczynamy... Ręka pańska przedstawia dość rzadki typ mieszany: jest to ręka artysty i myśliciela.

— *Ben toccato!* — pochwalił doża, który nagle znalazł się, nie wiadomo jak, za moimi plecami.

— Proszę nie przeszkadzać! — upomniał go któryś z gości.

— Kształt palców i paznokci zdradza usposobienie nerwowe i łatwo pobudliwe. Jest pan chorobliwie ambitny i tęsknisz do sławy; poklask tłumy mile łechce twe wrażliwe ucho. Mimo to ma pan okresy, w których pogardzasz blichtrzem ziemskiego szczęścia, i wtedy zamykasz się w niebotycznej świątyni swych rozmyślań. Charakter ich mistyczny skłania się ku panteizmowi i panpsychicznej kontemplacji świata... Dzieckiem musiał pan być nadzwyczaj pobożny; ślady głębokiej wiary przetrwały do dnia dzisiejszego... Stosunek do przyrody, zrazu ścisły i serdeczny, później rozluźnił się nieco. Nic dziwnego; jest pan wychowankiem miasta... Dzieciństwo miał pan „sielskie, anielskie” do dwunastego

roku życia, tj. do śmierci ojca. W okresie młodzieńczym chorował pan długo i ciężko. O ile się nie mylę, przeszedł pan dwukrotnie operację. I gdyby nie dziwny przypadek, kto wie, czybyśmy dziś oglądali pana między nami. Wyleczył pana człowiek bez doktorskiego dyplomu...

—Umilkła wyczerpana widocznie wysiłkiem duchowym; na czoło jej wystąpiły perły potu...

Byłem zdumiony. Wszystko, co powiedziała, było prawdą. Skąd ta kobieta znała tak dokładnie pewne szczegóły z mego życia? Tak niechętnie dzielię się nimi z ludźmi, że wydaje mi się wprost wykluczonym, by mogła je pozbierać u mych znajomych... Charakterystyka mojej osobowości była wprost świetną!

— Przejdziemy do ręki prawej — przerwała ogólne milczenie niepewnym trochę, jakby od nagłego wzruszenia, głosem. — Ta u mężczyzny jest pozytywną i wróży przyszłość.

Z pewnym niepokojem podałem jej prawą dłoń. Ktoś szarpnął mię silnie za rękaw. Odwróciłem się i spotkałem błagalne spojrzenie Halszki:

— Dość tej zabawy, Jur! Proszę cię, nie pytaj o więcej!

— Za późno — odpowiedziałem szeptem — nie wypada mi już teraz cofać się.

— Linia życia — zaczęła wróżbiarka, śledząc uważnie rysunek mej dłoni — ma bieg szczególny.

I podnosząc ku mnie swą zagadkową, pod koronką maski ukrytą twarz, dodała dobitnie:

— Zrządzeniem wszechwładnego losu zbliżył się pan ku punktowi węzłowemu dwu przeciwnych sobie prądów; w chwili obecnej stoisz na płaszczyźnie wrogich sobie śmiertelnie wpływów. Jesteś jak wędrowiec na rozstaju dróg. Od decyzji pańskiej dużo zależy. Może czyjeś życie nawet?... A tu wije się pięknym, wyraźnym szlakiem „linia Księżyca”, zwana też „mleczną drogą”; zapowiada liczne podróże na lądzie i morzu; dalekie Południe uśmiecha się panu: widzę dużo bujnych egzotycznych kwiatów i zło ty piasek pustyni. Lecz linia ta zwykle zależy od poprzedniej; zdarzenia, które nam przepowiada, zawarunkowane są drogą, którą pan obierze pod wpływem jednego z wy mienionych przeze mnie prądów... A oto „linia Fortuny”, kapryśna, zwodnicza linia między „wzgórkiem Jowisza” a „wzniesieniem Marsa”. Ma pan wielkie powodzenie u kobiet i łatwo zdobywasz przyjaźń u mężczyzn. Lecz strzeż się człowieka o siwych włosach! Fałszywy to przyjaciel!... Przeciągły, sardoniczny śmiech był odpowiedzią na ostatnią przestrożę. Obejrzałem się w kierunku, skąd zabrzmiał, lecz ujrzałem przed sobą same poważne, skupione twarze ludzi śledzących z zajęciem przebieg wróżby.

— Nie ufaj też pięknej jasnowłosej osobie, która chwilowo zdołała cię opętać.

Tu głos jej załamał się na chwilę, a ręka, którą oparła na przegubie mojej, zaczęła drgać w nerwowym ataku. Nagle powstała i zwracając się wprost ku mnie, rzekła mocnym, przedziwnie wibrującym głosem:

— Szczęście, prawdziwe szczęście, rozkosz i bogactwo przyniesie panu z sobą inna kobieta. Dzień jej na horyzoncie pańskiego życia już zaświtał. Tamta nigdy nie zostanie twoją żoną.

Ostatnie słowa wróżby mieszały się z okrzykiem Halszki. Błada jak płótno obsunęła się bez pamięci w moje ramiona.

— Wody! — zawołałem rozglądając się bezradnie wokoło.

— Mamy lepszy środek — odezwał się tuż przy mnie spokojny głos doży. — Niezawodny.

I przytknął do nozdrzy omdlałej flakonik z solami. Niemal równocześnie Halszka otworzyła oczy i wyrzucając z piersi głęboki oddech, uśmiechnęła się przecudnie:

— Gdzie ta kobieta? — zapytała rozglądając się z trwogą.

— Proszę się uspokoić — odpowiedział doża, pomagając mi wyprowadzić ją z pokoju do buduaru dla pań. — Już jej tu nie ma. Wśród zamieszania, które wywołała swym nietaktownym finałem, wymknęła się z domu... Awanturnica! — dokończył ciszej, przez zęby.

U wejścia do gotowalni zatrzymaliśmy się. Halszka zniknęła za kotarą, ja z dożą skierowałem kroki do szatni dla mężczyzn; był czas najwyższy wracać do domu. Po drodze dziękowałem memu towarzyszowi.

— Komu mam zawdzięczać pomoc i okazaną nam sympatię? — zapytałem zatrzymując się pod arkadą przedsionka. — Moje imię: Jerzy Drzewiecki.

W odpowiedzi doża zdjął maskę, wyciągając równocześnie przyjaźnie rękę.

— Więc to ty, Andrzeju?! — zawołałem zdziwiony, poznając zamyśloną twarz Wierusza.

— Tak, to ja. Gra rozpoczęta. Cokolwiek się zdarzy, pamiętaj o tym, że jest na świecie ktoś ci z duszy życzliwy, ktoś, kto interesuje się tobą żywiej, niż przypuszczasz. Do widzenia, Jerzy!

I uściskawszy mi rękę, szybko zbiegł schodami ku wyjściu. Po chwili pomagałem już Halszce przy wsiadaniu wraz z matką do karetki.

— Do widzenia, Jur! — rzuciła na pożegnanie, wyciągając ku mnie swą małą, drobną rączkę. — Do widzenia w sobotę! Pamiętaj!

— Do widzenia, najdroższa!

Powóz ruszył, zanurzając się w poranną mgłę.

Wtem w świetle latarni, dogorywającej przed bramą, stanęła przede mną smukła, szczelnie w płaszcz otulona postać kobiety. Poznałem chiromantkę. Chwyciła mię za ramię i ściągnawszy maskę z twarzy, szepnęła:

— I ja oczekuję w sobotę. Kocham pana i dlatego musisz być moim. Oto mój adres.

I wciskawszy mi w rękę bilet wizytowy, przepadła w półmroku zarania.

Stałem długo jak wryty, nie mogąc uczynić kroku naprzód. W uszach brzmiały

wciąż słowa wróżbiarki jak nieprzeparty rozkaz, gdy palce ścisnęły kurczowo białą; sztywną kartę. Powoli, prawie bezwiednie podniosłem bilet do poziomu oczu i odczytałem:

Kama Bronicz. Parkowa 6.

Kobieta z mostu Św. Floriana mieszkała w domu Wierusza!...

Vivarta

W męce przeszedł mi czwartek i piątek. Te dwa dni wpłynęły decydująco na długi okres mego życia, zarysowując fatalnie plan przyszłych zdarzeń. Gdy po bezsennej nocy z piątku na sobotę wstałem wcześniej nad ranem i wyjrzałem przez okno na senny jeszcze świat, uczułem w całej pełni, jak jestem wewnętrznie rozbity; liść klonu chwiejący się za szybą na wietrze był odporniejszym na wpływy środowiska, niż byłem nim ja.

Mimo to — rzecz dziwna — czułem się w swej słabości szczęśliwym; dobrze mi było z tym słodkim bezwładem uczuć i woli. Z hedonistyczną lekkomyślnością zepchnąłem odpowiedzialność za wszystko na czyjeś barki i dałem unosić się nieznanemu prądowi, którego zbliżanie się odczuwałem coraz wyraźniej z każdą nadchodzącą godziną. *Apres moi le deluge!*...

O jedenastej rano przebrałem się i poszedłem do Grodzieńskich. Przy powitaniu wyczytałem w jej oczach utajoną obawę i niepewność. Mój śmiech swobodny, beztroski rozproszył wszystko; wkrótce swawoliła jak dzieciak.

Po obiedzie, koło trzeciej, przyszła kolej na garden party. Pozostawiono nas samych w olbrzymim, dziewiczym parku rodziny Grodzieńskich. Park ten, pół ogród, pół las, jest unikatem w swoim rodzaju. Podobno niegdyś stanowił część Dobieckiej Puszczy, która rozciągając się na przestrzeni kilkunastu mil, kryła w swym wnętrzu burzliwą, głębokim jarem przebierającą się Drucz. Puszcę wykarczowano — pozostała rzeka i park Grodzieńskich, szczątek minionej chwały boru.

Rodzina Halszki z pietyzmem usiłowała podtrzymać jego pierwotny charakter. Toteż park wyjątkowo rozległy sprawiał istotnie raczej wrażenie lasu. Tylko drobną jego część, przytykającą bezpośrednio do dworku, poddano wpływom ogrodniczej kultury — ogromna reszta, od lat nie tykana ostrzem nożyc, nie kaleczona stryculcem sekatora, żyła w stanie dzikim bujnie i swobodnie. Nikt nie pełł zarosłych trawą ścieżek, nikt nie zbierał nagromadzonej stosami leżaniny, chrustu, nie usuwał obalonych przez jesienne burze pni. Toteż dostęp do niektórych miejsc był niemożliwy. Potężne, z wykrotów drzewnych powstałe zasieki, niezdobyte, drapieźnie jurzące się zastrzały broniły zazdrośnie parkowych komyszy. Dlatego park Grodzieńskich był od lat przytułkiem dla wszelkiego rodzaju dzikiej zwierzyny, która nie płoszona przez dworskie polowania, chroniła się chętnie pod jego opiekuńcze spławy.

Najpiękniejszą była partia południowo-zachodnia, gdzie park, staczając się w łagodnej pochylni ku rzece, dotykał wydłużonym klinem zakrętu Druczy. Tam skierowaliśmy z Halszką swe kroki. Ujawszy się za ręce, jak para roześmianych pogodą nieba dzieci, szliśmy starą, wysłaną warstwami zeschniętych liści drożyną. Nad nami sklepił się strop poplątanych konarów, szumiał szeroki rozhovor dębów.

Włożyła mi rękę pod ramię i opierając głowę na piersi, mówiła:

— Jak tu dobrze, Jur, nieprawdaż? Wszystko tu takie czcigodne, uroczyste...

— Dusza starodrzewu — odpowiedziałem, chłonąc błękit jej oczu. — Twój ojciec, Halszko, musi bardzo kochać przyrodę?

— O tak — uwielbia ją jak poganin. Nieraz spędza całe dni w najgłębszych ostępach lasu. Po każdej takiej przechadzce jest dziwnie zamyślony i nie zwraca uwagi na otoczenie.

— Las działa jak narkotyk; można się upić jego duszą. Umilkliśmy i czas pewien słychać było tylko szelest liści roztrącanych przez nasze stopy. Ona pierwsza przerwała milczenie:

— Ojciec jest przy tym człowiekiem nadzwyczaj przesądnym.

— Dotychczas nie zauważyłem tego rysu.

— Bo się z tym kryje nawet przed nami. Zdaje mi się, że odziedziczyłam po nim podobne skłonności.

— Ty, Halszko?

— Dziś właśnie rano, zanim przyszedłeś, miałam sposobność przekonać się o tym.

— Czy mogę dowiedzieć się bliższych szczegółów?

— Owszem. Odczuwam potrzebę zwierzenia ci się nawet z najbliższych przeżyć.

Spojrzałem na nią z wdzięcznością.

— Jestem trochę znużona przechadzką. Usiądźmy na chwilkę tutaj, na mchu.

— Doskonale! — odparłem rozścielając jej miękkie, szkockie szale, który niosłem przewieszony przez ramię.

— A zatem — zaczęła — dziś rano, na godzinę przed twoim przybyciem, siedziałam sama na werandzie, kończąc poranną toaletę. Wtem na stopniach od ogrodu ujrzałam jakąś żebraczkę, która z wyciągniętą ręką prosiła o wsparcie. Wzrok starej nie podobał mi się: w czarnych, namiętych oczach czaiło się coś złośliwego; na ustach zwiędłych i sinych błąkał się zagadkowy uśmiech.

By się jej pozbyć jak najprędzej, kazałam jej zaczekać na schodach, obiecując wynieść za chwilę jałmużnę. Na nieszczęście nie mogłam znaleźć portmonetki, którą przez roztargnienie położyłam wczoraj na niewłaściwym miejscu. Nareszcie udało mi się ją odszukać. Odliczywszy parę sztuk monety, wróciłam, by wręczyć je żebraczce. Lecz zamiast na stopniach tarasu zastałam ją w obrębie werandy, szukającą czegoś na taflach posadzki, tuż koło krzesła, które przed chwilą zajmowałam. Spostrzegłszy mnie, szybko zgarnęła coś ręką do czerwonej chusteczki, zawiązała skwapliwie na węzeł i rzekła uśmiechając się złośliwie:

— Dziękuję paniencie za trud i dobre chęci. Zdobyłam tu rzecz stokroć cenniejszą dla mnie od złota. *Adieu*, piękna panno! *Adieu!*... A w przyszłości prędzej usuwaj z pod

łogi ślady, które pozostawia po sobie poranne manicure, jeśli nie chcesz, by coś z tych różanych paluszków nie dostało się w obce ręce.

I z cichym, zjadliwym chichotem zbiegłszy po stopniach, zniknęła za bramą wchodową.

— Szczególna przygoda... Więc pieniędzy nie przyjęła?

— Nie. Mam wrażenie, że prośba o jałmużnę była tylko pretekstem do wnięcia się na werandę.

— Hm... tak by wyglądało.

— Po jej odejściu uczułam nieokreślony lęk, którego nie mogę opanować dotychczas.

— Ależ, Halszko, jesteś przeczulona! Lepiej nie myśleć o tak błahym zdarzeniu.

— Boję się czegoś tej dziadówki. Babka moja mówiła nieraz, że ucięte włosy, paznokcie lub wypadły ząb powinno się natychmiast palić, by nie dostały się do cudzych, wrogich rąk.

— Cha, cha, cha! I ja coś o tym słyszałem. Ale to przecież śmieszny zabobon, Halko. Doprawdy, nie pojmuję, jak możesz przywiązywać do czegoś podobnego jakąkolwiek wagę.

— A jednak ta baba zabrała z sobą coś ze mnie. Wiesz, Jur, czasem zdaje mi się, że wskutek tego powstał między mną a tą czarownicą tajemniczy, choć niewidzialny związek.

— Przesadzasz. Pod wpływem chwilowego rozdrażnienia wyolbrzymiasz rzeczy nikłe i niegodne twej uwagi... Brr... Chłodno tu jakoś... Chodźmy na słońce!

Westchnęła z uczuciem ulgi i podała mi ramię:

— Masz słuszość. Jak ty umiesz zawsze uspokoić mnie, Jur!

Przytuliłem ją do siebie i tak szliśmy czas jakiś... Las przerzedził się i spoza trzonów drzewnych zamigotało ciche, drzemiące jezioro. Nad brzegami zarosłymi sitowiem unosiły się roje błękitnoskrzydłych ważek, pluskotały kurki wodne, pręły wiosenną przestrzeń nieba lotem na wskos kszuki. Z wody gęstej, ustalej szedł w górę odpar i przesłaniał mglistym woalem ospałą powierzchnię. Parę brzoź płaczących nachyliło się w zadumie nad topielą, zarzucając w głębię smutek swych warkoczy. Daleko od brzegu, gdzieś na środku jeziorzanej gładzi, snuł się jaśniejszą

Wsiedliśmy do łódki ukrytej wśród brązowych pałek rokitnicy. Odwiązałem łańcuch i wparłszy wiosło o ląd, odbiłem się mocno. Zabułgotała wytrącona z drzemki popołudniowej woda, zawirowały osadzie i męty. Łódź, otarłszy się burtami o kolana rogoży, roztrąciła kożuchy pleśni i wypłynęła na środek. Sterowałem ku skalistej wysepce w południowym kącie jeziora. Ten granitowy wykwit gruntu był zagadką. Skąd się tu wzięły skały pierwotne? Okolica płaska, typowo równinna, nie usprawiedliwiała w niczym tej anomalii. Szara, poszarpana ściana wystrzelała groźnie ponad wierzchołki najwyższych drzew parkowych.

Gdy podpłynęliśmy na odległość kilku metrów do wyspy, zerwała się z gniazd po wnękach rzesza jaskółek i zatoczywszy nad nami parę kręgów, wróciła do skalnych kryjówek. Okrążyliśmy wyspę, szukając miejsca do wylądowania. Strome, urwiste brzegi, obszyte na głucho krzami głogu i jeżyny, strzegły zewsząd wejść i dostępów. Tylko od strony południowej, tam, gdzie jezioro zwęzało się gwałtownie, by kilkanaście metrów dalej runąć po zboczach parku potężnym wodospadem do Druczy, zauważyłem za występem skały małą przystań. Ostrożnie, trzymając się brzegu, by nie wpaść w ramiona silnego już w tym miejscu prądu, opłynąłem cypel i zawiąłem szczęśliwie do zatoczki. Wyrzuciwszy z dna łódki łańcuch, okręciłem go mocno parę razy dookoła pnia przybrzeżnej sosny-karlicy, po czym zwróciłem się do Halszki, która w milczeniu śledziła wart wody:

— Wysiadamy?

— Koniecznie? Czy nie lepiej obserwować stąd, z łódki? Widok wspaniały!

— To prawda. Można podziwiać i z tego ruchomego pomostu.

Zająłem ostatnią ławkę przy dziobie, gdy ona, usiadłszy na szalu rozpostartym na dnie łódki, oparła się plecami o moje kolana.

— Lubię ten szum, Jerzy. Odchyliła ku mnie głowę.

— Dobrze ci tutaj?

I pochyliłem się ku jej słodkiej twarzy.

— Jak w zaczarowanym śnie — odparła podając mi usta. I znów słychać było tylko huk wodogrzmotu... Spad był potężny: ciche, rozlane powyżej wysepki szeroko wody jeziora nagle ujęte w kleszcze brzegów spadały przez wąską skalistą szyję, jakich 200 metrów w dół ku poziomowi rzeki. Stąd, z wysokości wysepki, widać było tylko chmurę pian i wrzątek wodnej Ciekliny, obrzucającej białymi płatkami wiecznie mokre ściany wąwozu. A tam, w dole, gdzie rozbita na miazgę woda przeciskała się pomiędzy pylonami czarnych, strażujących raf, widniała w rozstępie wąwozowego wylotu błękitna, spokojna już wstęga Druczy.

Godzina była trzecia, nasycona słońcem popołudnia, rozleniwiająco senna. Z nagrzaney ziemi unosiły się ledwo dostrzegalne fale powietrza, drgając w przestworzu niby kosmiczny eter. Od lądu szły zapachy ziół i leśnych kwiatów, z wody bił surowy, rybą i szuwarem zaprawiony obrzask. O łódkę uderzały co chwila wilgotne płetwy fal, pluskocząc po burtach rytmem pieszczoty, rozkręcał się z cichym zgrzytem, to znów przypadał gnuśnie do brzegu żelazny wąż łańcucha...

— Halszko! Co za dziwna godzina!

Odpowiedział mi jej równy, głęboki oddech. Usnęła jak dziecko. Z opartej na moich kolanach z ufnością głowy zesunęła się parą długich płowych warkoczy i spłynęła na dno łodzi.

— Ostrożnie, by jej nie obudzić, podniosłem jeden do ust i całowałem długo, tuląc namiętnie do twarzy. Ciepłe, wonne włosy dziewczyny...

Wtem, podniósłszy oczy na rzekę, ujrzałem w przerwie pomiędzy skałami

płynące powoli czółno z siostrami z klasztoru klarysek. Dwie pracowały przy wiosłach, jedna przy sterze, inne z rękoma wplecionymi w różańce błądziły zamyślonym spojrzeniem po wodzie. W chwili gdy łódź mijała ujście jeziora, zasuając się już swym dziobem za skałę, jedna z zakonnicek, ocknąwszy się z zadumy, zwróciła twarz w naszą stronę. Przez sekundę oczy jej spoczęły na nas z wyrazem głębokiego smutku, po czym wyciągnęła ku nam ręce splecione w czarne korale. W tej chwili czółno pchnięte silniejszym uderzeniem wiosła znikło za skalnym zrębem, unosząc z sobą postaci mniszek. Spojrzałem zaniepokojony na Halszkę. Twarz jej cicha, półotwarte usta i oczy łagodnie przymknięte upewniły mię, że śpi spokojnie jak dziecko. Nic nie widziała.

Nagle ramię jej dotychczas bezwładnie opuszczone wzdłuż ciała poruszyło się; prześliczne rzęsy zadrgały nerwowo parę razy i podniosła powieki.

— Zasnęłam? — zapytała rumieniąc się jak jutrzienka.

— Na krótką chwilę — odpowiedziałem piecząc pukle jej włosów na skroni.
— Tylko na bardzo krótką chwilę.

— Miałam taki dziwny sen...

— Musiał być chyba przyjemny, bo przed samym przebudzeniem uśmiechnęłaś się.

— Nie wiem, jak go sobie tłumaczyć... Szłam jakąś łąką, pełną czerwonych maków, szłam powoli, to strącając parasolką purpurowe głowy kwiatów, to biorąc je do bukietu przy piersi... Na mur, który otaczał łąkę, padał cień mój głęboki i soczysty, bo było południe... W pewnej chwili ujrzałam naprzeciw siebie postać siostry zakonnej. Szła ku mnie. Twarz posępnie słodką pochyliła ku ziemi, w palcach przesuwając korale różańca. Stanąwszy przy mnie, podniosła ciemne, przejmujące do głębi oczy i ujmując mię pod ramię, rzekła cicho:

— Nareszcie przyszłaś. Czekałam na ciebie dość długo, siostrze. Pójdź ze mną! Będzie nam dobrze z sobą.

I zawróciwszy mię z drogi, poprowadziła w stronę wprost przeciwną tej, którą iść zamierzałam. Przed nami w perspektywie słonecznej dali zarysował się średniowieczny klasztor... Obudziłam się...

— Szczególne!...

— Tak mi czegoś smutno, Jur — poskarżyła się.

Milcząc spuściłem łódkę z łańcucha. W pół godziny potem wstępowaliśmy na stopnie tarasu, na którym oczekiwali nas już zaniepokojeni trochę naszą długą nieobecnością starzy Grodzieńscy.

W czasie podwieczorku mówiliśmy mało. Halszka była zamyślona i smutna, ja dziwnie podniecony i nieswój. Co chwila spoglądałem na zegarek, zdenerwowany posuwaniem się wskazówek, jakby szybszym niż zwyczajnie. Koło piątej, nie mogąc przewyciężyć wewnętrznego przymusu, wstałem w ciągu rozmowy i pożegnałem się.

— Pan odchodzi dziś tak wcześnie? — zapytała pani Grodzieńska, patrząc na Halszkę, w której twarzy wyczytałem niemy wyrzut.

— Muszę — tłumaczyłem się niezgrabnie. — Mam posiedzenie w Związku o wpół do szóstej, a stąd do lokalu dość daleko.

W przedsionku Halszka chwyciła mię za rękę, przyciskając ją mocno do serca:

— Jur — błagała głosem drżącym, przez łzy — nie odchodź ode mnie w tej chwili! Tylko nie teraz! Mam jakieś złe przeczucia.

— Nie mogę. Muszę tam być dzisiaj koniecznie. Jutro będę u was znowu. Nie bądźże dzieckiem, Halko!

I szybko zbiegłem po schodach. Nieubłagana wola kierowała mnie w stronę Parkowej. Wskoczyłem do przejeżdżającego tramwaju i po kwadransie znalazłem się u wylotu znanej mi dobrze ulicy. Teraz szedłem powoli, umyślnie zwolniwszy kroku, by się wewnętrznie opanować.

— Numer 6! — powtarzałem w myśli, jakby w obawie, żeby nie zapomnieć. — Numer 6!

— Ależ to willa Wierusza! — uświadomiłem sobie, jakby budząc się z ciężkiego uspienia. — Może to jego kochanka?

Ogarnęła mię wesołość.

— Kama Bronicz kochanką Andrzeja! Cha, cha, cha! Kapitalny pomysł!

Lecz mimo wszystko bilet wskazywał ten adres.

— Dlaczego on kryje się z tym przede mną? Byłem przecież u niego już tyle razy i nigdy mi o tym nic nie wspominał. Przeciwnie, zdaje się być dla niej wrogo usposobionym.

Uczułem coś w rodzaju niechęci do przyjaciela.

— Siwy Don Juan! — mruknąłem przez zęby. — Stary hipokryta!

Stałem przed willą.

— Nr 6 — odczytałem półgłosem na tabliczce bramy. — Nr 6. No, tak — to przecież tutaj. Nie ma cienia wątpliwości...

Drzwi w siatce były uchylone. Wszedłem na ścieżkę ogrodową. Wyłoniło się pytanie:

— Co teraz? Dokąd zwrócić się? Jeśli pójdę przez werandę, spotkam się oko w oko z nim, jeśli wejściem z tyłu, natychmiast zawiadomi go sługa. W ogóle, gdzie właściwie ona mieszka? Rozkład domu i ubikacyj znam przecież na wylot. Miałżeby istnieć jeszcze jakiś zamaskowany zręcznie pokój, o którym dotychczas nic nie wiedziałem? A w takim razie kto mnie tam zaprowadzi?

Wszedłem do sieni wejściem tylnym i nagle zdumiony zatrzymałem się w progu.

Przedemną rozciągał się w półmrocznej amfiladzie kolumn koryncki krużganek.

— Gdzie jestem? — usłyszałem pytanie, rzucone między marmurowe trzony.

— Gdzie jestem?!

— Głos mój brzmiał obco, jakby nie z mojej piersi. Gdzie się podziela ta wąska, płomykiem gazu zwykle rozświetlona sień, którą mnie tyle razy wyprowadzał? Gdzie się podzieliło troje drzwi wychodzących na tę sień?

Przetarłem ręką oczy, by przekonać się, że nie śnię. Gdzieś pod stropem rozbłysnęła łagodnym światłem grecka lampa; od kolumn padły na stiukową posadzkę cienie, w górze, na głowicach rozkwitły liście akantu. Spłoszony półmrok skurczył się, zmalął i przykucnął w głębi kamiennej alei...

Wtem pomiędzy filarami ujrzałem Wierusza. Szedł odwrócony ode mnie profilem, sztywny, z oczyma zatopionymi w przestrzeń, przed siebie, jak lunatyk... Podszedłem, by doń przemówić, gdy coś mnie w nim uderzyło: Andrzej nie szedł, lecz płynął w powietrzu. I nagle w moich oczach rozwiązał się na tle jednej z kolumn.

— Andrzej! — krzyknąłem, opasując ramieniem gładki, obły trzon. — Andrzej, co to znaczy?!

Odpowiedziało mi echo dziwnie zniekształcone...

Odwinąłem się od kolumny bezradny; okrutna samotność wkradła się do serca i rozpanoszyła wszechwładnie. Na chybił trafił zacząłem iść w jakimś kierunku, aż dotarłem do jakichś schodów, pnących się krętą linią do góry. Środkiem stopni spływała ku mnie krwawą strugą czerwień kobierca.

Wejście na piętro? — pomyślałem, wpatrując się w twarz Merkurego, podtrzymującego posochem żyrandol u stóp klatki schodowej. — Tu nigdy przedtem schodów nie było! Dom jest przecież parterowy!

— Tędy na górę — zapraszała gościnnie wyciągnięta ręka bożka.

Więc poszedłem na górę. Na piętrze, tuż naprzeciw schodów zastałem szeroko rozwarte drzwi od pokoju.

Wszedłem. W głębi, pochylona nad naczyniem kształtu czary, stała Kama, ściskając w podniesionej ręce jedwabne lasso. Usta jej wyrzucały słowa ciemne dla mnie i niezrozumiałe.

— Podniosła głowę. Para oczu fanatycznych, oczu pantery uderzyła mię, paraliżując wolę.

— Nareszcie! — usłyszałem głos jej idący skądś, z nieskończonej dali i uczułem, jak zęby jej wgryzają się w moje wargi.

— Tyś mój! — szeptała oplątując się dookoła mnie skrętem bluszczu. — Teraz tyś już mój! Kochasz mnie?

— Kocham — odpowiedziałem spętany czarem jej namiętności. — Jakżeś piękna dziś, Kamo!

I piękną była w istocie. Z obcisłej, szafranowożółtej tuniki w czarne tulipany wykwiatała jej drobna, kształtna głowa w otoku włosów koloru miedzi, niby płomienna orchidea. Twarz owalną, bladą, z siatką lazurowych żyłek na skroniach przepalał żar oczu o barwie szafiru... Rzuciła się na sofę lubieżnie niedbała, leniwa,

nęcąca.

— Chodź do mnie, Jerzy! — wezwała kusząco. Usiadłem przy niej, pojąc oczy harmonią jej ruchów.

Wdzięk ich był nieporównany. Gibkie, opięte w obcisłą suknię jej ciało wiło się przede mną w nieuchwytnych, wciąż zmieniających się liniach. Mimo woli nasunęło się szczególne porównanie.

— Kamo! Wyglądasz w tej chwili jak prześliczna złota jaszczurka, wygrzewająca się w skwarze słońca.

Porwała się z sofy jak pod razem bicza; w cudnych, aksamitnych oczach zapęłgotały żagwie gniewu:

— Jak śmiesz?!

— Ależ, Kamo, czy cię to obraża? Przyszło mi tak do głowy ni stąd, ni zowąd.

— Nie lubię podobnych porównań — odpowiedziała cierpko, wracając do poprzedniej pozycji.

— Przepraszam cię, Kamo.

Przyciągnęła mię niemym ruchem ramion ku sobie. Uczułem zawrót głowy i dreszcz rozkoszy. Gdzieś, w wizyjnej oddali wyłoniła się twarz Halszki w męce błękitnych oczu — lecz zasłonił ją zaraz purpurowy płaszcz namiętności. W uściskach moich pieściłem młode, pachnące ciało, rozszalałe wargi moje piły słodycz dziewiczych, stromych piersi, a ręce zanurzały się w miedziany bugaj jej włosów, przesuając przez palce sypkie, bezcenne ich złoto...

Wtem usta moje, błądzące po jej biodrach, natrafiły na przeszkodę: szeroka, czarna szarfa zakrywała część ciała między lewą pachwiną a zębrem.

— Zrzuć tę przepaskę, Kamo! Niechaj nie pozostanie ani jedna cząsteczka twego ciała, której by nie dotknęły wargi moje!

Przycisnęła mocno dłoń szarfę i rzekła stanowczo:

— Nie wolno.

— Dlaczego?

Zaśmiała się przekornie:

— Nie należy być zbyt ciekawym. Może kiedyś, później, gdy się z sobą bardziej zżyjemy, wszystko ci wytłumaczę. Zresztą czy ci tak bardzo na tym zależy? Czyż mnie i tak całej nie posiadasz?

I zaczęła wodzić ręką po mej piersi.

— Masz skórę delikatną i białą jak u młodej dziewczyny. Czy zmywasz się czasem mlekiem?

— Co za przypuszczenie! To trochę za kosztowny kosmetyk.

Nie odpowiedziała. Tylko oddech jej stał się szybszym i piersi zaczęły silnie falować. Czułem, jak dłoń jej sływa po moim ciele coraz niżej, jak jej białe, wąskie palce sycą się czarem dotknięcia.

— Kamo! — zawołałem w pewnej chwili. — Przy tobie można oszaleć z

rozkoszy!

Czas płynął. Koło siódmej wieczorem, gdy pokój rozświetliły blaski ośmioramiennego pająka, oboje byliśmy wyczerpani pieszczotą. Więc oparłszy się plecyma o kobierzec nad sofą i splótłszy się za ręce, patrzyliśmy na siebie przez mgłę upojenia.

— Co to za medalion? — zapytała nagle, sięgając ręką ku mej szyi.

— Pamiątka — odparłem niechętnie, otrząsając się z miłosnego odrętwienia.

— Położyła go sobie na dłoni i otworzyła wieczko.

— Zostaw to, Kamo, proszą cię.

— A! Włosy! Jasnopopielate włosy! Wyrwałem jej z rąk przedmiot.

— Tak ci drogie? — zapytała z przekąsem. — To pewnie jej włosy, co? Tej pięknej panny, z którą byłeś na maskaradzie?

— Tak — to włosy z warkocza mej narzeczonej.

— Cha, cha, cha! Co za sentyment!

— Przestań, Kamo!

— A to dlaczego? Któż mi zabroni?

— Proszę cię — dodałem łagodniej — nie mówmy teraz o tym. Dobrze?

— Nie cierpię jej! — szepnęła mściwie. Mimo woli zadrżałem.

— Co robiłaś w chwili, gdy wchodziłem do tego pokoju? — zapytałem, by sprowadzić rozmowę na inny temat.

— Czekałam na Ciebie.

— Patrzyłaś w głąb tej czary — rzekłem zbliżając się do stołu, na którym w środku zakreślonego kredą koła stał szczerozłoty puchar. — Co to za napój? Wino?

— Woda. Czysta woda, tylko w stanie namagnetyzowania.

— A te znaki tu, na obwodzie koła?

— Symbole siedmiu planet. Ten tu, w kształcie kółka, z krzyżykiem u spodu — to znak Wener; wskazuje, że w sferze jej wpływów ważniejszym jest moment zasobu sił życiowych niż warunki środowiska.

— Na nim skupiłaś swą uwagę, gdy wchodziłem?

— Nie. Ten moment operacyjny zaszedł znacznie wcześniej. Gdy wchodziłeś, wyglądałam już wyników na powierzchni wody; szukałam w niej wizerunku twej twarzy.

Spojrzałem na nią przerażony.

— Ty mnie przyciągnęłaś do siebie w sposób magiczny! To nieuczciwie, Kamo! I cóż ci po takim zwyojęstwie?

— Nie mogłam na razie inaczej; musiałam wpierw przełamać wrogi mi wir, który przede mną zdobył wpływ na ciebie. Teraz już sztuk tych nie potrzebuję.

I lekceważącym ruchem ręki wywróciła czarę. Rozlany płyn ściągnął się na stole w długą wąską taśmę i zaczął ściekać na posadzkę.

— Zbyt pewna jesteś swego osobistego uroku — zauważyłem podrażniony.

Roześmiała się swobodnie:

— Tak, mówię to otwarcie. Ponadto poznałam cię dzisiaj dokładnie. Tyś już mój, Jerzyku!

Zbliżyła usta do mojej twarzy i z lekka dmuchnęła mi w oczy. Ciepły prąd przebiegł mi od stóp do głów i przejął sobą całe me jestestwo.

— Jakżeś piękna, Kamo! — powtórzyłem parę razy bezwiednie.

Ona tymczasem wyjęła z kredensu flaszkę i dwa kieliszki.

— Maresciallo rosso antico, autentyczne — zachęciła, napełniając mi po brzegi kubek czerwonym moszczem. — Nie bój się! Nie otruję cię.

Przypiliśmy do siebie. Wino było dobre, tęgie. Czułem, jak jego dobroczynna moc rozlewa mi się krzepiąco po żyłach. Trzymając w palcach trzon kieliszka, rozejrzałem się po raz pierwszy z uwagą po pokoju.

Wydał się skądś znajomy. Obicia koloru turmalinowego, krzesła, fotele, stół sześcioboczny, oparty na sfinksach były mi znane... Nagle wyłoniła się szczególna orientacja: wszystkie te przedmioty, tylko w innym układzie i rozmieszczeniu, widziałem u Wierusza. Miało się wrażenie, że wewnątrz to w sposób zagadkowy skupiło w obrębie swych czterech ścian rozproszone elementy mieszkania mego przyjaciela.

— Czy znasz Andrzeja Wierusza, Kamo? — zapytałem wprost.

— Nie — odpowiedziała nie patrząc mi w oczy. Byłem pewny, że kłamię. Ale dlaczego? Po co kryje

się z tym przede mną?

— Czy wiesz, że dom ten należy do człowieka, który jest moim przyjacielem?

— Teraz mieszkam w nim ja i to niech ci wystarczy, W głosie jej brzmiała nuta triumfu i dumy.

— Co to wszystko znaczy? Gdzie ja właściwie jestem?

— W zaczarowanym pałacu, jeśli już chcesz koniecznie wiedzieć. Ach, wy mądrzy panowie — dorzuciła z pogardliwym uśmiechem — wiecznie wszystkiego dochodzący rozumem, panowie — sprytni rachmistrze i bałwochwalcy mózgu! Są sprawy, które się wam zawsze wymykać będą spod kontroli... Czy ci to nie wystarcza, że jesteś tutaj ze mną i że przeżyłeś parę godzin rozkoszy? Czy owo „gdzie?” nie jest rzeczą drugorzędną lub zgoła obojętną?

— Masz słuszość, Kamo — przyznałem biorąc ją za rękę. — Zawdzięczam ci wyjątkowy wieczór! Gdybyś!...

Lecz rozpoczęte zdanie zamarło mi na ustach. W twarzy Kamy, dotychczas tchnącej świadomością własnej potęgi i czaru, nagle zaświtało coś jak wahanie; w oczach hardych, wyzywających zatliło błędne światło niepokoju. Szybko spojrzała na duży, wahadłowy zegar nad sofą. Była ósma.

— Idź już, Jur! — rzekła łagodnie. — Idź! Dłużej tu dzisiaj pozostać nie możesz. Oczekuję cię we wtorek o tej samej porze. Przyjdiesz, nieprawdaż, Jur?

— Przyjdę.

— Nie gniewaj się na mnie — prosiła, patrząc mi przymilająco w oczy — lecz pora już spóźniona. Muszę stąd wyjść za chwilę. Są pewne przeszkody. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Przeciągła pieszczota pocałunku, pożegnalne zwanie się spojrzeń... i wyszedłem. Poza mną zapadły głucho w zamek ciężkie, dębowe drzwi...

Rozejrzałem się. Klatka schodowa znikła. Przedemną biegł w głąb półmroczonej przestrzeni znany mi wąski korytarz z trojgiem drzwi, oświetlony słabo językiem gazu — przedsiń domu Wierusza...

Obejrzałem się poza siebie, szukając wejścia do pokoju, z którego przed chwilą wyszedłem, i zamiast drzwi dębowych znalazłem gładką, białą ścianę...

Więc to wszystko było tylko snem?! Niemożliwe! Czułem przecież wciąż jeszcze słodką niemoc miłosnego wyczerpania.

— Kamo! Kamo!

Głos powrócił z przeciwległego kąta korytarza i zgasł w półmroku. Podszedłem do środkowych drzwi po lewej stronie, prowadzących do pracowni Andrzeja, i zapukałem. Nikt nie odpowiedział. Pociśnąłem klamkę: drzwi otworzyły się.

Wierusz siedział za stołem z głową odchyłoną wstecz na grzbiet fotelu. W twarzy bladej, ascetycznej ani kropli krwi. Gdy zbliżyłem się doń na parę kroków, otworzył ociężałe powieki i spojrzał na mnie.

— Jestem z powrotem — wyrzekł z trudem — przychodzisz w porę, Jerzy.

— Spałeś?

— Tak i nie. — Uśmiechnął się. — Która godzina?

— Minęła ósma.

— Więc potrzebowałem aż trzech godzin...

— O piątej widziałem cię w korynckim krużganku. Wychodziłeś z domu.

— Tak — o tej godzinie wyszedłem z domu mego ciała... W korynckim krużganku... powiedziałaś? — powtórzył, prostując się nagle z ożywieniem.

— Tak — tu, w twoim domu na d o l e. A potem poszedłem schodami na piętro.

Patrzył mi przenikliwie w oczy i wyczytał resztę.

— Źle się stało — szepnął powstając. — Bardzo, bardzo źle... Tak, tak — skorzystano ze sposobności.

— Widzisz — tłumaczył, zatrzymując się przede mną. — Wyzyskano moment, w którym opuściłem na chwilę fizyczny plan. W innych warunkach nigdy nie byłbym do tego dopuścił, bo wola moja silniejszą jest, gdy oparta o ciało fizyczne, niż w czasie eksterioryzacji. W każdym razie pocieszającym objawem jest to, że użyto podstęp. Widocznie nie czuje się na siłach do otwartej walki ze mną.

Odstąpił parę kroków w głąb pokoju i stanąwszy pod kapą swego olbrzymiego pieca do destylacji alchemicznych, zwanego Athanorem, rzekł mocno:

— Z dwu magów o jednakowym astralnym rozwoju zwycięża w walce ten, który rozporządza silniejszym systemem nerwowym w fizycznej płaszczyźnie.

— Czy uważasz, że ona posiada zdolności nadprzyrodzone?

— Magiczne; i to w wysokim stopniu rozwinięte. Lecz, niestety, używa sił przez siebie zdobytych do celów błahych i pospolitych; dlatego nie będzie nigdy prawdziwą adeptką. Mimo to może być groźną nawet dla wtajemniczonego w wyższe stopnie nauki tajemnej. Przez moją nieostrożność i brak czujności mimo woli wszedłem' częściowo w sferę jej wpływów. Dom mój, przynajmniej na czas jakiś, został przepojony trującą aurą, która od niej płynie. Czy wiesz, jak mahatmowie nazywają podobny stan?

— Skądże mam wiedzieć? Nie mam najmniejszego pojęcia o tych rzeczach.

— Nazywają to astralnym *con dominium*... Nie jestem już wyłącznym panem tego domu; muszę się wbrew mej woli dzielić swą władzą z tą kobietą. Czuję, że walka będzie ciężką, lecz mam nadzieję, że mimo wszystko, mimo twej słabości, Jerzy, zwyciężę.

Pochyliłem głowę przygnębiony, w poczuciu swej winy. Chociaż słowa przyjaciela były dla mnie ciemne i niejasne, rozumiałem dobrze to jedno, że przeze mnie wplątał się w wir sił sobie wrogich. Usiadłem i mechanicznie obracałem w palcach jakiś przedmiot leżący na stole. Po chwili spostrzegłem, że trzymam w ręku tę samą popielniczkę, którą widziałem przed paru minutami w pokoju Kamy. Zauważywszy na spodzie niedopałek cygara, wyjąłem go i przekonałem się, że na banderoli z marką ochronną w kształcie żółwia był napis: Tortuga. Były to zatem te same liście, które dopiero co wypaliłem tam „na górze”.

— Czy i ty zacząłeś palić „tortuga”? – zapytałem z niedowierzaniem.

Wierusz potrząsnął przecząco głową:

— Skądże znowu? Przecież wiesz, że w ogóle nie palę.

— W takim razie wytłumacz mi, skąd się wziął u ciebie ten niedopałek?

— To szczątek twego cygara.

— Tak by wyglądało, lecz to sprawy nie wyjaśnia. T u go przecież nie wypaliłem.

— Czy tylko ten szczegół powtarza ci się w tym pokoju?

— No, nie. Prócz popielniczki i cygara był ten sam stół i identyczne obicia ścian.

— I nic więcej?

— Owszem; lecz reszta urządzenia zdawała się pochodzić z twoich pokoi bibliotecznych.

— All right!

Patrzyłem na Andrzeja szeroko otwartymi oczyma. To, co dla mnie było szaloną zagadką, jemu przedstawiało się w zupełnym porządku.

— Nadzwyczaj sprytnie umiała wyzyskać elementy mego mieszkania — rzekł z

uznaniem.

— Ależ to było gdzieś na pierwszym piętrze! — krzyknąłem niemal wyprowadzony z równowagi jego spokojem. — Gdzie tu kto kiedy widział w tym domu jakieś schody na piętro lub przedsionek z kolumnami?!

Uśmiechnął się pobłaźliwie:

— Więc wyobraź sobie np., że byłeś przez trzy godziny w tzw. czwartym wymiarze zaludnionym chwilowo przez Kamę niektórymi elementami mego domu. No, cóż, zrozumiałeś?

— Nie bardzo.

— Trudno. Na to już nie poradzę... Ale, ale!... Chciałem cię jeszcze o coś zapytać. Czy nie wpadł ci tam w oko jakiś przedmiot, którego u mnie nie widziałeś? Rozumiesz? Chodzi o to, czy nie zauważyłeś w tamtej przestrzeni jakiegoś elementu zupełnie tu obcego, heterogenicznego?

— Poczekaj chwilę... Tak — przypominam sobie... złotą czarę...

— Która stała w środku koła z wpisanim w nie znakiem septenera, co?

— Septener? Co to takiego?

— Obraz syntetyczny siódmego arkanu taroka : figura geometryczna w formie siedmioramiennej gwiazdy ze znakami siedmiu planet po rogach. Dewiza: *Spiritus dominat formam*.

— Tak. Widziałem istotnie ten symbol nakreślony kredą na stole... Patrzyła w głąb tej czary, gdy wchodziłem.

— Naturalnie była woda?

— Tak, lecz potem rozlała ją po stole na dowód, że w przyszłości nie będzie już potrzebowała tego środka.

Oczy Andrzeja nagle ożywiły się.

— W takim razie muszą tu być jeszcze jakieś ślady, o ile woda nie wyparowała. I uważnie zaczął badać płytę stołu.

— Jest! — zawołał po czasie z triumfem. — Heureka! Podbiegł do Athanora i wyjąwszy z czeluści platynowy tygiel, zgarnął doń łyżką resztki płynu.

— Cudownie!

— Wstawił naczynie w niszę w ścianie obok pieca i zatarł z zadowoleniem rękę:

— Znalazłem nareszcie punkt zaczepienia. Patrzyłem na jego ruchy osłupiały.

— Co to wszystko ma znaczyć?!

— Wyjaśnię ci kiedyś później. Na razie rzecz to zbyteczna. Gotujemy się do walki, Jur! — dodał z błyskiem energii w siwych oczach.

Wyjął zza gorsu koszuli jedwabny woreczek, rozsunął taśmę szyjki i wydobyl z wnętrza metalowy krążek z wizerunkiem sześcioramiennej gwiazdy na tle lazurowym.

— Znasz to? — pokazał mi z daleka.

— Talizman?

— Nie — pantakl.

— W każdym razie coś pokrewnego.

— Zapewne, lecz są i zasadnicze różnice. Talizman służy do zgęszczania i skupiania energii tej planety, w której znaku urodził się jego właściciel. Posiada zatem znaczenie czysto indywidualne; jako związany najściślej z danym osobnikiem i jego planetą wzmacnia tylko to, co już od jego urodzenia in potentia istnieje. Dlatego byłoby rzeczą bezcelową, gdyby ktoś urodzony np. pod znakiem wpływów Marsa chciał nosić na sobie talizman planety Saturna.

— Czym są w takim razie pantakle?

— Pantakle, sporządzane ze stopu siedmiu planetarnych metali, przepaja się przy pomocy stosownych ceremonij magicznych fluidami odpowiadających im planet; dlatego mogą one w sztuczny sposób zawiązać astralny stosunek pomiędzy tym, który je nosi, a elementami planet. — Pantakl, który masz przed sobą, nazywają zwykle „Pieczęcią Salomona”, „Gwiazdą Salomonową” lub „Mistycznym Heksagramem”.

— Pozwól, chcę go obejrzeć dokładnie.

— I wyciągnąłem rękę po krążek. Wierusz cofnął się przerażony, skwapliwie usuwając pantakl.

— Nie waż się go dotykać! — ostrzegł surowo.

— Dlaczego?

— Bo mógłbyś to przyplącić własnym zdrowiem, a nawet życiem, powodując wyładowanie skupionych tu sił. Zaszкодziłbyś bezpośrednio sobie, wystawiając się na działanie fluidów, pośrednio zaś mnie, gdyż rozbrojony pantakl straciłby swą moc i byłby dla mnie bez użyciu.

— Zdaje mi się, przywiązujesz zbyt wielką wagę do tego krążka.

— Mówisz jak dziecko, Jerzy, o rzeczach, których istoty nie zgłębiłeś. Heksagram Salomona stanowi jedną z najpotężniejszych broni w ręku Wtajemniczonego. To symbol dylematu dobra i zła, to syntetyczny skrót równowagi magicznej. I w tym znaku zwycięzę czarne moce, które ktoś rozpętał wkoło mnie i ciebie. Dziś nie wiem jeszcze, kim jest ta kobieta i skąd przybywa — lecz że siły, które jej towarzyszą, są złe i występne, o tym już teraz nie wątpię... Zwycięzę — powtórzył z mocą — muszę zwyciężyć, chyba że...

— Co?

— Chyba że działalność moja na Ziemi przypadła na okres chwilowych uwsteczeń...

— Co w takim razie?

— W takim razie — odpowiedział cicho — poniósłbym porażkę.

— Ty i porażka! Czy to możliwe?

— Dziękuję ci, Jerzy, za tę wiarę we mnie, lecz czasem zbyt trudno jest płynąć

pod wodę; fala inwolucji wszechświatowej zatapia nieraz i najwyższe szczyty. Zresztą w podobnej walce można niekiedy odnieść pirrusowe zwycięstwo.

— Jak to rozumiesz?

— Zdarza się, że wyczerpany zapasami zwycięzca n. zejść z pola na czas dłuższy, może na całe wieki i...

— Mówisz do mnie rzeczy tak dziwne...

I wpatrzyłem się zamyślony w tajemnicze znaki „pieczęci”.

Po dłuższej chwili przerwałem milczenie pytaniem:

— Co znaczą te dwa wplecione w siebie trójkąty ze znakiem T w pośrodku: jeden złoty, drugi srebrny?

— Ten złoty, obrócony wierzchołkiem do góry, zwany stąd *triangulus ascendens*, symbolizuje Makroprozopa, czyli Boga Białego — ten drugi, srebrny, obrócony wierzchołkiem w dół, jest jego ponurym odbiciem: to znak Czarnobrodego Mikroprozopa.

— Znamienne połączenie wizerunków!

— Tu właśnie tkwi istota symbolu i jedna z zasadniczych zagadek bytu. *Quod superius, sicut quod inferius* — głoszą tajemnicze słowa Hermesa Trismegista ze Szmaragdowych Tablic. — *Et sicut omnes res fuerunt ab una meditatione unius, sic omnes res natae fuerunt ab hac una re: adaptatione.*

— Dla mnie najstraszliwszą zagadką będzie zawsze geneza zła we wszechświecie.

Dotknąłeś problemu, o który, jak o rafę, rozbijają się spekulacje myślicieli wszystkich czasów. Zdaje mi się, że zło zrodziło się z pędu do określania się, który od prawieków tkwi w istocie bytu. Przedwieczny Atma, Bóg-słowo, zapragnął wcielić się i wydał z siebie życie. Nie wystarczyła Mu milcząca świadomość własnego istnienia i określił się kształtem. Bo uczuł, że nie jest doskonałym i że potrzebny Mu świat, by mógł w nim rozwijać drzemiące w piersi możliwości. Przeto wysnuł z siebie materię i przyoblekł się nią niby płaszczem. Bo tylko przez tarcie z ciałem możliwa dla ducha droga wzwyż. Lecz wyrzuciwszy z Swego łona życie, tym samym zstąpił w sferę zła i grzechu; bo to, co się ma rozwijać, musi walczyć: musi dźwigać się i znów upadać.

— A zatem — przerwałem mu — nie wierzysz w absolutną doskonałość Przedwiecznego?

— Nie. Absolut jest czymś sztucznym i nienaturalnym; to jedna z licznych abstrakcyj mózgu ludzkiego, nie poparta życiem ani jego przejawami — to zastój i nieruchomość. Przeciwnie! Wszystko wskazuje na wieczny ruch, na wieczną zmianę, ciągłą i stałą wolucję. I on, ten Wielki Nieznajomy, musi się też tvrać z nami rozwijać — i on ma Swoje wzloty i Swoje upadki. Stwórca nie może być czymś heterogenicznym w stosunku do stworzenia. Duch świata — to wielki zbiornik niespożytych sił, to żelazny kapitał, z którego wciąż czerpie materia,

wytwór Jego przedwiecznej tęsknoty objawu. Czerpie wciąż pełnymi garściami i odwdzięcza Mu się, wzbogacając Go w doświadczenia bytu fenomenalnego i rzeźbiąc poprzez wieki rozwoju Jego nigdy nie wykończony posąg.

— Mówiłeś coś o momencie uwstecznień...

— Ewolucja odbywa się w linii helikoidalnej, ruchem olbrzymiej śruby, wwiercającej się bez końca w coraz to wyższe regiony bytu. Prawem cyklicznym okresów powrotnych panuje we wszechświecie bezkresna kolejność przemian: po okresie twórczym, pełnym elementów porywających świat naprzód, następuje okres stagnacji i ruchów wstecznych; lecz zawsze punkt szczytowy w danym okresie rozwojowym jest wyższy od punktu szczytowego w cyklu poprzednim.

— Więc ostatecznie ciągle idziemy naprzód?

— Tak. Wielki ruch wirowy myśli Bożej wspina się wciąż na coraz to wyższe kondygnacje.

— A my wraz z nim?

— A my wraz z Nim i w Nim: drobne ogniwa gigantycznej vivarthy!

— Więc zło, zdaniem twoim, jest równie wiecznym jak dobro?

— Tak — niestety. Lecz zawsze suma jego energii rozproszonej we wszechświecie jest mniejszą od napięcia potencjału sił jasnych i czystych. I dlatego zawsze w końcu zwyciężyć muszą te ostatnie.

— Lecz nie rozstrzygająco?

— Nie. Zdaje się, że olbrzymi turniej trwać będzie wiecznie; kres walki odsuwa się wciąż w perspektywę nieskończoności. Szanse zła wprawdzie maleją, lecz prawdopodobnie nigdy nie spadną do zera. Byłoby to chyba możliwym w jednym, jedynym wypadku.

— Mianowicie?

— Gdyby Przedwieczny zniechęcony walką wchłonął z powrotem w Siebie świat objawiony i zamknął się w Sobie na zawsze.

— A czy to możliwe?

— A ty kochasz życie, Jerzy?

— Życie, mimo wszystko, jest przedziwnie piękne.

— Oto masz odpowiedź...

Wyrząłem przez okno. Było już całkiem ciemno i na niebie świeciły gwiazdy. Od miasta nadpłynął metaliczny dźwięk zegarów: biła dziewiąta wieczór.

Andrzej włożył z powrotem do woreczka heksagram i ściągnawszy taśmę, ukrył na piersi.

— Znak staurosa I w środku pieczęci — nawiązał rozmowę — symbolizuje stosunek ducha do materii; kreska pionowa — to twórczy Fallus zapładniający poziomą Kteis. Życie jest pierwiastkiem żeńskim. Kobieta ściąga nas ku Ziemi i jej sprawom. Czy cię to nie uderzyło, że liczba czarownic w średniowieczu jest bez porównania większa niż liczba czarowników?

— Istotnie. Widocznie kult Zła jest silniejszy u kobiety niż u mężczyzny.

— A zawsze wszystko obraca się ostatecznie dookoła aktu cielesnego z Szatanem — tego aktu, który stwarza życie, a wraz z nim Zło i występki. Kobieta — Magna Mater Terrae — Matrix Admirabilis...

— A słowo stało się Ciałem i zamieszkało między nami. Duch Św. zstąpił w łono Dziewicy i powiła Syna Bożego.

— Nieśmiertelne prawo przeciwstawień i kontrastów — wieczna, niezniszczalna dwójka sił borykających się z sobą w zgiełku wieków...

Powstałem:

— Czas już na mnie.

— Bądź zdrow, Jerzy! — pożegnał mię smutno. — Bądź zdrow! Zalecać ci teraz niczego nie mogę; wszystko zależy od twojej własnej, dobrej woli. Tylko mi... Halszki żal... To dobra, czysta dziewczyna...

Wzruszony, z opuszczoną nisko głową wyszedłem.

Sabat

Żyję jak w śnie od paru miesięcy. Niby to spełniam zawodowe obowiązki i oddaję się codziennym zajęciom, lecz właściwie przebywam ciągle w innym świecie. Ten inny świat, cudowny, czasem groźnie piękny, przestał mnie już nawet dziwić; zżyłem się z nim na dobre i zdaje mi się, że tak już być musi, że inaczej już być nie może...

U Grodzieńskich bywam jak dawniej. Kocham Halszkę, lecz nie mogę równocześnie wyrzec się rozkoszy, którą mi daje Kama. Nieraz wśród miłosnej ekstazy budzi się we mnie nagle chęć zabicia jej, usunięcia raz na zawsze z mej drogi. Ona zdaje się to przeczuwać, bo patrzy na mnie w takich chwilach wzrokiem bezsilnego gołębia:

— Uderz, uderz w pierś moją, jeżeli potrafisz!

I rozbija mnie od razu...

Rzecz dziwna! Ona ma czasem w spojrzeniu coś z Halszki. Toteż nieraz zdaje mi się, że poprzez nią kocham właściwie tamtą. Halszka jest czymś świętym — nie śmiem myśleć o rozkoszy fizycznej, jaką dać by mi mogło jej ciało. I może właśnie dlatego Kama stała się dla mnie jej uzupełnieniem? Może dlatego w niej szukam swej antytezy płciowej, której znaleźć u Halszki nie mam odwagi?...

Kama jest ciągle inną; niby ta sama, a jednak inna. Stąd rozkoszne złudzenie nowości, iluzja czegoś jeszcze nie doznanego. Co za mistrzowska taktyka! Jest wyuzdana do ostatecznych granic; jej wyrafinowanie erotyczne przechodzi moją najśmielszą fantazję. A przecież jest jeszcze tak młodą! Tego się widocznie nie można nauczyć — z tym się przychodzi na świat. Idę za nią bez oporu, bo mnie pociąga jej demonizm. Życie jest tak ubożuchne w zdarzenia niezwykle, w tak skąpych dawkach rozdziela wyjątkowe wzruszenia...

Z niecierpliwością oczekuję przyszłego poniedziałku. Przygotowuje mi na ten dzień jakąś nową niespodziankę. Mam czekać na nią rano na rogu ul. Świętojańskiej, tam, gdzie się kończy pierzeja ostatnich już domów.

O dziewiątej byłem już na miejscu. Szary chłodny poranek otulał jeszcze ziemię zwojami mgieł; czołgały się leniwo po ugorach, rozdzierając się na mlecze strzępy po krzakach przydrożnej tarniny. Tu i tam wsiąkała od czasu do czasu z chaosu oparów sylweta starej gruszy lub wyciągał nieruchome skrzydła wiatrak. Gdzieś, daleko, na moczarach klekotał bocian...

Ktoś dotknął lekko mego ramienia.

— No, cóż, idziemy?

Spod bobrowego kołpaczka patrzyła na mnie para szatańsko pięknych oczu.

— Prowadź, Kamo!

I poszliśmy w mgłę polną ścieżyną. Przepojony wilgocią grunt oślizgiwał się pod nogami i przywierał do trzewików. Co krok chlupotały przedwiosenne bajury,

powleczone delikatnym jak przędza pajęcza skrzepem. Po miedzach dumały szkielety zeszłorocznych ostów – żebracze resztki jesieni. Raz, na jakimś wydmuchu, przesunął się wyolbrzymiony mgłą kontur konia orzącego przy pługu i rozwiął się w mrące...

Po lewej, nad brzegiem urwiska, zamajaczył dom — chata.

— Jesteśmy na miejscu.

Podeszliśmy gliniastym wydrożem pod próg. Było cicho i samotnie. Ze zbutwiałego okapu sączyły się łzy szronu, uderzały w szyby okienek nagie pręty leszczyny.

Kama pchnęła przed siebie drzwi. Weszliśmy przez sień do izby na prawo. Była nieduża, kwadratowa, czysto wybielona. Jakiś stół, ława, dwa zydle i łóżko. We wnętrzu przy drzwiach, między ścianami, mały, zgrabny Athanor — przedziwna miniatura tego, który ma Wierusz.

W porozstawianych na płycie tyglach i retortach gotowało się; bulgotał war, pieniły się zielonym szumem dekolty, wybiegał przez brzegi naczyń kipiątek; w środku na kracie paleniska dymił parami brzuchaty sagan.

Kama, zrzuciwszy futrzaną świtkę, ubrała się w szeroki, biały fartuch.

— Musisz mi pomagać, Jur — obiecałeś.

— Tak ci w tym do twarzy — odpowiedziałem, wodząc za nią zachwyconymi oczyma. — Wyglądasz na tle tego alchemicznego pieca jak nowożytna Canidia.

— Nie traćmy czasu na porównania. Lepiej przeczytaj mi receptę na maść Baptysty Porty.

I wskazała mi grubą, w skórę marrochino oprawną księgę na stole.

— Co za biały kruk! — zauważyłem biorąc dzieło z zainteresowaniem do ręki. — Obiecujący tytuł! *Magiae naturalis libri XX*. Autor: Jan Baptysta Porta. Znany, stary demonolog!

— Szukaj przepisu na maść czarownic! Przeszedłem uważnie okiem parę kartek.

— Mam! Są dwa.

— Przeczytaj pierwszy!

— Weź: tłuszcz, tojad (*aconitum*), młode gałązki topoli, korzenie pokrzyku — mandragory, liście lułka czarnego i szaloną jagodę (*solanum furiosum seu maniacum*) — zmieszaj to wszystko razem z sadzami i zagotuj!

— Dobrze. A drugi?

— Recepta druga. — Weź: tłuszcz, pięciopalczatkę (*pentaphyllum*), szalej, czyli cień nocy, i korzeń dziędzierzawy — bielunia, znanego też pod nazwą *datura stramonium*, dodaj odwaru z pestek brzoskwini i parą kropel treści laurowej, tej dzielnej trucizny, której odrobina wpuszczona do ucha lub na język zabija jak piorun, i zagotuj to wszystko z jadem żmii, sokiem krzewu maniokowego i spermą rozgrzanych w okresie rui klaczy — potem odedź i zanim ostygnie, dolej oliwy i

trochę krwi nietoperza.

— Wybieramy drugą. Jest dokładniejsza i budzi więcej zaufania.

— Najzjadliwsze substancje, jakie wydała ziemia — odpowiedziałem przeglądając poźółkłe karty satanicznego grimoire'u — same trucizny i narkotyki. Diabelska książka!

— Są na świecie jeszcze ciekawsze, ukrywane starannie po rodzinnych bibliotekach, przekazywane w sekrecie z ojca na syna — istne klucze do bram piekła.

— Czy wiesz, Kamo, że za to, co teraz zamierzamy, parę wieków temu palono bez litości na stosie? Nawet u nas, w znanej ze swej tolerancji Polsce, zginęła żywcem w płomieniach pod szubienicą w Poznaniu r. 1645 niejaka Regina Boroszka, rodem ze Stęszewa, która przed sądem zeznała, że była kochanką czterech szatanów: Turzego, Rokity, Trzcinki i Rogala; niewiasta owa „Boga Prawdziwego się zaprzawszy, zażywała co pewien czas z onymi czterema wszeteczeństwa brzydkiego”, na co się zresztą chwalebnie oburza nieznany autor *Postępuku prawa czartowskiego* z wieku XVI.

— Miałam w Polsce więcej poprzedniczek, niż przypuszczasz — odparła rozcierając szklanym tłuczkiem zioła w moździerz. — Poddawano „próbie wody i igły” też Annę Jedynaczkę, oskarżoną o czary i „szatańskie z diabłami na Łysej Górze konwentykle”, pławiono w stawie Annę Bogdajkę za zbrodnię czarnoksięstwa i Magdę Strzeżyduszyne, którą wzięto z tej przyczyny na męki, że wrzucona do rzeki „pływała, głowę z wody jako kaczka wyścibiając”... Szatan jest piękny i nigdy nie zabraknie takich, którzy pójdą za jego rydwanem... Wrzucić to do tygla!

I podała mi skórzaną torebkę napełnioną czerwonym proszkiem. Wsypałem go do naczynia i zamieszałem kopystką. Zaskwłerczało coś na dnie, zapieniło się rdzawym szumem i ucichło.

Kama wydobyla ze skrytki pod okapem piecowym małą prostokątną szkatułkę z drzewa orzechowego.

— Przypatrz się temu korzonkowi! — zwróciła się do mnie, wyjmując z wnętrza kasety dziwacznie powykręcane kłacze jakiejś rośliny. — Ciekawy, co?

— Co to jest?

— To właśnie mandragora-android.

— Android?

— No, tak — korzeń — homunculus. Mówią, że gdy go się wrywa z ziemi, słyhać głos podobny do ludzkiego krzyku.

— Dziwna roślina! Zupełnie przypomina kształtem kłacza małego człowieczka.

— Nazywają go też dlatego u nas pokrzykiem lub gniewoszem, bo zdaje się dąsać na tych, którzy ośmielają się go dotykać.

— Czyżby przyroda utrwaliła tu jedno ze stadiów ewolucyjnego pochodzenia? Byłżeby ten korzeń-karzełek przecuciem człowieka w roślinie?

— Może. W każdym razie wygląda jak jego zapowiedź.

— Podeszła do tygli i przecedziła ich zawartość do wspólnej, jednoczącej ingrediencji retorty; gęsty ciemnozielony płyn zaczął w oczach naszych ostygąć i krzepnąć w gruzły. Kama niecierpliwie śledziła przebieg chemicznego procesu.

— Gotowa! — zawołała w pewnej chwili, wybierając z naczynia na łyżkę ciemną, lepłą jak smoła maść.

— Czy zastosowałeś się do moich wskazówek? — zapytała rozścielając z kolei na podłodze duże, puszyste, mlecznobiałe skóry niedźwiedzie. — Nic nie jadłeś od wczoraj wieczór?

— Jestem na czczo.

— W takim razie możemy zaczynać.

Ruchem szybkim, sobie właściwym, zrzuciła suknie i stanęła na runie niedźwiedzim w swej olśniewającej nagości. Poszedłem za jej przykładem. Staliśmy chwilę naprzeciw siebie, związawszy się oczyma.

— Cudna czarownico moja! — zawołałem biorąc ją w drżące ramiona.

Wywinęła mi się z uścisku:

— Dzisiaj nie.

— Dlaczego?

— Dzisiaj mamy być tam.

I nabrawszy w palce ciepłej jeszcze maści, zaczęła ją wcierać sobie mocno pod pachy.

— Jeśli chcesz być ze mną tam, musisz robić to samo.

I kusząco patrząc mi w oczy, podała mi retortę z szatańską miksturą. Po chwili wahania zgodziłem się. Wkrótce uczuliśmy oboje zawrót głowy i senność. Kama znużona wyciągnęła się na futrze.

— Jeżeli wrócisz tu przede mną, wyjdź natychmiast z tego domu — mówiła sennie, już na pół przytomna.

— Dobrze. Lecz gdybyś ty mnie uprzedziła?

Nie odpowiedziała już. Ciałem jej wstrząsały dreszcze, na policzki wystąpił hektyczny rumieniec, spieczone gorączką usta mamrotały coś niewyraźnie. Nachyliłem się nad nią i zdołałem jeszcze uchwycić ostatnie, szeptem wymówione słowa:

Płot — nie płot, Wieś — nie wieś, A ty, biesie, nieś!... Głowa jej opadła wstecz, bujne, rude włosy zmieszały się z białymi kędziorami runa i rozrzuciwszy się bezładnie w poprzek futra, zasnęła.

Równocześnie niemal i ja straciłem resztki świadomości. Świat mi zawirował przed oczyma w zawrotnej sarabandzie i z rozkrzyżowanymi rękoma obsunąłem się jak martwy obok Kamy. Przyszła noc czarna, bezwzględna i zarzuciła płachtę

cieni nie do przebicia...

Z martwoty snu obudził mię jęk wichru. Leciałem gdzieś w przestworzach mroku, popychany nieznaną mocą w nieznaną stronę. Pode mną gięły się w poświstach orkanu jakieś drzewa, obok mnie prześmigały z chichotem jakieś kształty. Po pewnym czasie lot mój zniżył się i wszedł między ściany parowu. Czyjeś skrzydło szerokie, puszyste musnęło mię w przegonie i poszybowało dalej. Nad uchem zabrzmiały mi głosy śmieszne, na pół zwierzęce, i odbite od stoczni wąwozu zgłuchły gdzieś po manowcach...

Nagle chmury na niebie rozsunały się i przez szczelinę bluznęło światło księżycy, obrzucając ziemię upiornie zieloną powodzią. W powietrzu obok mnie w szalonym wyścigu pędził tabun nagich, ludzkich postaci: młode, długowłose kobiety przytulone gronami piersi do grzbietów koźlich, dorodne, latem życia dyszące niewiasty okrakiem na olbrzymich odyńcach, gibcy, smagli młodzieńcy, mężczyźni w sile wieku i lubieżni starcy z iskrą żądz w dogasających oczach unoszeni w opętańczym wirze przez zjuszone, ciekające się kłacze, ohydne, siwowłose megiiery na ożogach, łopatach, kijach — rozszalały wyraj bezwstydných ciał, powykrzywianych maszkar, zbieszonych pałub — koczokodanów...

Wtem gardziel jaru rozwarła się w kotlinę okoloną łańcuchem wzgórz; w środku podobny do ściętej głowy cukru strzelał w niebo granitowy stożek. Tutaj opuściła się szarańcza ludzka na ziemię, napełniając śródgórskie zagłębienie zgiełkiem i rechotem. Skądś spod ziemi buchnął płomień i oświetlił krwawym blaskiem piekielną widownię. Oczy zgrai podniosły się wzwyż, na płaski szczyt stożka, oblany teraz purpurowym światłem. Tam na wykutym w skale tronie siedział, podkuliwszy pod siebie kosmate racice, gigantyczny androgyn z głową brodatego kozła, z wymionami samicy i ze sromem mężczyzny — pół człowiek, pół zwierzę, okropny, posepny, skrzydlaty...

Po tłumie w dole poszedł szmer:

— Patrzcie! To On! Nasz pan! Tc On, Baphomet braci mistycznego Templu, Tyfon egipskich magów, Aryman-Python przedwieczny!...

— Chwała Ci, Panie ognistych czeluści, cześć Ci, Władco grzechu i spraw cielesnych, Orędowniku odrzuconych od oblicza Boga! W pokorze Ci się ścielem do stóp, Tobie jeno służyć chcemy, Dawco rozkoszy i szałów krwi! Otośmy przyszli do podnóża Twego tronu, by hołd Ci złożyć od wieków należny i adorację dzieci tej ziemi... Hosanna, Nadolny Panie! Hosanna, Hosanna!...

I zakołysała się rzesza morzem głów pochylonych w znak hołdu i falą grzbietów nagich, zgiętych w znak poddaństwa.

— Na obliczu Szatana zagrał uśmiech — dziwny uśmiech nasyconej dumy i grymas złowieszczej radości. Powstał z Siedliszcza olbrzymi, nieprzenikniony i skinął węzowym posochem. Wtedy dwu braci przybranych w koźle skóry i diabelskie poroża zaczęło prowadzić ku tronowi skalistym wydrożem jakąś kobietę.

Szła szybko, śnieżnobiała w swej nagości, w płaszczu złotolitym włosów, spadającym do stóp małych, niemal dziecięcych. A gdy już po raz trzeci okrążyła stożek, wstępując ku górze, poznałem Kamę. Wlepiła zachwycone oczy w Bafometa i szła zapatrzona weń jak lunaticzka. Dotarłszy do podnóża tronu, zatrzymała się pokorna i drżąca... Wtedy z paszczy potwora wyszedł dźwięk podobny do chichotu i zabrzmiał rozkaz:

— Oddaj należny pocałunek Panu twemu!

I z obrzydzeniem spostrzegłem, jak dotknęła ustami jego lewej nogi i ręki.

— Hi, hi, hi! Hi, hi, hi! — rechotała ludzka czereda z dołu. — Czyń swą powinność, młoda czarownico! Pozdrów Pana swego, jak na cię przystało!

Kozioł obrócił się do niej tyłem i podniósł kitę ogona.

— Całuj! — ryknął dominując nad rechotem wyznawców. — Całuj!

A gdy spełniła ohydny rozkaz, potwór-obojniak położył jej prawą dłoń na piersi i rzekł głosem huczącym jak grom:

— Oto pieczęć — dar mojego ducha. Przyjmij go i noś na sobie w imię moje!

I gdy odjął rękę, pojawiło się na piersi Kamy haniebne piętno diabelskiego stygmatu.

— Przyjętaś w poczet sióstr i braci mojego zakonu. Ceremoniał był skończony. Wśród piekielnej wrzawy

i śmiechów zesza ze skalnego stogu i wmieszała się w zgraję sabatników...

Rozległy się tony niewidzialnej muzyki. Zrazu senna, drzemiąca, powoli przerodziła się w orgię dźwięków chrapliwych, dyszących skwarem krwi, rują pożądaniami. Kilkaset nagich postaci, ująwszy się za ręce, otoczyło olbrzymim kołem tron kozła. Rozpoczął się taneczny korowód. Wśród jurnych okrzyków rozgrzanych samców i samek rozkołysały się w takt szatańskiego bolera obnażone torsy, wygięły w pałąk połyskujące oliwą i potem grzbiety. Powstał wielki tupot bosych nóg na murawie, a odbity od wieńca wzgórz wrócił wzmocniony echem...

W świetle pochodni zatkniętych za żelazne kuny prześmigało w coraz szybszym tempie kotłowisko kosmatych łydek, napęczniałych lubieżą piersi, podanych ku sobie w bezwstydnym pragnieniu podbrzuszy.

— Huś, hejja! Huś! Hejja!

Wtem pękł taneczny pierścień i rozpadł się na tysiące ogniw, które znów jak planetarne mgławice jęły się owijać dookoła własnych rdzeni-ośrodków. Lecz i te wkrótce uległy odśrodkowej tendencji, rozdrabniając się na coraz to węższe kółka i wirówki. W końcu rozhukane stado ludzkie rozsypało się po kotlinie w dzikim wyścigu szukających się wzajemnie płci...

Tu jakiś muskularny samiec przygniatał ciężarem włochatych bioder śnieżnobiałe, delikatne jak atlas łono oszalałej z chuci dziewicy, tam podstarzała, z obwisłymi workami wymion czarownica tuliła w objęciach rozkwitłego w młodzieńczej krasie efeba, ówdzie brzemienna od miesiący już matka kaziła się

wszeteczną miłością z diabłem, skazując na zagładę poczęty płód.

W pieczarach góry, tam gdzie już nie docierał blask czerwony ognia, skryła się najohydniejsza sromota. Tam to, zaszywszy się w najciemniejsze zakątki, jakby w obawie, by sam szatan nie spłonął za nich rumieńcem sromu, zaspakajali swe nieludzkie żądze sodomici. Pod skalnym wiszarem, co jak baldachim rozpiął się nad mensą upłazu, odprawiał świętokradczy kapłan parodię mszy; za ołtarz służyło mu nagie ciało rozciągniętej bezwstydnie kobiety, zamiast wina miał w czarze krew...

Obok z „kazalnicy” przemawiał do gawiedzi pękaty, w półwieczny kontusz przystrojony Kostruban, dalej na stołach z tarcic, rzuconych w poprzek na kadzie i beczuły z wódką, odprawiano sabatowy bankiet.

Ponad głowami biesiadujących przeciągały z łopotem błoniastych skrzydeł strzygi, które biorą z kołysek niemowlęta piękne, tłuste i nieplączliwe, a podkładają w ich miejsce chude i blade — jędze-jeżybaby łase na krew dzieci, straszliwe empuzy i lamie-upiorzyce. Z daleka od zgiełku uczujących snuło się jak cień z załamanymi rękoma, z prętem czarnym w dłoni widmo kraśnego moru, zwane Cichą Dziewczyną...

Mnóstwo gacków, kruków, ogoniastych, z wyżartymi pośladkami pawianów, kotów, świń, szczurów, myszy i wszelakiego robactwa uwijało się wkoło po murawie, wnęcało natrętnie do naczyń, przypijało się zuchwale do ust, do oczu, do twarzy... Jakieś dziwaczne stwory, niepodobne ni do ludzi, ni do zwierząt — złośliwe boby-babuki, złowieszcze mochy-matochy i okrutne mamuny podkradały się chyłkiem do stołów i czyhały na resztki...

A ponad tym wszystkim tam, na platformie stożka, rozparty niedbale w kamiennym swym Siedliszczu górował Pan Zła i Nocy. W oczach jego zimnych i rozumnych krzyżowały się błyski bezgranicznej pogardy i dumy — wyprężone w górę ramię prawe jakby na ironię wskazywało wybladły księżyc, który krył się właśnie za chmurą, by ustąpić miejsca swemu cieniowi tam, w dole, pod lewą ręką potwora, czarnemu Geburah.

— Huś, hejja! Huś, hejja! — zawyło ponownie z głębi kotliny. Zgasło upiorne, purpurowe światło, skonały pochodnie i wśród absolutnego mroku rozpoczął się ostatni akt sabatu, zakryty już przed oczyma gwiazd. Tylko od czasu do czasu z węzowiska skleszczonych ciał, tarzających się w miłosnej duśbie grzbietów, tyłków, ud, splątanych konwulsyjnie ramion, lędźwi, nóg, szedł charkot gżących się klaczy-samic, jurny ryk rozbestwionych rują ludzkich ogierów i rżące pohutnywanie szaleńców. Raz na tle momentalnej ciszy odezwał się śmieszny odgłos czkawki:

— Czha-hyk... czha-hyk...

Nagle ze szczytu stogu zabrzmiał przeciągły, przygłuszający wszystko jęk. Bolesna, tragiczna w swej bezdennej głębi skarga rozorała kiry sabatowej nocy i

odbita od milczących turni skonała gdzieś w nizinach...

Dreszcz grozy przejął ludzką trzodę.

— Co to było? Skąd ten głos?

I oto po raz drugi rozdarł powietrze ten sam straszliwy krzyk, tylko tym razem mocniejszy jeszcze, rozpaczliwszy, beznadziejny...

Zadrżała w posadach góra, struchleli ludzie i zwierzęta. Potężną musiała być pierś, co wydała ten ton...

Wtem wieniec ognistych języków otoczył purpurową koroną obrzeża szatańskiego stożka i oświetlił posępną zorzą postać Bafometa.

Stał ogromny, ponury, głową przenoszący szczyty. W twarzy koźlej, brodatej przebijała bezgraniczna męka — w oczach ogromnych, przepaścistych jak otchłań czaiło się wielkie, bezdenne cierpienie, bezkresna rozpacz odrzuconego od oblicza Pana. Jak przed wiekami przesłonił dłonią olbrzymie, w głębokie bruzdy poradłone czoło i jęczał. Potworną, włochatą piersią największego z buntowników wstrząsało łkanie dziecka...

— Panie! Przeczżeś mnie odrzącił?...

Wtem blask przedziwny rozświetlił skamieniałe w męce rysy, pęk jasnych promieni strzelił pomiędzy koźlich rosochów i stanął cały w strugach świetlanej łaski. I wtedy za sprawą jednej z najcudniejszych przemian zniknął ohydny kozioł i z kręgu lśnień i ogni, jak odrodzony Feniks z popiołów, dźwignął się ku niebu gigantyczny Adam-Lucifer...

Olśniony tęczą światła i blasków upadłem twarzą na ziemię i po raz wtóry straciłem przytomność..

Było już koło piątej po południu, gdy otworzyłem ociężałe powieki. W okna chaty zaglądał smutny zachód lutowego odwieczera i kładł długie, czerwone smugi na podłodze...

Dźwignąłem się leniwo z niedźwiedziego futra, usiłując powstać na nogi. Lecz mi odmówiły posłuszeństwa; jak pijany zatoczyłem się i oparłem rękoma o stół. W głowie miałem huk i szum, na ustach posmak gorączki. Zwilżyłem językiem spękane wargi, przyciskając dłonie do pulsujących wściekle skroni: tęniło mi w arteriach uderzeniami młotów potężnej kuźnicy...

Nabiegłe krwią oczy ześliznęły się z męczącej białą wapna ściany naprzeciw i padły na śnieżną plamę runa z nagą kobietą w pośrodku. Kama leżała wciąż w głębokim uśpieniu. Rozchylone jej usta drgały lekko jak para wiśnych jagód trącanych skrzydłem wiatru, rozrzucone swobodnie nogi wykonywały jakieś ruchy bezwstydnie lubieżne... Po raz pierwszy uczułem wtedy ku niej jakby wstręt. Odwróciłem się z niesmakiem i spostrzegłszy, że sam jestem nagi, szybko ubrałem się. Szum w głowie powoli przycichał, ustępując miejsca nieznośnemu bólowi. W uszach dzwoniła wciąż na alarm krew. Rzuciłem raz jeszcze okiem na śpiącą i przykrywszy ją szalem, wypadłem z izby na pole. Świeże, ścięte przymrozkiem

powietrze orzeźwiło mię. Z odkrytą głową zacząłem zmierzać ku miastu. Chłodny powiew wieczora uderzył mię w piersi i nagle zrobiło mi się zimno. Zapinając palto pod szyję, zauważyłem brak medalionu z puklem włosów Halszki.

— Czyżbym zostawił tam, w tej diabelskiej lepiance?

Zawróciłem w stronę chaty. Musiałem odnaleźć ten przedmiot za wszelką cenę. Lecz ku memu zdumieniu, stanąwszy nad brzegiem polnego urwiska, nie ujrzałem już chaty. W miejscu, gdzie stała jeszcze przed chwilą, rozciągała się pusta, jałowa równia pola; tylko samotny, odarty z liści chochoł leszczyny potrząsał, smutno kikutami prętów...

Pod poziomem Druczy

Wspólne przeżycie nocy sabatowej wpłynęło na stosunek mój do Kamy oziębiająco. Zamiast, jak zapewne przypuszczała, zbliżyć mnie, raczej oddaliło mnie od niej; zacząłem odwiedzać ją rzadziej. Za to częściej i dłużej przesiadywałem teraz u Grodzieńskich. Wrażliwa jak kwiat dusza Halszki wyczuła zaraz zaszłą we mnie zmianę; zniknął odcień melancholii w jej błękitnych oczach, powróciło dawne ożywienie i humor w rozmowach. Widziałem, że znów jest szczęśliwą.

Stosunki moje w tym czasie zaczęły układać się pomyślnie i pozwalały już myśleć w najbliższej przyszłości o poślubieniu ukochanej dziewczyny. Toteż całymi popołudniami snuliśmy daleko sięgające plany przyszłych podróży, dając się unosić swobodnie nurtom młodej wyobraźni. Czasami Halszka siadała do pianina i ukołysana czarem fantazji wygrywała kompozycje natchnione morzem i jego potęgą. Wgłębniony w kącie salonu w jakimś fotelu, wsłuchiwałem się godzinami w huk fal, w szum piany lub cichą melancholię wieczornych przypływów. Czasem przerwał melodię krzyk mewy morskiej, czasem śpiew stęsknionego majtka lub dźwięk syreny odbijającego statku. I znów wracał szeroki, rozlewny rytm żywiołu...

Lecz niedługo trwały chwile ukojenia. Pewnego dnia Halszka zaczęła uskarżać się na ból powyżej łokcia. Z niewiadomej przyczyny ręka nabrzmiała niemal aż po pachę i w środku spuchlizny zaczęło formować się coś w rodzaju wrzodu. Zawezwany lekarz oświadczył się za natychmiastową operacją. Halszka wzbraniała się, prosząc o zwłokę. Wieczorem wrzód pękł sam bez przecinania. Wraz z ropą wyszło parę igieł, jakieś obłe drewnenko i zwitek czarnych nici. Stara niania Halszki, Kasia, spostrzegłszy wybroczyzny, pociągnęła mię za rękę do drugiego pokoju.

— Proszę pana — tłumaczyła mi tajemniczo — panience ktoś to paskudztwo „wrzuci ł”.

— Nie rozumiem.

— To czary, proszę pana. Niech się pan nie śmieje ze starej baby, ale to są istne czary. Ktoś ma złość do naszej panienki i rzucił uroki.

— Et, plecie Kasia androny!

Lecz sługa nie dała zbić się z tropu.

— Kiedy mówię, że czary, to czary. Kto by kiedy słyszał, by takie rzeczy same się dostawały do ciała? Pewnie panience pozazdrościła szczęścia jakaś zła kobieta i dlatego „wrzuca”...

Po paru dniach rana zagoiła się, nie pozostawiając śladu blizny. Lecz wkrótce potem ukształtował się podobny guz na łopatce. Wrzód jątrzył się przez cały tydzień, a gdy nareszcie ropa przebiła skórę, wypłynęły wraz z gruzłami zbitej

materii okruchy węgla, jakieś stare zardzewiałe szpilki i kawałek ciemnozielonego sukna.

Widząc bezradność lekarzy, którzy nie umieli zapobiec dalszemu rozwojowi dziwnej choroby, zwróciłem się o pomoc do Wierusza. Przyszedł, jak zwykle skupiony w sobie, wysłuchał w milczeniu relacji Halszki o przebiegu cierpienia i obejrzał miejsca zaatakowane.

— Uprzedzam panią z góry — odezwał się na koniec, robiąc magnetyczne pociągnięcia w kierunku od ognisk owrzodzenia ku kończyńom ciała — że mogę ją wyleczyć na razie tylko przemijająco; dziś jeszcze nie rozporządzam takimi środkami, by kuracja, którą pani zalecę, dała wyniki bezwzględnie zadawalające i trwałe. Mam jednak nadzieję — dodał z łagodnym uśmiechem, gładząc po ojcowsku jej jasne warkocze — nawet pewność, że po pewnym czasie, może wkrótce, uda mi się uzdrowić panią definitywnie.

— Wierzę, że tak się stanie — odpowiedziała patrząc z ufnością w jego dobre, mądre oczy.

— Wiara pani ułatwi mi zadanie i wzmocni mnie na siłach. — Jerzy, przytrzymaj chwilę prawe ramię!

Wykonałem polecenie, ujmując lekko w palce przegub jej ręki. Wtedy pod wpływem passów Wierusza chorobotwórcza materia nabrzmiała w duży, siny guz na obojczyku i zdawała się posuwać od centrum zaognienia wzdłuż ramienia ku dłoni...

Popatrzyłem na Andrzeja. — Stał milczący, z oczyma skupionymi na chorej, z głęboką bruzdą na czole, trzymając rękę w odległości kilku centymetrów od ramienia Halszki.

— *Progrediaris!* — wyszedł nagle z zaciśniętych ust jego cichy, lecz mocny rozkaz.

I podsunął dłoń o parę cali niżej ku przedramieniu. Obrzęklina, jakby posłuszna woli lekarza, skłęsała u źródła, wydłużając się wąską, czerwonosiną wstęgą ku łokciowi.

— *Porro!* — rozkazał powtórnie.

Chora wydała cichy jęk:

— Boli...

— Zaraz uczujemy ulgę — uspokajał trzymając rękę nad przegubem. — Zwykle na zgięciach stawów wrażliwość jest większa... Porro!

Pręga ropy zesunęła się przedramieniem ku dłoni.

— Teraz musisz podtrzymać rękę tam w górze.

— Nie boli? — zapytałem, ujmując ostrożnie w palce jej ramię w miejscu, gdzie jeszcze przed kilku minutami siniał napęczniały ropą wrzód.

— Ani trochę — odpowiedziała cudownie zapłoniona. Tymczasem Wierusz odprowadzał chorą materię już ku palcom. Po kwadransie pękł naprężony naskórek

wskazującego i średniego, wydzielając z wybroczynami odłamki szkła. Wierusz wymył rany sublimatem i wysmarował dłoń chorej jakąś maścią, założył bandaż.

— Jak się pani czuje? — zapytał po ukończeniu operacji.

— Doskonale. Ani śladu bólu. Dziękuję panu, cudowny lekarzu! I ze łzami w oczach uściśnęła mu dłoń.

— Niestety — westchnął, zakłopotany widocznie zachowaniem się starego Grodzieńskiego, który usiłował zmusić go do przyjęcia honorarium — wszystko to, na razie przynajmniej, jest prowizoryczne... Nie, dziękuję panu — stanowczo odmawiam — rzekł zabierając się do wyjścia. — Z zasady w ogóle nie zajmuję się leczeniem; zrobiłem tylko wyjątek dla narzeczonej przyjaciela.

— W takim razie doprawdy nie wiem, jak się mam panu odwdziaczyć — mówił zażenowany z kolei ojciec Halszki.

— Drobnostka, kochany panie. Proszę tylko teraz koniecznie wywieźć córkę na parę tygodni stąd na wieś, i to możliwie daleko — może gdzieś w nasze góry. Chodzi o to, by na razie przedzielić ją jak największą przestrzenią od tego miasta.

— Jutro wyjeżdżamy.

— Ali right! Tak będzie najlepiej. A ty, mój kochany Jerzyku, zostaniesz przez cały ten czas tutaj ze mną.

Nie pomogły protesty Halszki i biorącej zawsze jej stronę matki. Jeszcze tegoż wieczora, ulegając woli Andrzeja, pożegnałem się z nią na czas dłuższy.

— Musisz zaraz iść ze mną — zaopiniował stanowczo, wyciągając mnie za sobą niemal gwałtem z domu Grodzieńskich. — Mam z tobą do omówienia wiele spraw pierwszorzędnej wagi.

Wkrótce potem siedzieliśmy już obaj w jego zacisznej pracowni, wpatrując się zamyśleni w żar płonącego kominka. W pewnej chwili Andrzej oderwał oczy od ognia i skierował je na mnie.

— Sądzę — rzekł — że nie ma żadnych wątpliwości co do tego, kto jest sprawcą „wrzutów” u Halszki.

— Tak. Wszystkie poszlaki prowadzą w jedną stronę.

— Musimy zatem działać, i to natychmiast, dopóki trujący wichur, który płynie stamtąd, nie rozpęta się w orkan nie do opanowania.

— Jestem na twoje rozkazy.

— Czy pamiętasz resztki wody rozlanej przez Kamę z owej czary?

— Naturalnie; zebrałeś ją wtedy do retorty i schowałeś w niszy Athanora.

— Udało mi się nareszcie zbadać widmo astralne tej wody.

— Więc woda ma też swoje widmo astralne?

— Jak każdy żywioł i każdy pierwiastek. Czy czytałeś Teofrasta Paracelsusa? *De ente astrorum* i *Archidoxis magica*?

— Nie. Słyszałem tylko o tym dziwnym człowieku. Uchodzi podobno wśród

okultystów za powagę.

— Jeden z najgłębszych magów w Europie, niesłusznie ośmieszany przez wiedzę oficjalną. Otóż wspomniane przeze mnie dzieła tego filozofa rozróżniają cztery rodzaje widm astralnych: Stannar lub Truphat, czyli widmo minerałów, które będąc łącznikiem między ich częścią materialną a duszą, wywołuje krystalizację — widmo astralne kwiatów, czyli Leffas, tj. siłę życiową rośliny, którą można drogą alchemiczną uwidocznic w rurce szklanej, w końcu widmo zwierząt, zwane Evestrum, i dwojnika, czyli sobowtóra ludzkiego.

— Nas zatem obchodzi primum ens wody, czyli jej Stannar?

— Oczywiście. Zanalizowałem drogą alchemiczną wodę przepojoną fluidami tej kobiety. Zadanie było niełatwe ze względu na drobną ilość płynu; musiałem przeprowadzić analizę parę razy. Lecz nie żałuję trudu; wyniki przeszły moje oczekiwania.

— Czy udało ci się zdobyć jakiś wpływ na nią?

— Na razie nie, lecz otrzymałem nader ciekawe wskazówki.

— W jakim kierunku?

— Truphat wody namagnetyzowanej przez Kamę zdradza rozgałęzienia.

— Nic nie rozumiem.

Wierusz, zanurzwszy się w czeluść Athanora, wydobył ze skrytki cynowe naczynie podobne do ukariny, zamknięte wieczkiem, z dwoma wystającymi z boku różkami.

— Przypatrz się tym dwom wyskakującym palcom — rzekł wskazując na cynowe sutki.

— Jedna z nich jest znacznie krótsza od drugiej.

— I ona właśnie posłuży nam za drogowskaz.

— Chyba nie zechcesz we mnie wmówić, że to naczynie zawiera astral wody?

— Bynajmniej. Ten można obserwować tylko w rurce, i to przez nader krótką chwilę, wywołaną sposobem alchemicznym.

— Więc co jest w naczyniu?

— Resztki wody namagnetyzowanej przez Kamę zmieszane ze specjalnym preparatem, sporządzonym przeze mnie dla wzmocnienia fluidycznych jej własności. Owe sutki wystające z tej alchemicznej ukariny — to kierunki, w których wydłużyło się widmo astralne wody podczas analizy. Kierunki, w których obecnie wydłuża się płyn w naczyniu, są wiernym odbiciem kierunków rozwidleń jego widma.

— To wszystko nie wyjaśnia jeszcze znaczenia wywołanego przez ciebie zjawiska.

— Rozumie się. Zaraz ci wyjaśnię resztę. Przede wszystkim należy pamiętać o tym, że między Kamą a szczątkami namagnetyzowanej przez nią wody istnieje do dziś dnia ciągły związek, tzw. rapport magnetyczny.

— Zaczynam domyślać się.

— Owe sutki, wystające z astralu wody niby macki protoplazmy zanurzonej w rozcynie, wskazują kierunki, w których należy szukać Kamy względnie tego, co z nią pozostaje w ostrej styczności.

— Szukać Kamy nie potrzebujemy; o ile chcesz się z nią rozmówić, mogę w każdej chwili...

— Cha, cha, cha! — roześmiał się Wierusz, przerywając mi. — Naturalnie, że jej nie potrzebujemy szukać — przynajmniej na razie. Lecz uważasz, Jerzy, zastanowiło mnie, że w ogóle ten astral się rozgałęzia. Gdyby pozostawał w związku tylko z nią, wydłużałby się tylko w jednym kierunku. Tymczasem rozwidla się. Tu cała tajemnica! Rozumiesz?

— Tak. Widocznie istnieje tu podwójny rapport magnetyczny.

— Świetnie, mój kochany! Świetnie! Zaczynasz się wyrabiać. Właśnie o to chodzi. Mamy tedy dwie drogi, na których być może uda mi się wtargnąć w orbitę jej jaźni.

— Którą wybrałeś?

— Pójdziemy w kierunku słabszego wychylenia astralu.

— To znaczy w kierunku wskazywanym przez krótszy smoczek ukariny?

— Tak. A wiesz, dlaczego?

— Nie domyślałam się.

— Bo przypuszczam, że odgałęzienie dłuższe jako symbol silniejszej atrakcji w tym kierunku zaprowadziłoby nas wprost do Kamy. Nas obchodzi natomiast owo dyskretne, ledwo widoczne wychylenie, którego obrazem sutka krótsza.

— Spodziewasz się zatem przy pomocy tego drogowskazu dotrzeć do czegoś innego.

— Tak. Będzie to właśnie owo *tertium associationis magneticae*, którego szukam.

— Oryginalny pomysł!

— Tłumacząc tę operację na język geometrii, można by powiedzieć, że stosunek magnetyczny przedstawia się w postaci trójkąta. Będzie to *triangulus magneticus*, którego szczytem jest Kama, zaś wierzchołkami przypodstawowymi: woda w tym naczyniu i owo nieznane X, na które wskazuje krótszy palec przyrządu.

— Lecz w jaki sposób skorzystasz ze wskazówki? Naczynie cię chyba samo nie weźmie za rękę i nie zaprowadzi?

— Coś w tym rodzaju. Odegra ono rolę astralnego kompasu, który odpowiednio ustawiony zawiedzie aż na miejsce.

— Właśnie chodzi o to ustawienie. Przy kompasie zwyczajnym wystarczy obrócić o pewien kąt tarczę ze stronami świata umieszczoną pod igłą, aby jej kierunek uzgodnić ze strzałką wskazującą Północ. Ale tu?... Kama jest przecież biegunem ruchomym, zmieniającym wciąż swe położenie.

— Za to owo nieznanne X zdaje się być punktem stałym.

— Rzeczywiście?

— Od dnia, w którym rozpocząłem analizę, tj. temu już parę miesięcy, aż do dziś rana krótsze ramię odgałęzienia ciągle odchyła się o ten sam kąt od pionu, podczas gdy przeciwnie ramię dłuższe ustawicznie zmienia kierunek.

— I to właśnie naprowadziło cię zapewne na domysł, że ono wskazuje na Kameę, co?

— Po części to, po części intensywność jego zasięgu.

— Mimo wszystko jednak to jeszcze nie wystarcza, by zaprowadzić nas do owego X.

— Niewątpliwie. By rozciąć te wątpliwości, powiem ci wprost, że z tego kompasu może korzystać tylko człowiek w stanie somnambulicznym.

— W takim razie przyrząd odgrywa tylko rolę czynnika pomocniczego.

— Niemniej jednak decydującego; bez niego nie dotrę do punktu związanego w sposób tajemniczy z istotą Kamy. Muszę go mieć Ciągle pod ręką, by bez przerwy wyczuwać ruchy fluidów w nim zawartych.

— A zatem ostatecznie „kompas” będzie tobą kierował?

— Naturalnie. Lecz przede wszystkim musisz mnie wprowadzić w stan konieczny do przeprowadzenia operacji. Sposób znasz?

— Tak. Zrobiłem przecież z tobą już parę podobnych doświadczeń.

— Tak — ale nie zapominaj o tym, że ani razu nie wychodziliśmy poza obręb hipnozy; teraz chodzi o stan głębszy.

— Rozumiem. Bądź spokojny; potrafię.

— Dobrze więc. Zaraz zaczynamy. Pora dobra, wieczorna; w mroku nie będziemy zwracali na siebie uwagi przechodniów. Gdy zasnę, wyprowadzisz mnie przed dom za furtkę ogrodową.

— Nie odstąpię cię ani na krok.

— Kto wie, dokąd zajdziemy. Może to być tuż obok, ale może też być w odległości kilku kilometrów albo i więcej. Musisz się przygotować na daleką drogę.

— Pójdę wszędzie z tobą.

— Jeszcze jedno. Gdy staniemy u celu, obudzisz mnie.

— Dobrze. Czy mam zacząć?

— Zaczynaj!

Wierusz ujął w palce lewej ręki astralny kompas i ukrywając go w dłoni, usiadł na krześle i przez chwilę wpatrywał się nieruchomo w kopię Rembrandtowskiej Lekcji anatomii na ścianie naprzeciw. Stanąłem o parę kroków przed nim i zacząłem go usypiać. Po szóstym pociągnięciu przymknął oczy, wydając głębokie westchnienie. Zrobiłem jeszcze parę passów, by stan utrwalić, po czym zacząłem go pogłębiać w kierunku zamierzonym. Po upływie pięciu minut białka oczu podeszły

w górę i śpiący odzyskał charakterystyczną swobodę ruchów i mowy. Wyjąłem szpilkę z krawata i nakłułem mu lekko skórę na policzku.

— Czy odczuwasz ból? Uśmiechnął się przez sen.

— Ani śladu.

Ponowiłem próbę na przedramieniu z tym samym rezultatem. Andrzej ani drgnął. Choć przebiłem mu skórę na wylot, nie wyciekła ani kropla krwi.

— All right! — szepnąłem zadowolony. — Teraz wstaniesz i pójdziesz za mną.

I wyprowadziłem go przez ogród na ulicę.

Był już wieczór. Płonąca koło willi latarnia rozrzuciła wkoło matowe poblaski. W powietrzu wisiała gęsta, zsiadła mgła, skrapiając się leniwo na bruk... Było cicho. Od czasu do czasu wynurzał się z mgły jakiś przechodzień, wkraczał na chwilę w krąg światła i wsiąkał znów w mgłę z powrotem. Gdzieś w oddali dudniły tramwaje.

Wierusz stał na chodniku niezdecydowany. Odstąpiłem na parę kroków, zostawiając mu zupełną swobodę.

Wyciągnął ramiona poziomo i rozpostarł je szeroko jak skrzydła ptaka. Skurczone palce lewej ręki rozwarły się, odsłaniając kompas na dłoni... Powoli, jak ślepiec, zaczął obracać się na miejscu, badając przestrzeń. Po trzecim półobrocie w prawo zawahał się i powrócił w poprzednią pozycję; po chwili znów wychylił się w tamtą stronę i znów cofnął w lewo. W końcu stanął na miejscu, opuścił ramię prawe i znieruchomiał. Wyprężona ręka lewa wskazywała coś uparcie w dali. Na usta wybiegł uśmiech zadowolenia. Znalazł...

Przyrząd na dłoni śpiącego drgnął i jakby poruszany ukrytą wewnątrz siłą, obrócił się o pewien kąt, ustawiając krótszym smoczkiem w kierunku palca wskazującego. Kompas zaczął działać...

Andrzej wciągnął ostrożnie ku sobie wyprężone ramię i zamykając z powrotem dłoń, położył palec na krótszej wskazówce przyrządu. Jakiś czas jeszcze stał na miejscu bez ruchu, wsłuchując się w przestrzeń, a potem ruszył na przełaj przez ulicę w kierunku wskazanym.

Poszedłem za nim. Tak przeszliśmy na ukos Parkową, przemierzyliśmy plac Solarny i skręciliśmy w dół na Stromą. Droga prowadziła wyraźnie w stronę wybrzeża.

Co pewien czas, zwłaszcza tam, gdzie kierunek ulegał zmianie, Andrzej zatrzymywał się i radził kompasu. Czuły przyrząd ostrzegał go przy każdym zakręcie.

Zagłębiliśmy się w labirynt wąskich, małych uliczek nad rzeką. Tu było ludniej. Co chwila wypadały z zaułków podejrzanе postaci ludzkie o spojrzeniach niepewnych, ponurych, z piętnem zbrodni na czole. Raz, gdy mijaliśmy jeden z tych plugawych zaułków oświetlony światłem rozhułanej w tańcu oberży, zaczepił mnie jakiś pijany włóczęga:

— A pan co tu robisz w naszej stronie, he? Ślepa prowadzisz na sznurku po proszonym chlebie, co? Musieliście pewnikiem dużo nazbierać grosiwa, bo obaj wyglądacie niezgorza. Może byście się ta ze mną podzielili, he? Trzeba tego starego drania trochę obmacać po kieszeniach; może się ta co wydukwi.

I byłby już wprowadził w czyn swe pobożne intencje, gdyby nie zimny błysk lufy mego browninga, którym mu poświęciłem między oczy.

— Psiakrew! Cholery ostrożne! — zaklął schodząc nam z drogi.

Weszliśmy w długą, wąską sień. Było ciemno tu, choć oko wykol. Zapaliłem czerwoną latarkę. Purpurowa struga światła padła na deski podłogi spróchniałe, brudne, rojące się od wykrotów. Korytarz zdawał ciągnąć się bez końca; plugawe, odarte z wapna ściany, zamknięte w górze beczkowatym sklepieniem, wydłużały się w dal czarną perspektywą. Szła stamtąd na nas stęchlizna i zaduch. Lecz Wierusz nie cofnął się. Przeciwnie; krok jego teraz stał się pewniejszym, ruchy nabrały samodzielności. Widocznie zbliżaliśmy się do celu. Wtem sień załamała się ostro na prawo, a równocześnie grunt zaczął raptownie opadać w dół. Skierowawszy promień latarki na poziom nóg, przekonałem się, że podłoga skończyła się: pod stopami mieliśmy teraz miałki, żółty piasek. Korytarz zwęzał się w tym miejscu do rozmiarów ciasnego przewodu; trzeba było iść „gęsiego”. Uczułem dojmujący chłód wilgoci. Ze ścian sączyła się strużkami woda i wsiąkała w grunt. W pewnym miejscu natrafiliśmy na kałużę błota, którą musieliśmy przejść w bród. Wtedy domyśliłem się, że jesteśmy w podziemiach pod korytem rzeki...

O tych podziemiach chodziły po mieście tylko głuche wieści. Ludzie mówili, że ciągną się one milami wzdłuż i w poprzek pod poziomem Druczy, lecz że nikomu dotychczas nie udało się znaleźć wejścia do tajemnych korytarzy. Przypadek chciał, że najniespodziewaniej w świecie wtargnęliśmy do podrzecznego błędnika... Wnosząc z długości drogi, już parę razy dotarliśmy z Andrzejem do przeciwległego brzegu Druczy, by znów zawrócić ku środkowi koryta; chodnik wił się w tysiączne zygzaki, uskakiwał to w prawo, to w lewo, kluczył jak kaprys szaleńca. Po półgodzinnej wędrówce zaczęliśmy schodzić po kamiennych schodach niemal prostopadle w dół, w jakiś głęboki, wilgotny szyb. Po paru minutach znaleźliśmy się na poziomie. Tutaj Wierusz zatrzymał się.

Podniosłem w górę latarkę. Byliśmy u celu; mała, kwadratowa przestrzeń, zamknięta zewsząd ścianami, nie miała innego wyjścia prócz wąskiego szybu, którymśmy się tutaj dostali. Dookoła, pod ścianami stały spiętrzone beczułki, drewniane, mocno w żelazo okute paki, pęki skór wyprawionych i postawy sukna. W powietrzu czuć było okowitę, skisłe piwo i jucht.

Nagle, rzuciwszy okiem w kąć izbicy, zadrżałem. Na tapczanie w niszy muru spoczywały rozciągnięte zwłoki ludzkie; na wiązce słomy, w czapce rybackiej naciśniętej nisko na czoło, leżał zeszywniały w skurczu śmierci mężczyzna. W oczach wywróconych białkami ku górze zastygł strach. Z zapadniętej głęboko

twarży sterczały kości policzkowe ostro, niemiłosiernie, wyzywająco. Z półotwartych ust wychylał się język długi, wąski, czarny jak węgiel...

Śmierć nastąpiła prawdopodobnie niedawno, bo trup nie zdradzał jeszcze śladów rozkładu. Czy zginął z głodu?... Chyba nie; na stołku obok tapczanu leżało pół bochenka chleba spleśniałego już od wilgoci i stała miska z jarzyną. — Więc może z uduszenia? Może zaszła tu jakaś straszliwa zbrodnia, ukryta bezpiecznie przed światem w tym ponurym miejscu, jakich sześć metrów pod dnem rzeki?...

Zbliżyłem się do Andrzeja i lekko dmuchnąłem mu między oczy. Obudził się i spojrzał przytomnie.

— Odpocznij chwilę — rzekłem przysuwając mu stołek.

— Rzeczywiście potrzebuję odpoczynku — odpowiedział siadając. — Trochę mnie to za silnie wyczerpało. Gdzie jesteśmy?

— Prawdopodobnie parę metrów pod korytem Druczy. Nie jesteśmy sami...

— Jak to?

— Mamy towarzysza.

I puściłem snop czerwonego światła w kąt izby.

— Jakiś uduszony rybak.

Wierusz porwał się z miejsca ku zwłokom.

— To jest człowiek, którego szukamy — zawołał, wlepiając w twarz leżącego swe głębokie, badawcze spojrzenie.

— Niestety, człowiek ten nie żyje.

— Mylisz się, Jerzy! On tylko śpi.

— Żartujesz.

I przyłożyłem ucho do piersi nędzarza.

— To trup — oświadczyłem po chwili. — Serce ani drgnie.

— A jednak mimo wszystko utrzymuję, że człowiek ten nie umarł, lecz pogrążony jest od dłuższego już czasu, może od miesięcy, może nawet od lat w śnie podobnym do letargu.

— Masz zamiar go obudzić?

— Na razie nie leży to w mojej mocy.

— Więc może go stąd wynieść?

— To by narobiło nam dużo kłopotu i sprawa mogłaby nabrać niepożądanego rozgłosu. Lepiej zostawić go do czasu w tej kryjówce.

— Ale w takim razie niczego się od niego nie dowiemy. Jeżeli on rzeczywiście pozostaje w jakimś związku z Kamą...

— Na pewno tak, lecz wątpię bardzo, czy umiałby nam coś o niej powiedzieć. Najprawdopodobniej człowiek ten nigdy w życiu swym Kamy nie widział; przynajmniej w stanie swym normalnym na jawie. O tym zaś, co obecnie przeżywa jego jaźń poza obrębem ciała, albo całkiem zapomni po przebudzeniu, lub też wspomnienia będą tak mętne i powikłane, że zamiast pomóc, utrudnią nam tylko

zadanie.

— W rezultacie zatem musimy czekać na zmianę stanu.

— Można ją wywołać sztucznie. Właśnie ten stan rzuca ciekawe światło na całą sprawę. Kto wie, czy podejrzenia, jakich nabrałem co do Kamy, nie zaczynają się tu realizować?

— Czy nie podzielisz się ze mną swoimi przypuszczeniami?

— Na razie nie. Nie lubię wypowiadać głośno hipotez, których nie mogę poprzeć bezpośrednim doświadczeniem. Musisz się zdobyć na cierpliwość, Jerzy. Powrócimy tu niebawem, może za tydzień, gdy będę odpowiednio przygotowany. Teraz czas nam wracać; pora i tak bardzo spóźniona. Spojrzał raz jeszcze na zeszytniały kształt ludzki, dotknął palcem jego skroni i skierował kroki ku wyjściu. Wyprzedziłem go, by rozświetlać drogę latarką. Szliśmy szybko i pewnie, bo chodnik, lubo kręty, nie rozwidłał się nigdzie. Jakież było moje zdumienie, gdy po dziesięciu minutach wyszliśmy po jakiejś pochylni na powierzchnię ziemi w miejscu oddalonym od zaułków nadbrzeżnych o kilka kilometrów... Nad nami świecił jasno księżyc, dookoła nas czerniły się krzaki jałowcu.

— Rzecz dziwna — odezwałem się pierwszy — wchodziliśmy przez jakąś plugawą sień w jednym z nadrzecznych domów, wychodzimy zaś tą piwnicą o parę kilometrów na wschód, w czystym polu!

— Widocznie jest podwójne wejście.

— Widocznie.

— I to drugie bezpieczniejsze od tamtego, bo poza miastem i dobrze ukryte w chaszczach.

— Rzeczywiście. Jesteśmy otoczeni wkoło zwartym żywopłotem, przez który trzeba się będzie przemocą przedzierać.

— Tu była wąska przesiecz — odpowiedział Wierusz; badając grunt pod nogami. — Lecz zarosła już prawie zupełnie.

— Znać od dawna już nikt nie używał tej ścieżki.

— Niewątpliwie. Lecz może się jakoś tędy przebierzemy. Toruj drogę jako młodszy!

Wtargnąłem w gąszcz krzewów i wkrótce znaleźliśmy się obaj na rozległym, trawą i zaroślami podszytym wygonie. O sto kroków od nas szumiała w ciszy nocnej Drucz...

Przygotowania

Najbliższy tydzień upłynął niemal cały na przygotowaniach. Pracownia Wierusza wyglądała w tym czasie jak średniowieczne laboratorium alchemika. Od rana do późnej nocy huczał ogień w Athanorze, perkotało w tyglach, pieniały się szumami retorty. Andrzej, ubrany w skórzany fartuch, z heksagramem na piersi, uwijał się jak nowożytny Paracelsus pomiędzy rozstawionymi garami, dziwnego kształtu alembikami i słojami, mieszał jakieś płyny, warzył, prażył, precedzał. Trzy razy na dzień byłem świadkiem ceremoniału ablucji. Wśród szeptu rytualnych modlitw zmywał Wierusz ręce olejkiem z werweny, ruty i wawrzynu. W godzinach przedpołudniowych okadzało się pracownię mieszaniną z lauru, kamfory, żywicy, soli i siarki. Na stole suszyły się pęki ziół, napełniając wnętrze odurzającą wonią mięty, szaławii i barwinku. Wśród dymu kadzideł i alchemicznych zaklęć, ujętych w lapidarną łacinę, przeglądał Andrzej szkatułę z tajemniczymi przyrządami; z wnętrza połyskiwały glewie szpad z napisami w alfabecie hermetycznym, lśniły chłodem stali brzeszczoty dag, sztyletów, złote i srebrne czasze z inkrustacjami w znaku siedmiu planet, wyzierały pióra wielkich ptaków, różdżki magiczne, fantastyczne trójzęby...

Odkładał jedne, oczyszczał z pyłu drugie, kombinował, brakował, dobierał...

Któregoś dnia otworzył wielką orzechową szafę, pełną rytualnych strojów.

— Oto szata, którą powinien mieć na sobie mag przystępujący do dzieła w niedzielę — rzekł wskazując na pierwszy z brzegu strój barwy purpurowej. — Głowę jego zdobi w ten dzień tiara i złote naramiennice.

Ten biały, lamowany srebrem płaszcz z potrójnym naszyjnikiem z pereł, kryształu i selenitu, przeznaczony na poniedziałek, tj. na dzień Księżyca; tiarę maga otacza wtedy wstążka z żółtego jedwabiu z monogramem Gabriela w języku hebrajskim; naramiennice są srebrne.

A oto szata na wtorek, dzień Marsa. Ta właśnie będzie nam potrzebna.

I zdjął z wieszadła fałdzisty płaszcz w kolorze ognisto-rdzawym, ściągnięty w połowie pasem ze stali.

— Znamienna barwa — zauważyłem oglądając strój.

— Krwawa — jak na Marsa przystało. Garnitur uzupełniają stalowe naramiennice i tiara opasana wstęgą z żelaza.

— Płaszcz ten przypomina mi trochę palium rzymskich Saliów, którzy w podobnym rynsztunku odprawiali wojownicze tańce — tripudia po ulicach Romy.

— Nic dziwnego; płaszcz kapłanów Marsa służył tu za wzór.

Zamknął szafę i przewiesiwszy płaszcz przez poręcz fotelu, wydobył z biurka zgrabny, łosiową skórą obity kufereczek.

— A to co?

— *Scrin magique*. Nie wiem doprawdy, jak ci to przetłumaczyć na polski. Jest to

jeden z tych specyficznie francuskich wyrazów, których przekład na inny język o rozpacz przyprawia pedantów dosłowności. — Ecrin — coś w rodzaju skrzynki na klejnoty, uważasz?

I przekręcił kluczyk w zamku. Odskoczyło sprężynowe denko, odsłaniając przepiękny, mieniący się barwami tęczy zbiór sygnetów i pierścieni.

— Ten ze złotą osadą — wyjaśniał wskazując kolejno klejnoty — z rubinem w licu zdobi rękę adepta w niedzielę. Ten z chryzolitem i jego sąsiad z berylem sieją złoto-zielone blaski w dzień Luny... Agat — to kamień Merkurego; czerni się na palcu maga w środę. Szmaragd jest klejnotem Jowisza i dlatego nosi go się na palcu w czwartek; czasem może go wyręczyć sygnet szafirowy, gdy pora spokojna, a dusza operatora w pełni równowagi. — Władczyni piątku, słodko uśmiechnięta Wenus, rozmiłowana jest w turkusie i lapis lazuli. Pierścień z onyksu przeznaczono na dzień Sabatu.

— To znaczy na dzisiaj?

— Tak, lecz dzisiaj nie jestem jeszcze dostatecznie przygotowany do podjęcia operacji.

— Domyślam się, że przesunąłeś termin na wtorek; tak przynajmniej każe wnioskować płaszcz marsowy, który wydobyłeś z szatni.

— Zgadłeś. Teraz musimy dobrać odpowiadający mu sygnet.

I włożył na palec ciemnofiołkowy, ujęty w skromną stalową oprawę ametyst.

W czasie tych przygotowań byłem niemal nieodstępnym towarzyszem Andrzeja. Po co mu właściwie potrzebną była moja obecność, do dziś dnia nie wiem. Bo „pomoc” moja ograniczała się do paru błałych i drugorzędnych czynności, pozostających tylko w luźnym związku z tym, co zamierzał. Przypuszczam, że głównie chodziło mu o to, ażebym zajął się przez tych parę dni sprawami gospodarskimi, których nie chciał w tym czasie powierzać komu innemu; jedyny sługa, Grzegorz, który dotychczas spełniał te funkcje, zniknął gdzieś z domu bez śladu.

Zrozumiawszy, że przyjaciel mój pragnie w tym czasie zredukować stosunki z otoczeniem do minimum, chętnie podjąłem się zadania, choćby ze względu na to, że to ja właściwie wywołałem ten przewrót w trybie jego życia. Mimo usiłowań i prób wydobycia od niego bliższych wyjaśnień co do istoty zamierzonej operacji magicznej, o której ciągle wspominał, nie zdołałem dowiedzieć się niczego określonego. Wierusz zamknął się w sobie i milczał jak grób, ilekroć starałem się wyciągnąć go na słowo.

Wreszcie w poniedziałek rano kazał mi zabrać się na cały dzień z domu.

— Wybacz, Jur — usprawiedliwiał się — że cię stąd wypędzam, lecz w interesie „sprawy” muszę pozostać aż do wieczora zupełnie sam. Potrzebuję skupienia.

— Rozumiem i wynoszę się.

— Ale wieczorem, koło dziewiątej, musisz wrócić koniecznie! Pamiętaj! Do widzenia, Jur!

— Do widzenia! Stawię się w słowie. I wyszedłem.

Poranek był jasny, majowy. Od rzeki płynęła ledwo dostrzegalna szeregowa mgły, rozwodząc się nad miastem przejrzystym welonem. Na wiosennym niebie kapały się w słońcu obłoki, płynął cicho wrażonym w południe ostrzem klucz jaskółek. Nad bulwarami krążył dwupłatowiec, połyskując pod słońce białym podbrzuszem łodzi. Cygara fabrycznych kominów wypuszczały z gardzieli sznury dymów, długie, wlokące się równolegle do poziomu pióropusze-proporce. Grzbietem wzgórza za miastem od strony Zaklicza mknął na północ jakiś pociąg...

Nie wiadomo jak znalazłem się na wybrzeżu Druczy, daleko poza miastem. Miejsce było puste, odludne. Przed pięciu laty, gdy stał jeszcze most, roiło się tu od wozów, koni i ludzi. Lecz od wiosny r. 1905, gdy kra uniosła środkowe przesła, zamilkło życie w tej stronie. Nowy, żelazny most zbudowany bliżej miasta porwał je za sobą ku centrum. Na miejscu dawnej komunikacji pozostały tylko szczątki: betonowe podpory z tej i tamtej strony rzeki, fragmenty sztab, kikuty obłęków; ze środka koryta wystawały jeszcze tu i tam resztki żelaziwa zżarte przez rdzę, czerwone — bliżej brzegów jeżyły się z dna stalowe kolce, niebezpieczne dla łodzi porą nocną, zdradzieckie żeleźca, podruzgotane na szczapy przyporniki, trójkątne kobylice. W pewnej odległości od brzegu sterczał w mule rzeczny na pół zasuty już szlamem i wodnym chwastem bagier, który służył przed laty do pogłębiania koryta. Teraz popsuty, stał beczynnym ogromny, rdzawoczarny, z „łyżką” zasuniętą głęboko w piasek.

Dawniej była tu przystań dla łódek i promów, którymi przeprawiano na drugą stronę rzeki skóry z miejskiej garbarni i spławiano drzewo z Zawiercia — od czasu zawalenia się mostu, gdy żegluga w tym pasie Druczy stała się ryzykowną, ustał ruch przewoźniczy, przesuwając się ku południowi. „Stara spławnia” wyglądała teraz jak podmiejska rupieciarnia zardzewiałego żelaziwa, wyszłych z obiegu rzecznych przedmiotów, podziurawionych czółen, skołatanych wysługą lat szkut, korabi i flisów. Nikt teraz nie zapuszczał się w to miejsce; każdy skwapliwie unikał szczyrzących się z dna grotów. Chyba kiedy niekiedy, nocami, przy blasku księżyca prześlizgiwał się tędy na łódce śmiały przemytnik i mylił czujność nadrzecznych celników.

Na zboczu wybrzeża, w otoczeniu starych kryp, spoglądających ku niebu dziurami den, pośród stosów beczek, baryłek i porwanych na strzepy więcierzy stała samotnie jak wierzba w skrajnym polu rybacka chata. Domostwo było nad wyraz nędzne: marna, zszyta byle jak z łodzich spodów kleć. Ze ściany wychodzącej na rzekę wyglądała na świat kaprawym spojrzeniem brudna i opajęczona szyba okna. Drzwi zlatane ze spróchniałych burt czółna były zabite na głucho i podparte kamieniem. Znać mieszkaniec porzucił swą sadybę na czas dłuższy.

Zajrzałem przez okno do wnętrza. Świeciło niemal zupełną pustką; pod ścianą ława, w kącie kupa sieci, zresztą nic...

Poza mną odezwał się szelest kroków. Odwróciłem się i ujrzałem przed sobą rybaka z wędką w ręce, przepasanego wpół torbą, w której trzepotało parę świeżo złowionych pstrągów.

— Dzień dobry panu! — pozdrowił uprzejmie, zdejmując czapkę.

— Dzień dobry! — odparłem, odpowiadając na ukłon. — To pańska chata?

— Broń Boże! To letnisko Jastronia.

— Kolega po zawodzie?

— Niby tak, niby nie. Nie słyszał pan dotychczas nic o Jastroniu?

— Nie.

— Był to jeden z najciekawszych w okolicy „szczurów wodnych”.

— „Szczur wodny” — to niby rybak, co? Nieznajomy przymknął filuternie oko:

— Tylko pewna osobliwa odmiana. W dzień robi usadkę na ryby, a nocami poluje na grubszego zwierza.

— Hm — chrząknąłem domyślnie.

— Rodzaj korsarza rzecznego, uważa pan, gatunek rabusia-pirata, który operuje na słodkich wodach.

— Rozumiem.

— Ho, ho! Kum Onufry Jastron był sprytnym chłopcem! Zwłaszcza w ciemne, burzliwe noce umiał być bardzo niebezpiecznym.. Przed jego „Kleniem”, sławną na Druczy krypą, mieli mores przewoźnicy i spławiacze skór. Nic to mu było niby to niechcący zahaczyć z tyłu bosakiem jaką beczkę pełną okowity lub piwa, ściągając z tratwy zakrzywionym krukem bal z sukrem lub grypsnąć przemytnikowi pakę z tytoniem. Szczwany był lis i gracz nie lada! Wszyscy wiedzieli, że rabuś, a nikt mu nie mógł dowieść niczego! W tym właśnie cała sztuka, mospanie, żeby się nie dać złapać na gorącym. Musiał mieć gdzieś setną kryjówkę, bo w tej budzie ani w domu jego na mieście nigdy nic nie znaleziono. — Lecz wszystko ma swój koniec. Podobno i kuma Onufrego diabli wzięli.

— Jak to podobno?

— No tak, właściwie nie wiadomo, co się z nim stało. Dwa lata temu z górą, koło Zielonych Świątek, szeszł bez śladu. Ja pierwszy to zauważyłem. Przechodzę, mospanie, jednego rana wedle tej budy, patrzę: zabita na śmierć bretnalami i przyparta na głucho. Myślę: Wyjechał na wyprawę w dalsze strony, w dół rzeki, czy co? Czekamy tydzień, dwa, miesiąc, rok — Jastronia nie ma. Przepadł bez śladu. Może go ta kto gdzie zaciukał.

— Niewielka byłaby strata.

— A juści, pewnikiem — zaśmiał się rybak. — Nosił wilk owce, ponieśli i wilka. Ale mnie czas na targowicę; ryba dobra, póki świeża. Do widzenia, panie!

— Do widzenia! Szczęśliwego targu!

— Dziękuję! — odchrząknął oddalając się wybrzeżem ku miastu.

Usiadłem przed „letniskiem” na wywróconej dnem beczce. Przede mną toczyła burzliwe nurty Drucz, przerzucając się grzywami fal przez szczęty mostu. Zapatrzony w ruch wody myślałem o Jastroniu. Nazwisko tego „szczura” wrażyło mi się głęboko w pamięć. To, co usłyszałem z ust rybaka, budziło pewne podejrzenia. Mimo woli nasunął się domysł, czy przypadkiem nie wpadłem na trop człowieka, którego znaleźliśmy z Wieruszem w podziemiach. Może on właśnie był zaginionym od dwu lat Jastroniem? Stosy pak z towarami, poustawiane wzdłuż ścian kryjówki, umocniły mię w tym przypuszczeniu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wytropiliśmy podziemną norę „szczura wodnego”, który tutaj gromadził od lat swą zdobycz. Tylko jedna okoliczność zdawała się przemawiać przeciw tej hipotezie. Według tego, co utrzymywał rybak, należało przyjąć, że stan, w jakim zastaliśmy Jastronia, trwał już od lat dwu. Czy to możliwe? Tu przypomniałem sobie, że Andrzej nie wykluczał czegoś podobnego. Owszem, pamiętam, jak energicznie odrzucił moją supozycję co do rzekomej śmierci nieznanego mężczyzny, twierdząc z uporem, że nie umarł, lecz że jest pogrążony w śnie podobnym do letargu może od miesięcy lub nawet lat. W każdym razie postanowiłem mu rzecz całą zakomunikować. Kto wie, czy mu się ta wiadomość na co nie przyda i jakie z niej wyciągnie wnioski?

Na razie jednak musiałem czekać. Godzina była jeszcze wczesna i nie mogłem wbrew woli Wierusza niepokoić go przed czasem. Lecz dzień dłużył mi się okropnie. Po parogodzinnej przechadzce po wybrzeżu zjadłem obiad, wypaliłem całą stertę papierosów i nie mogąc doczekać się wieczora, poszedłem do teatru na przedstawienie popołudniowe. Grano jakąś głupią, jak zresztą przeważnie u nas, komedię pełną „aktualnych” aluzji politycznych. Publika, zachwycona tanim dowcipem i płytkim humorem ulubionego autora, wybuchała regularnie co parę minut szerokim, homeryckim śmiechem, który podobno jest zdrowy, bo pomaga przy trawieniu i utwierdza w zwierzęcym błogostanie. Ponieważ polityka i wszelka „aktualność” mierzą mnie kaducznie i odczuwam żywiołowy wstręt do wszystkiego, co „ich jest” i z nich się wywodzi, przeto opuściłem „świątynię sztuki” już w połowie aktu drugiego zły i diabelnie znudzony. Resztę czasu postanowiłem dobić w kawiarni „Nad Druczą”. Trafił się partner do szachów i wkrótce zagłębiliśmy się obaj po uszy w arkanach gry. Ani się nie spostrzegłem, jak minęło parę godzin i zbliżała się dziewiąta: Zakończywszy zwycięsko czwartą z rzędu partię, pożegnałem się i wyszedłem. W dziesięć minut potem byłem już u Wierusza.

Wiadomość o Jastroniu przyjął z zainteresowaniem.

— Przypuszczenie twoje — rzekł — ma dużo cech prawdopodobieństwa.

— Czy tylko możliwym jest, by letarg trwał tak długo?

— Dlaczego nie? Fakirzy Wschodu dają się zakopywać do ziemi na okres paru

lat.

— Czy przypuszczasz, że Jastroń popadł w swój dziwny sen dobrowolnie, czy też bez jego wiedzy i woli uśpił go ktoś inny?

— Przypuszczam raczej, że owa szczególna śpiączka, w której trwa do chwili obecnej, napadła go nagle, zniecka.

— A zatem przyczyna tkwiłaby w nim samym, w jego ustroju psychofizycznym?

— Tak się domyślam.

— W każdym razie objaw niezwykle u człowieka tego typu.

— Mnie zaś nie wydaje się to niezwykle u osobnika tego pokroju. Przeciwnie — ludzie typu Jastroń może łatwiej ulegają podobnym anomaliiom niż zwykłe, „porządne” przeciętniaki.

— Dlaczego?

— Bo częściej przechodzą po nich burze namiętności, które wstrząsając potężnie ich ustrojem, wywołują w następstwie anormalne stany.

— A zatem według ciebie Jastroń zapadł w sen pod wpływem silnego wstrząsu nerwowego?

— Jeśli nie wstrząsu, który może tu jest wyrażeniem za silnym, to w każdym razie pod wpływem chwilowego napięcia nerwowego.

— Co? Ten „szczur”, ten rzezimieszek?

— Kto wie, czy w tym człowieku nie drzemią gorsze, stokroć mocniejsze namiętności? Kto nam zaręczy, czy na parę godzin przed zaśnięciem nie nosił się z zamiarem popełnienia zbrodni?

— Słyszałem coś o tym. Zaobserwowano podobno, że zbrodniarze po dokonaniu czynu zapadają nieraz w głęboki sen, trwający bez przerwy kilkanaście godzin. Przyczyna leży zdaje się w wyczerpaniu nerwowym.

— To samo może mieć miejsce i przed spełnieniem zbrodni; decyzja, ów skok na ślepo w otchłań zło czynu, też musi wyczerpywać ogromnie. Organizm wysiłony walką, która go poprzedza, szuka pokrzepienia w śnie — szuka tym skwapliwiej, że stoi u progu ponurych ziszczeń i potrzebuje sił...

— I zapada w sen...

— Który ze zwykłego może w podobnych okolicznościach zamienić się na stan letargiczny, podobny do transu.

— Czy grozi mu wskutek tego jakie niebezpieczeństwo?

— Nie, o ile go żywcem nie pogrzebią, lecz pozostawią w spokoju aż do chwili przebudzenia się. Niestety, nieraz zachodzą tu straszliwe pomyłki. Może się też zdarzyć, że dusza śpiącego nigdy już w ciało nie powróci.

— Dobrowolnie?

— Z własnej woli lub wskutek tego, że jakaś inna monada duchowa spragniona inkarnacji skorzysta z nieobecności właściciela i wkradnie się w opuszczone

chwilowo przezeń ciało.

— Wtedy chyba następuje przebudzenie?

— Oczywiście, lecz z cudzą jaźnią. Budzi się całkiem nowy, obcy otoczeniu człowiek, tylko wyglądem fizycznym podobny do tamtego.

— To są szalone hipotezy!

— Nie, mój kochany, to są fakta — rzadkie wprawdzie, ale fakta.

— Lecz o Jastronia możemy być spokojni; samiśmy się przekonali naocznie, że nikt dotychczas nie zląkomił się na jego marną cielesną powłokę.

— Na ciało fizyczne nie, ale kto wie, czy nie na jego astral, na ten eteryczny łącznik między duszą a ciałem, który hinduska joga określa terminem Linga Sharira?... Z tej fluidycznej protoplazmy może Duch utworzyć sobie dowolną postać, nadając jej ludzkie pozory ciała fizycznego. Czy byłeś kiedy świadkiem materializacji mediumicznej?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, usłyszeliśmy trzykrotne uderzenie w drzwi od korytarza. Wierusz popatrzył na mnie:

— Kto to być może teraz, o tej godzinie? Pukanie powtórzyło się.

— Proszę — odpowiedział Andrzej z niechęcią.

Wszedł mężczyzna imponującej postawy, rosły, barczysty, wytworny w ruchach. Rzuciwszy na mnie przelotne spojrzenie, skupił całą swą uwagę na Wieruszu.

— O ile się nie mylę — rzekł powoli, z akcentem jakby cudzoziemskim — mam zaszczyt rozmawiać z panem tego domu?

Wierusz powstał z krzesła:

— Tak. Z kim mam przyjemność? Nieznajomy uśmiechnął się dziwnie.

— Przyjemność wątpliwego rodzaju. Mniejsza o moje nazwisko. Ja pańskiego również nie znam i znać nie chcę. Są sytuacje w życiu, w których te towarzyskie dodatki winny odpaść. Przychodzę tu jak człowiek do człowieka w chwili wyjątkowej. Sądzę, że panu tego nie potrzebuję tłumaczyć. Musisz być rzeczywiście jednostką niezwykłą, jeśli zdecydowałem się na ten krok wobec pana.

Słowa gościa widocznie podziały silnie na Andrzeja, bo twarz jego dotychczas roztargniona i niechętna nabrała wyrazu skupienia.

— Proszę — wskazał mu krzesło — może pan zechce zająć miejsce?

— Dziękuję — nie zabiorę panu dużo czasu; załatwię sprawę w kilku słowach.

— Słucham pana.

— Przychodzę przebaczyć panu krzywdę, jaka wkrótce ma mnie spotkać z pańskiej strony.

Wierusz drgnął.

— Krzywdę? — powtórzył jak przez sen. — Jaką krzywdę?

— Szczegółów nie znam. Pchany nieznaną siłą, przyszedłem to panu powiedzieć. Cokolwiek się zdarzy, przebaczam panu. Znać porządek moralny świata

wymaga tego ode mnie. Może nieszczęście, które wkrótce, może dziś jeszcze, ma mnie dosięgnąć z pańskiej przyczyny, jest ekspiacją mych win... Moich wielkich, ciężkich win — dodał ciszej, pochylając głowę.

Wierusz blady jak płótno wyszeptał głosem głęboko wzruszonym:

— Dziękuję panu.

Gość wyciągnął doń rękę:

— Żegnaj mi!

Uścisnęli się w milczeniu. Po chwili znów pozostaliśmy samowtór z Andrzejem.

Przyjaciel mój zamyślony i smutny przemierzał pokój nerwowymi krokami; chmura bólu osiadła na jego zwykle pogodnym, olimpijskim czole.

Usiłowałem rzecz obrócić w żart.

— To jakiś wariat — ośmieliłem się na lekkomyślną uwagę.

Spojrzał na mnie poważnie, prawie surowo. Więc zmieszałem się i zamilkłem...

Zaklęcie czterech

Zastaliśmy go w pozycji sprzed tygodnia; tylko policzki śpiącego zapadły się głębiej i ciało stało się podobniejsze do wyschłej drzazgi.

Zaświeciłem na sklepieniu trzy lampy z oliwą i łagodne światło rozlało się po wnętrzu. Wierusz rozpakował toból, przyniesiony przez nas we dwójkę z Parkowej do podziemnej kryjówki. Zaczęliśmy wyjmować przybory i rozstawiać na pakach pod ścianami. Andrzej podał mi srebrną kadzielnicę i polecił napełnić łódkę mieszaniną wawrzynu, soli i żywicy. Sam wdział szatę barwy hematytu, ściągniętą w połowie pasem ze stali, zamknął w zatrzaski powyżej łokcia spinki żelaznych naramiennic i nałożył na głowę wieniec z ruty i lauru.

Wręczyłem mu dymiącą kadzielnicę. Zawahał nią parę razy, zwracając się na wszystkie cztery strony świata.

— *Tibi sunt Malchut et Geburah et Chesed per aeonas!* — szeptały usta sakramentalne słowa rytuału.

Wśród kłębow żywicznego dymu postać maga zda się urosła do nieludzkich kształtów i uniosła się w górę.

— *Michael, Gabriel, Rafael, Anael!*

Odłożył kadzielnicę i rozpuszczoną na płyn minią z węglem zakreślił na ziemi szerokie, czerwone koło. Na jego obwodzie w czterech punktach, odpowiadających stronom świata, pojawiły się wizerunki: nietoperza z napisem: Berkaial, czaszki ludzkiej z dewizą: Amasarac, wolicz rogów z tajemniczym wyrazem Asaradec i kociej głowy w znaku Akibeeec. Potem wpisał w koło kabalistyczny trójkąt, w którego wierzchołku umieścił wysoki, miedziany trójnóg z naczyniem kształtu wazy. Naprzeciw, w środku koła stanął ołtarz z muszlą na kadzidła.

— Przygotowania skończone — rzekł wstępując w obręb koła. — Stań tu za mną po prawej stronie i cokolwiek ujrzysz, nie ruszaj się z miejsca! Nie wolno ci wychodzić ani na krok poza obwód czarnokręgu! Gdybyś z jakiegokolwiek powodu to uczynił, nie ręczę za następstwa.

— Zastosuję się do twej rady — odpowiedziałem zajmując wskazane mi miejsce u dolnego węgła trójkąta.

Na chwilę zapadło milczenie. Wierusz stał nieruchomo w środku rozstępu między ołtarzem a trójnogiem i wyciągnąwszy poziomo ręce, z przymkniętymi oczyma, trwał w skupieniu modlitwy. Przyćmione światło lamp u stropu padało na twarz jego wychudłą, ascetyczną, ześlizgiwało się po kamieniach pectorału, grało na siedmiu metalach magicznego heksagramu. A tam, w półcieniu niszy, na drewnianej pryczy rysował się sztywny kształt człowieka — dziwny kształt-zagadka...

Wtem Andrzej ocknął się. Zanurzył rękę strojną w sygnet z ametystu w skórzany worek u pasa i wydobywszy szczyptę kadzideł, rzucił ją w żar węgla

jarzących się w muszli ołtarza. Buchnął płomień, uniosły się dymy; w powietrzu zapachniało mirrą i werweną. Mag sięgnął po czarkę ze sproszkowaną strzyżą ziół, przechylił naczynie nad konchą trójnoga zaklęć i wysypał treść... Gęsty, szaro-żółty kłęb uniósł się z magicznego trypodu i zawisł pod sklepieniem; uczułem woń szaleju, lulka i mandragory...

Andrzej chwycił lewą ręką sztyletu, równocześnie ujmując w palce prawej ręki pantakl płomienno-pentagramu, symbolu władzy nad żywiołami.

— *Caput mortuum!* — rozkazał mocnym głosem, skierowując dwa rogi pięcioramiennej gwiazdy ku trójnogowi, — *Imperet tibi Dominus per vivum et devotum serpentem...*

Cherub! Imperet tibi Dominus per Adam-Jotchavah!...

Aquila errans! Imperet tibi Dominus per alas Taurii...

Serpens! Imperet tibi Dominus tetragrammaton per angelum et leonem!

Michael, Gabriel, Rafael, Anael!

Fluat U dor per spiritum Eloim!

Maneat terra per Adam-Jotchavah!

Fiat jirmamentum per Jahve-Zebaoth!

Fiat iudicium per i gn era in virtute Michael!...

Przerwał i oczyma wzniesionymi ku sklepieniu śledził ruch dymów... Wysnuwały się leniwo podwójną kolumną z ołtarza i trójnoga i łączyły się pod stropem w kształt łuku...

Wierusz zatknął sztylet za pas i biorąc po kolei czarę pełną wody, trójząb Paracelsa, pióro orle i szpadę, tak kończył formułę zaklęcia:

— Aniele o oczach zamartwych, posłuchaj mnie lub odpłyn z tą świętą wodą! Wężu ruchliwy, przepelnij do mych stóp lub bądź dręczony ogniem świętym i ulotnij się wraz z wonnościami, które tutaj spalam!

— Orle spętany, usłuchaj tego znaku luta cofnij się przed tym podmuchem! Byku skrzydlaty, pracuj lub powróć na ziemię, jeśli nie chcesz, abym cię przekłuł tą szpadą!... Niechaj woda powróci do wody, ogień niechaj płonie, powietrze wiruje, niechaj ziemia padnie na ziemię przez moc pentagramu i w imię tetragramu wpisanego w środek świetlistego krzyża!...

Dymy drgnęły, zakołysały się, skłębiły... Z łuku arkady wydzieliła się przeźrocza jak tiul kurtyna i stoczywszy się w dół, odcięła niszę od reszty podziemia. Za nią poszła druga, trzecia, czwarta... Zasuwały się kolejno poza siebie warstwami, aż utworzyła się z nich gęsta, mlecznobiała zasłona, poza którą znikła wnęka z tapczanem i leżący na nim człowiek.

Mag dmuchnął na powierzchnię wody w czarze, wsypał dwie szczypty soli i zanurzony w roztworze pęk gałązek jesionu, barwinku i szaławii, pokropił nim ołtarz wśród szeptu słów rytuału:

— Niech od tej soli oddalą się stwory żywiołu, by była solą niebiańską, by

zachowała dusze i ciała nasze od wszelkiej zmaży i zepsucia i użyczyła nadziei naszej skrzydeł do lotu.

Potem, wytrząsając w czasę resztki popiołu z kadzielnicy, mówił słowa poświęcenia:

— Niechaj popiół ten wróci do źródła wód żywych i zapłodni sobą ziemię, by wydała drzewo żywota.

Włożył w naczynie kopystkę z jaspisu i zamieszał. A gdy sól i popiół zaczęły się łączyć w wodzie, wypłynął z ust cytatora rozkaz:

— W soli mądrości wieczystej, w wodzie odrodzenia i w popiołach rodzących ziemię nową niech się wszystko stanie w imię Gabriela, Rafaela i Uriela!

Zamilkł i wpatrywał się w kotarę z dymów. A po niej pod siłą jego wejrzenia zaczęły przebiegać fałdy dreszczy.

— Wtedy czyniąc w powietrzu znak czarą, zawołał donośnie:

— *Exorciso te, creatura aquae, ut sis mihi speculum Dei vivi in operibus Eius et fons vitae et ablutio peccatorum! Amen.*

Ruślanie morza, królu straszliwy wody, który dzierzysz klucze opustów niebieskich, władco potopu i ulew wiosennych, stróžu źródeł i fontann, wzywam cię!...

Zakotłowało w oponie dymów: jednolita, szarobiała ściana podzieliła się, rozpadła i przeszła w kontur człeko-zwierza. Stwór, chwiejąc olbrzymim łbem, z którego spływały strzępy morszczyzny i wodoziela, wlepił w cytującego spojrzenie pełne niechęci:

— Czego chcesz ode mnie?

— Jeżeliś ty lub który z podwładnych ci wodników, spragniony kształtu widomego, skorzystał ze snu tego człowieka i przywłaszczył sobie jego mumię — rozkazuję w imię pentagramu zwrócić mu ją natychmiast!

Na twarzy widma zaigrał złośliwy uśmiech. Wodnik spojrzawszy zezem w stronę wnęki, uderzył się parę razy po brzuchu płetwiastym ogonem i rozplątał w bezkształt dymu.

— Więc to żaden z nich — rzekł Andrzej, patrząc na mnie. — Przejdźmy do ich czerwonych antagonistów!

I rzuciwszy w konchę trójnoga kadzidło, żywicę, kamforę i siarkę, po trzykroć zawołał:

— Dżin! Samael! Anael!

Następnie uczyniwszy w powietrzu znak trójzębem Paracelsa, powtórzył rozkaz dobitniej:

— *Exorciso igitur te, creatura ignis, per pentagrammaton et in nomine tetragrammaton, in quibus sunt voluntas firma et fides recta. Amen.*

— Perkunie, panie ognia i władcyko jaszczuro-salamander, włodarzu gór lawą ziejących i gromów, ukazaż mi się w twej własnej postaci lub w kształcie jednego z

tworów

ci podwładnych! Duchu ognia, wzywam cię!

Rozległ się huk niszczącego żywiołu i nagle cała wnęka napełniła się płomieniami.

— Dżin! Samael! Anael! — grzmiał wśród szelestu czerwonych jęzorów głos maga.

Na tle ognistej powodzi zarysowała się postać nagiej, rudowłosej kobiety ze znamieniem jaszczurki na biodrze prawym.

— Kamo! — krzyknąłem rzucając się ku płomiennej kochance.

Lecz w drodze zatrzymało mię stalowe ramię Andrzeja:

— Ani kroku dalej!

— Kamo-Salamandro! — usłyszałem dominujący nad hukiem ognia jego głos.
— Czyń moją wolę! Otoć rozkazuję w imię pentagramu zwrócić śpiącemu jego własność...

Kama wlepiła weń spojrzenie zionące gniewem i nienawiścią. Z ust purpurowych wyszedł jęk bólu i skargi. Znamię jaszczurcze na biodrze jej ożyło i zaczęło się potwornie rozrastać. Z łona wywiązał się fluidyczny sznur-pępowina i wąskim smoczkiem sięgnął ku piersiom śpiącego. I oto w miarę jak jaszczurka prawem szczególnej absorpcji zajmowała sobą coraz to większą powierzchnię ciała Kamy, zewłok człowieka na tapczanie zdradzał coraz wyraźniejsze objawy życia. Zapadłe policzki zabarwiły się koralem krwi, znikła martwota członków i klatka piersiowa zaczęła wykonywać miarowe ruchy... Nagle, gdy już salamandra wchłonęła w siebie całą postać Kamy i zajęła niepodzielnie jej miejsce wśród skrętów ognia, śpiący obudził się...

W tejże chwili zgasty płomień i wizja potwornej jaszczurki, a przebudzony, otworzywszy zdumiałe oczy, zerwał się z barłogu i nie zwracając uwagi na nas, wypadł jak opętany przez czeluść otworu w głąb galerii.

— Za nim! — krzyknął Wierusz, zrzucając płaszcz maga na dogasający już ołtarz. — Za nim! Nie mamy ani chwili czasu do stracenia!

I obaj wybiegliśmy z kagankami w korytarze podziemia.

Pościg trwał długo, gdyż Jastroń obrał drogę dalszą, docierając chodnikami aż do domów rybackich nad brzegiem, w dolnej części miasta. W końcu zaświtał przed nami wylot sieni. Stąd pędziliśmy już na powierzchni ziemi. Jastroń wyprzedził nas spory kawał i wciąż mieliśmy go przed sobą w znacznej odległości. Tak minęliśmy nadbrzeżne zaułki i skręciliśmy w uliczkę Św. Floriana. Jastroń zmierzał w stronę mostu...

Na świecie tymczasem zapadł już zmrok. Mdłe błyski latarni przyrzecznych rozświetlały drogę skąpo i niedokładnie. Musiał spaść niedawno deszcz, bo parę razy zapadliśmy po kostki w bajury, drzemiące po wykrotach ulic. Nareszcie załśnił w blasku wieczystej lampki kask świętego Centuriona u przyczółka mostu. Postać

zbiega czerniała przed nami wyraźnie na środku mostu, w odległości niespełna 300 metrów. Z przeciwnej strony, zza rzeki, nadchodził wolnym krokiem jakiś mężczyzna...

Niespodziewanie, dziko, znienacka, w chwili gdy się nawzajem mijali w połowie mostu, Jastroń jak rozjuszony żbik rzucił się nań, zatapiając mu szpony palców pod szyję. Nieznajomy na próżno usiłował otrząsnąć się z napastnika; pazury, które wbiły mu się w ciało, zdały się być ze stali. Walka trwała zaledwie parę sekund. Zanim zdołaliśmy przyjść z pomocą, nieszczęśliwy uległ. Z siłą, jakiej nikt by się nie domyślił w wąłym, wyschłym na szkielet ciele tego człowieka, dźwignął Jastroń swą ofiarę na barki, poniósł ją parę kroków ku balustradzie ochronnej mostu i tu jednym pchnięciem ramion zrzucił w nurty Druczy. Po dokonaniu czynu chwilę jeszcze stał przechylony przez parapet, jakby badając toczące się spodem fale; dopiero na odgłos naszych kroków ocknął się i lotem strzały pomknął w kierunku przeciwnym, za rzekę. Dalszy pościg był bezcelowy. Raczej należało wyłowić ciało nieznajomego.

Odwiązaliśmy łódkę stojącą u brzegu i rozświecając rzekę kagankami, rozpoczęliśmy poszukiwania. Wkrótce pod jedną z arkad mostowych zamajaczyły zwłoki ofiary. Podpłynęliśmy i przy pomocy osęków udało nam się wciągnąć ciało do łódki.

Wierusz, skierowawszy światło na twarz nieszczęśliwego, wydał stłumiony okrzyk. Człowiekiem uduszonym przez Jastronia był ten sam wysoki, barczysty mężczyzna, który dnia poprzedniego wieczorem przyszedł do mego przyjaciela ze słowem przebaczenia...

W gospodzie „Pod miętusem”

Śmierć barona de Castro, którego zwłoki znaleziono w nurtach Druczy, wywołała w mieście niebywałą sensację. Bogaty cudzoziemiec, zamieszkały w tych stronach od kilku lat, nie cieszył się zbyt pochlebną reputacją. Było rzeczą powszechnie wiadomą, że baron prowadził życie rozwiązłe i wyuzdane. Toteż zgon jego nagły i tajemniczy dał pochop do najrozmaitszych komentarzy. Ponieważ badania lekarskie stwierdziły ślady uduszenia, przeto sprawą tą zajął się sąd. Lecz dochodzenia spełzły na niczym: sprawcy mordu nie wykryto. Jakkolwiek ewentualne zeznania moje i Andrzeja byłyby niewątpliwie przyczyniły się do rozwikłania mglistej afery, żaden z nas nie zgłosił się u sędziego śledczego. Pogląd Wierusza na tę zbrodnię nie pozwalał nam występować w roli świadków i pomagać sprawiedliwości. Dlatego postanowiliśmy pozostawić swobodny bieg wypadkom i zdać się na wolę losu.

— W gruncie rzeczy — tłumaczył mi Andrzej, widząc me skrupuły i wątpliwości — złoczyńca zawinił tu poniekąd tylko w części.

— Jak to?

— Pełnia winy może być tylko tam, gdzie istnieje premedytacja.

— No tak. Ale jeżeli on powziął decyzję w ostatniej chwili, np. w celach rabunkowych? Powierzchność ofiary mogła wzbudzić w mordercy pewne w tym kierunku nadzieje...

Nie stwierdzono ani śladu czegoś podobnego. Przy uduszonym znaleziono portfel z czekiem opiewającym na milion kilkaset tysięcy gotówki. Niczego nie tknięto. Nie brakowało nawet zegarka złotego z łańcuszkiem.

— A zatem chyba zemstą?

— Skądże znów to przypuszczenie? Baron i ten pospolity szczur rzeczny mieli na to za mało powierzchni zetknięcia.

— A więc?

— Przypuszczam, że morderca spełniał akt w stanie na pół przytomnym. Równie dobrze byłby udusił ciebie lub mnie, gdyby którego z nas spotkał wtedy na moście.

— A to dlaczego?

— Realizował prawdopodobnie tylko ostatnią swą myśl, z którą zasnął przed dwoma laty.

— A zatem przypuszczasz, że nosił się z zamiarem zamordowania kogoś w wigilię swego fatalnego zaśnięcia?

— Tak. I to zamordowania kogoś, kto miał przechodzić w pewnej oznaczonej porze przez most Św. Floriana.

— Szczególny domysł! W takim razie de Castro zginął całkiem przypadkowo?

— Naturalnie. Zbrodnia Jastronia jest tylko spóźnioną realizacją zamiaru

powziętego mniej więcej przed dwoma laty, a dziwny stan, w który popadł, wynikiem napięcia nerwowego przed spełnieniem zamierzonego czynu. Dlatego pierwszą myślą jego po przebudzeniu się, która jak pęd żywiołowy wypchnęła go z mroków podziemia na świat, była nieodparta konieczność realizacji. Więc wypadł i zamordował pierwszego spotkanego na moście człowieka.

— Więc baron miał poniekąd rację, przychodząc do ciebie ze słowem przebaczenia?

— Niestety tak. W niewytłumaczony sposób przeczuł, że ja właśnie będę sprawcą jego śmierci. Gdybym nie był powołał Jastronia do życia, tamten nie byłby zginął.

— Co za zagadkowy splot wydarzeń!

— Tak, tak — powtórzył smutno — to ja wypuściłem nań z podziemnej pieczary tego człowieka i dlatego nie mogę teraz świadczyć przeciw niemu.

— Masz słuszość...

— Ostatecznie jednak straciliśmy z oczu mordercę, który zapadł się jak pod ziemię. Mimo gorliwych poszukiwań nigdzie nie można go było wytropić. Identyczność jego z Jastroniem nie ulegała już dla nas najmniejszej wątpliwości. Wkrótce bowiem po tragicznym zajściu na moście Św. Floriana rozeszła się pomiędzy nadrzecznymi rybakami pogłoska o „powrocie” Jastronia „z dalekiej wyprawy”. Przekonałem się o tym pośrednio, przechodząc raz koło jego szatra nad Druczą. Drzwi budy były tym razem otwarte na oścież, a stos sieci w kącie pod ścianą zniknął bez śladu. Widocznie tajemniczy właściciel „letniska” wpadł tu na chwil parę, odbił swe mieszkanie i zabrawszy przybory rybackie, skwapliwie usunął się sprzed oczu ludzkich. Przeszukaliśmy parę razy z Wieruszem wszystkie zakamarki nad rzeką, zwiedziliśmy ponownie podziemia Druczy wzdłuż i wszerz, zaglądaliśmy do kilku podejrzanych spelunek odwiedzanych przez rybitwów — wszystko na próżno. Jastron szczeł bez śladu.

Wprawdzie kilkakrotnie wśród rozmów i pogawędek, którym przysłuchiwaaliśmy się pilnie w tych gospodach, obito się nam o uszy jego imię, lecz nie udało się wyłowić żadnych bliższych szczegółów co do jego osoby; solidarni „koledzy” odnosili się do obcych „panów” nieufnie i zachowywali znamienne dyskrekcję.

Tymczasem upłynął miesiąc wilegiatury Halszki. Wróciła z Bolestraszyc piękniejsza jeszcze niż zwykle i mocno za mną stęskniona. Na matowych jej policzkach zakwitł znów cudowny bladoróżowy zwiastun zdrowia, przeczysty lazur oczu pogłębił się i nabrał blasku. Uroda mojej dziewczyny zwracała powszechną uwagę, gdziekolwiek się pojawiała. Byłem dumny i szczęśliwy. Zazdroszczono mi jej i czułem, że słusznie.

Tak minęło parę miesięcy pogodnych i słonecznych jak dni lata. O Kamie słych zaginął. Od chwili „przebudzenia się” Jastronia nie dawała o sobie znaku życia.

Ustały nagle te namiętne *billets doux*, urwała się cała ta szalona korespondencja, pełna wybuchów namiętności, gwałtowna, despotyczna w swej miłosnej tyranii... Lecz Andrzej nie dowierzał.

— Dopóki nie zdobędziemy absolutnej i trwałej władzy nad Jastroniem, wszystko może powrócić, i to ze zdwojoną siłą — odpowiadał nieraz ze smutnym uśmiechem na moje facecje. — Pamiętajmy o tym, że istota, pod której wpływem pozostawałeś tak długo, jest jednym z duchów elementarnych; monady żywiołów, o ile zapragną ludzkiego trybu życia i ludzkiego kształtu, nie zniechęcają się tak łatwo byle czym i chętnie ponawiają próby powrotu do fizycznego planu.

— Jastroń przebudził się — powtarzałem z przekorą.

— Tak, lecz jako człowiek z krwi i kości wciąż musi ulegać prawom snu i spoczynku. A my, niestety, nie możemy czuwać nad nim w owych chwilach.

— Przypuszczam, że chyba nie ogarnie go tak prędko po raz drugi chęć mordowania kogoś na moście i nie wywoła w następstwie letargu.

— Ten warunek nie jest już teraz dla Kamy nieodzowny. Mimo wszystko ona ma silniejszy wpływ na niego niż my. Kto przez dwa lata z górą pozostawał z tym człowiekiem w stosunku psychofizycznej symbiozy, temu z natury rzeczy łatwiej niż komu innemu opanować go powtórnie. Obawiam się tego tym bardziej, że nie wiemy, gdzie właściwie teraz Jastroń przebywa.

— Właściwie cóż by nam przyszło z tego, gdybyśmy wreszcie go odnaleźli? Przecież trudno go więzić przez czas dłuższy.

Zapewne, lecz można wpłynąć nań w stosowny sposób, można wejść z nim w pertraktacje. Można by np. zaproponować mu, by przez pewien czas mieszkał pod naszą opieką, choćby tu u mnie, w tym domu.

— Hm... tak. To by było możliwe. Wiesz, ja bym się chętnie podjął tej misji — tylko w tym sęk, gdzie go szukać. Zagrzebał się gdzieś w jakiejś norze, jak na szczura wodnego przystało.

Wierusz zamyślił się. Po twarzy jego pociągłej, o ostrym, surowym profilu, przemknął cień wahania — rzadki u tego człowieka ze stali moment wewnętrznej rozterki. Lecz przemógł się szybko i patrząc mi w oczy ze zwykłym u siebie półsmutnym uśmiechem, rzekł:

— Znam tylko jeden sposób, który może naprowadzić nas na trop Jastronia: muszę użyć eksterioryzacji.

— Termin dla mnie niezupełnie jasny.

— Zrozumiesz w toku akcji. Lecz przede wszystkim postawię ci jeden zasadniczy warunek.

— Z góry obiecuję spełnić wszystko co do joty.

— Musisz sam rozmówić się z Jastroniem.

— Ależ owszem; proszę o to. Byłem go tylko odnalazł.

— Drogę wskaże ci przewodnik.

— Przewodnik? Kto nim będzie?

— Wędrowiec-pustelnik.

— Gdzie mam go szukać? Andrzej uśmiechnął się:

— Przyjdzie tu sam; poznasz go od razu. Za nim pójdiesz.

— A ty?

Na ustach Wierusza przewinął się ponownie szczególnie uśmiech:

— Ja pozostanę tutaj; będę oczekiwał twego powrotu tu w tym fotelu! Umieścisz mnie w nim, gdy zasnę.

— Dobrze. Czy mam cię zamknąć na klucz?

— Będzie to nawet rzeczą wskazaną. Mam dwa od drzwi na korytarz; jeden zostanie przy mnie, drugi weźmiesz z sobą.

— Kiedy?

— Zaraz. Tu masz klucz. Przyćmij lampę!... Tak! A teraz proszę cię, nie mów nic do mnie; potrzebuję bezwzględnie spokoju.

— Cofnąłem się dyskretnie w kąt pokoju i tu usiadłszy na sofie, nie spuszczałem zeń oczu. A on, przytknąwszy do ust pantakl pentagramu, symbolicznej miniatury mikrokosmosu, pocałował w czoło wyryty w jego środku wizerunek Wielkiego Hierofanta. Potem, wyciągnąwszy w dal rękę, z pochyloną kornie głową, zaczął monotonnym, śpiew muezina z galerii minaretu przypominającym głosem odmawiać inwokację setramu. W ciszy wieczornej dziwnie brzmiała ta śpiewna modlitwa, którą mag wzmacniał swe siły duchowe przed czynem. Zdawało mi się, że nagle znalazłem się daleko od zacisznego zakątka przy ul. Parkowej, gdzieś na złotych piaskach pustyni w godzinę zachodu, gdy słońce ogromne, czerwone zanurza już tarczę w fale morza, i że otoczony rzeszą wiernych wyznawców Allacha słucham wieczornych modłów namazu.

— Moce królestwa nieba i ziemi — modlił się Andrzej — bądźcie pod moją nogą lewą i w mej ręce prawej! Sławo i wieczności, dotknijcie obu mych ramion i skierujcie mię na drogę zwycięstwa! Miłosierdzie i sprawiedliwości, bądźcie równowagą i blaskiem mego życia! Mądrości i roztropności, uwieńczcie mą głowę! Duchy jasne, prowadźcie mię między kolumnami, na których spiera się ciężar chramu! Anioły sfer, utwierdźcie stopy moje na skalnym wiszarze otchłani! Cherubiny, bądźcie mą siłą w imię Przedwiecznego! Eony, walczyście w mej sprawie w imię tetragramatu! Serafiny, oczyśćcie mą miłość! Alleluja! Alleluja! Alleluja!

Głos maga słabł pod koniec setramu coraz bardziej, aż słów ostatnich domówił ledwo dosłyszalnym szeptem...

Podniosłem się z sofy i zbliżyłem ku niemu. Był w pełnym transie. Łagodnie ująłem go za ramiona i posadziłem w fotelu. Przyćmione abazurem światło skąpało w czerwonej topieli twarz jego cichą, skupioną i chude, nerwowe, bezwładnie wzdłuż poręczy opuszczone ręce...

Wtem z piersi, spod pach i z ust nie domkniętych śpiącego zaczęły wywiązywać

się mlecznobiałe taśmy materii. Gibkie, ruchliwe wstęgi otoczyły go wkoło, zakrywając głowę i tors. Na chwilę Wierusz zniknął mi z oczu wśród kłębow ektoplazmy...

Po pewnym czasie fluidyczny wysiłek zaczął zdradzać tendencje kształtotwórcze; zarysował się kontur głowy ludzkiej, rąk, tułowia i po paru minutach ujrzałem obok Andrzeja wyraźną już postać starca opartego bokiem o jego ramię. Twarz widziadła, poważna, szlachetna, o wyniosłym czole, z głęboką, pionową bruzdą nad osadą orlego nosa przypominała trochę fizjognomię śpiącego w fotelu, iecz nie była z nią identyczną — był to jakby Wierusz, lecz w stanie szczególnej transfiguracji.

Barki fantomu okrywał obszerny płaszcz pątniczy z kapturem z potrójną linią fałdów; w prawej trzymał starzec latarkę z płonącymi wewnątrz trzema knotami, w lewej laskę wędrowca z węzłami trzech sęków.

W pewnej chwili „przewodnik” odłączył się od Andrzeja i podniósłszy w górę latarkę, zaczął zmierzać ku wyjściu. Ubrałem się i wyszedłem za nim.

Było już ciemno. Wczesny, jesienny zmrok zalegał ulice. Starzec, uniesiony parę cali nad ziemią, płynął przede mną w powietrzu. Miałem wrażenie, że prócz mnie nikt go nie widzi; mijający nas w drodze przechodnie nie zwracali nań uwagi. Parę razy przesiąkł jak mgła przez pnie drzew w alei lipowej...

Po kilkunastu minutach znaleźliśmy się na moście. Uczułem mimowolny dreszcz grozy. Od czasu śmierci barona de Castro unikałem tego miejsca, przechodząc w razie potrzeby na drugą stronę Druczy innym mostem poniżej, koło urzędu celnego.

Przebywszy szczęśliwie fatalne przejście, skręciliśmy w stronę zadruczańskich bulwarów. Tu było prawie pusto. Gdzieniegdzie tylko zabłąkał się spóźniony furgon żołnierski w drodze od podmiejskich koszar lub przeszedł chwiejnym krokiem pijany włóczęga. Światła budek strażniczych, rozrzucone tu i ówdzie po brzegu stromym i skalistym, drgały na fali iglicami lśnień w barwach rubinu i szmaragdu. Jakiś rybak, powracający na łódce z wieczornego połowu, nucił smętną piosenkę w takt miarowy pluskającego wiosła...

Przewodnik szedł dalej. Skończyły się bulwary, opustoszała droga, przestały snuć się refleksy światła na wodzie. Posuwaliśmy się ścieżką zgłuszoną na poły kępami ostu i burzanów. W pewnym miejscu ścieżka skończyła się i przeszła w ubity twardo tok, w którego środku zamajaczyły zarysy budynku. Starzec stanął, otworzył szybkę latarki i zdmuchnął światło; po chwili postać jego rozwiązała się w przestrzeni bez śladu. Byłem na miejscu.

Odurzony bezwzględnością samotnością ruszyłem ku czerniejącemu przede mną o kilkadziesiąt kroków domowi. Była to stara, półzawalona rudera z powybijanymi oknami i zapadniętym w głąb dachem. Ani jeden promyk światła nie przedostawał się z wnętrza. Dom stał głuchy i czarny pośród głuchej i czarnej nocy...

Wydobyłem z kieszeni palta nieodstępną w nocnych wycieczkach lampkę elektryczną i rozświecając sobie drogę, zbliżyłem się ku drzwiom. Gdy na pukanie nikt nie odpowiedział, wywaliłem drzwi nogą i wszedłem. Pierwsza izba była zupełnie pusta; na podłodze szczerzącej się drapieźnie dziurami desek leżały tylko kupy gruzu i parę nadpalonych cegieł. Przekraczając wysoki próg izby sąsiedniej, potknąłem się i z trudem tylko zdołałem utrzymać równowagę. Światło lampki padło na jedną ze ścian i wytropiło parę wiszących na haku łachmanów. Odwróciłem się z obrzydzeniem i skierowałem spojrzenie w dół.

— Tu podłogi nie było już wcale. Na gliniastym klepisku, które zastąpiło jej miejsce, walały się stosy cuchnących szmat. Jakieś stare, błotem i skrzepem krwi ochlastane gałgany, plugawe ścierki i brudne flejtuchy drzemały po węglach w oprzędzy kurzu i pajęczyn. Piwniczna wilgoć szła od ścian odartych z tynku, zaduch stęchlizny bił z każdego kąta. Na trupieszających od lat szmatach odzieży mrowiło się robactwo: ohydne, białawoszare stonogi...

Wtem spoza drzwi wiodących do trzeciej z rzędu izby doszedł mię dźwięk metalu cichy, ale wyraźny. Puściłem guzik latarki, pograżając wszystko w ciemność. Wtedy przez szparę u dołu wpełznął z tamtego pokoju wąski pasek światła. Ktoś był za tymi drzwiami...

Z podniesioną do strzału bronią wszedłem. Była to przestrzeń niewielka, prostokątna, oświetlona łojówką. W kącie rozdarty barłóg, para krzesel, stół Nielitosciwie poszczerbiony i poplamiony, pod oknem duży kufer. Przy tym kufrze klęczał człowiek, wychudły jak Piotrowin, i liczył pieniądze. Czynność pochłonęła go tak zupełnie, że nawet nie zauważył mego wejścia i w dalszym ciągu z lubością przepuszczał przez piszczele palców złote i srebrne krążki. Dźwięk kruszcu mile łechtał jego ucho, bo wciąż nabierał garściami świeżych monet, potrząsał nimi jak dziecko na dłoni i pobawiwszy się ich chrzęstem, pozwalał im spływać wzdłuż palców w głąb kufra.

Były najrozmaitszego rodzaju i narodowości: masywne holenderskie guldeny, francuskie luidory i napoleony, hiszpańskie dublony, pesetas i srebrne duros, staropolskie dukaty i czerwienice, hinduskie rupie i tureckie piastry. Wypełniały kufer niemal pod wierzch lśniąca metalicznie powodzią. Zbiór przedstawiał wartość paru miliardów...

Namiętność tego nędzarza-bogacza bawiła mię, budząc zarazem uczucie wstrętu i litości. Denerwował mię bezmyślny i dziecięcy ruch jego chudych palców gmerających wśród złota, śmieszył i drażnił równocześnie skurcz jego rąk zanurzających się z rozkoszą w złoża szlachetnego metalu.

— Postanowiłem przerwać mu zabawę i chrząknąłem głośno. Zadrzał i odruchowo zatrząskując wieko, porwał się na nogi. Poznałem mordercę barona.

— Dobry wieczór, panie Jastron! — pozdrowiłem, nie spuszczając ku ziemi browninga.

W pierwszej chwili zdawało się, że się na mnie rzuci, lecz widok lśniącej lufy gotowej do strzału zatrzymał go w porę w przyzwoitej odległości. Na twarzy jego zawiędłej, przeoranej tysiącem namiętności, odbił się wyraz stłumionej gwałtem wściekłości i strachu. Czuł się wytropionym.

— Pan co za jeden?! — zapytał gburowato zgrzytającym jak stare zawiasy głosem. — Czego pan tu szuka po nocy?

— Ho, ho, panie Jastron, tylko nie tak gorąco i hardo! — upomniałem, zajmując miejsce przy stole. — Powolutko wszystko się wyjaśni. Czasu sporo przed nami — noc długa. Przede wszystkim niech się pan uspokoi i przestanie patrzeć na mnie jak wilk. Ja panu ani wróg, ani przyjaciel. Zwyczajnie człowiek. Nie przyszedłem tu ani rabować, ani na przeszpiegi. Jak pan widzi, nie jestem ani rzeźmieszkiem, jak np: pan, ani szpiclem policyjnym. No, cóż? Będzie pan grzeczny, panie Jastron?

— Skąd pan wie, że nazywam się Jastron? — odpowiedział trochę już łagodniejszym tonem. — Skąd pan mnie może znać, u licha? Niech mnie kaduk porwie, jeśli kiedy w życiu choć raz spotkał pańską gębę.

— Ciszej, kochany panie Jastron, ciszej i grzeczniej. Nie wyjeżdżaj zbyt z pyskiem, bo, jak mi Bóg miły, grzmotnę ze „spluwa”. A dobry jest i nigdy nie chybia... Skąd się znamy — chciałeś wiedzieć, kochanku? Zaraz ci powiem: z mostu Św. Floriana.

Informacja podziałała piorunująco. Wlepił we mnie przerażone oczy i zaczął bełkotać półprzytomnie:

— Most Św. Floriana... Nie, n-n-n-ie z-znam, n-ie by-byłem tam nnigdy...

— Pomogę pamięci — ciągnąłem, poprawiając się na krześle. — A tego jegomościa wysokiego, barczystego, który wyszedł ci wtedy naprzeciw późnym wieczorem na środku mostu, też nie pamiętasz, co?

Z piersi Jastronia wydobył się głuchy ryk;, podniósł ręce i szczerząc spróchniałe kły zębów, jak odyniec rzucił się ku mnie.

— Stój, bo strzelę!

Zatrzymał się tuż przede mną, dysząc ciężko.

— Usiądź tam przy stole po drugiej stronie, naprzeciw — rzekłem rozkazująco. Usłuchał pokorny jak baranek.

— Jak widzisz — mówiłem dalej, nie spuszczając go z oka — jesteś w moim ręku. Wiem wszystko o tobie, co potrzebne.

— Ile chcesz? — warknął zagryzając wąsa. Roześmiałem się głośno. Ten człowiek brał mnie oczywiście za szantażystę.

— Słuchaj, Jastron — tłumaczyłem mu, opanowawszy wesołość. — Powtarzam ci raz jeszcze, że nie przyszedłem tu po to, by coś od ciebie wyłudzić. Ja twoich pieniędzy nie potrzebuję. Zatrzymaj sobie swój plugawy skarb i ciesz się nim, jeśli

ci to sprawia przyjemność.

Nędznik odetchnął z uczuciem ulgi.

— Więc czego właściwie u kaduka pan chce ode mnie? — zagadnął już spokojniej.

— Chciałbym z tobą trochę pogawędzić.

— Nie mam czasu — odburknął.

— Jeśli nie masz czasu dla mnie teraz, to znajdziesz go więcej jutro pod kluczem przy ulicy Stromej. Hm... No, jakże? Będziesz ze mną teraz rozmawiał czy też wolisz rozmyślać za kratami?

— O co panu chodzi? — zapytał z rezygnacją.

— Zaczniemy od paru koniecznych informacji. Czy znasz nazwisko człowieka, którego miesiąc temu udusiłeś na moście Św. Floriana?

Jastroń popatrzył na mnie zaskoczony pytaniem.

— Tak. Dowiedziałem się z gazet; nazywa się baron de Castro. Ale skąd u diabła pan się domyślił tego, że nie wiedziałem, kogo morduję? Bo Bóg mi świadkiem — dodał, podnosząc uroczyście dwa palce do góry — że wtedy nie wiedziałem.

— Wiem o tym i wierzę ci na słowo. Tylko w takim razie wytłumacz mi, dlaczego właściwie rzuciłeś się na tego człowieka?

— Nie wiem — odparł bezradnie. — Nie wiem... Coś mnie pędziło o tej godzinie na most i kazało usunąć z mej drogi pierwszego napotkanego tam człowieka. To wszystko, co wiem o tej sprawie. Właściwie czuję się niewinnym.

— No, no — zobaczymy. Pomogę ci przypomnieć sobie pewne rzeczy, które twój czyn poprzedziły. Chyba musisz to jeszcze pamiętać, skąd wypadłeś na tę nocną wycieczkę, co?

— No, tak — pamiętam — odpowiedział ponuro.

— Przebudziłeś się i poszedłeś, by wykonać swój zamiar.

— Przebudziłem się... — powtórzył z namysłem. — Przebudziłem się...

— Czy wiesz, jak długo spałeś w podziemiu?

— Nie.

— Przeszło dwa lata.

Zerwał się z miejsca i osłupiałym wzrokiem błędził po mej twarzy.

— To nie może być — szepnął wodząc dłonią po czole. — Nie może być... Przez te dwa lata mnie tu w tych stronach nie było...

— A gdzie właściwie obracałeś się przez cały ten czas? — zapytałem z zainteresowaniem.

— Nie potrafię panu tego dokładnie powiedzieć. Byłem w jakimś obcym kraju, wśród nieznanymi ludzi... Wszystko widzę dzisiaj jak przez mgłę... A może... a może to był naprawdę tylko sen, długi, dziwny sen?...

— Przypuśćmy, że istotnie „wyjechałeś” stąd, przypuśćmy... Czy zapamiętałeś

sobie przynajmniej te szczegóły z twego życia, które bezpośrednio poprzedziły tę „podróż”?

— Szczegóły? — zapytał zakłopotany. — Nie rozumiem.

Niech pan mówi do mnie po prostu.

— Innymi słowy: czy pamiętasz, co robiłeś mniej więcej dwa lata temu tuż przed owym „wyjazdem” w „obce” strony?

Zmarszczył czoło i ściągnął ostre, silnie zarysowane łuki brwi. Znać było intensywną pracę przypominania.

— Czy nie nosiłeś się wtedy z jakim zamiarem? Może ci kto wszedł w drogę, ktoś mocno niewygodny? Może miałeś wtedy z kim przedawnione rozrachunki?

W oczach Jastronia zaświtało ponurym brzaskiem.

— Derkacz — rzekł chrapliwie. — Derkacz...

— Kto to taki?

— Towarzysz po zawodzie.

— Aha — domyśliłem się — współnik wypraw nocnych na Druczy, co?

— Niby tak.

— Wiedział o tobie za dużo i za często przychodziło ci się dzielić z nim „zarobkiem”?

— Coś w ten deseń — uśmiechnął się zjadliwie.

— Pewnego wieczora... — poddałem mu, ułatwiając wyznania.

— Pewnego wieczora — podchwycił Jastron, opanowawszy już całkiem wspomnienia — umówiłem się z nim o schadzkę.

— Hm... — chrząknąłem — mieliście się zejść na moście Św. Floriana.

— Właśnie. Koło dziewiątej wieczorem. I wtedy powziąłem zamiar...

— Rozumiem. Postanowiłeś usunąć go z drogi.

— He, he, he! Pan bardzo domyślny!

— Mniejsza o to. Tymczasem zasnąłeś.

— Zasnąłem?... — wytrzeszczył na mnie oczy.

— W każdym razie nie zabiłeś Derkacza.

— Nie. Gdzieś mi szeszł bez śladu.

— Miał dobry węch. Musiał coś przeczuwać.

— Może... Ale dlaczego właściwie pan mi to wszystko przypomina?

Pytanie było szczere i naiwne. Widocznie nie ujmował związku pomiędzy obiema sprawami. Lecz nie mając zamiaru wtajemniczać go w psychologiczny kompleks, jaki istniał w jego własnej duszy, odpowiedziałem obojętnie:

— Prosta ciekawość i nic więcej. Chciałem tylko stwierdzić prawdziwość swoich domysłów. Zresztą nie przystąpiliśmy dotychczas do właściwej rzeczy, która mnie tu sprowadza.

— Czego pan jeszcze chce ode mnie? — zagadnął znów niechętnie.

— Zaraz się dowiesz. Tymczasem zapalmy sobie papierosa.

— A i owszem.

I wyciągnął rękę ku mej papierośnicy.

— Za pozwoleniem — wstrzymałem go gestem — nie miałem zamiaru częstować cię. Za mało się znamy.

I zapaliwszy sam, schowałem papierośnicę do kieszeni.

— Obejdzie się — odburknął upokorzony. — Mam własne lepsze.

I wydobywszy z zanadru misternie emaliowane turkusem puzderko wypełnione szczelnie dwoma szeregami papierosów, wyjął jeden i zapalił. Przez chwilę milczeliśmy, zaciągając się dymem tytoniowym. Przerwałem pierwszy milczenie:

— Czy nigdy przedtem nie zapadałeś w sen, który trwał dłużej niż u innych ludzi?

Pytanie wydało mu się śmieszne.

— He, he, he! Nigdy. Niby dlaczego? Przeciwnie: śpię nieraz krócej niż inni. Bywało, letnią porą czasem noc całą człek oka nie zmruży przy robocie.

— No tak. Zostawmy to... A czy od czasu tej przygody na moście nie przytrafiło ci się ani razu coś podobnego do tego, co ci się zdarzyło przed dwoma laty?

— Nie wiem, o co panu właściwie idzie.

— Czy ani razu nie zdawało ci się w ciągu ubiegłego miesiąca po przebudzeniu ze snu, że wędrowałeś gdzieś w obcych stronach?

— Aha — odrzekł po chwili — o to chodzi... Nie... nie — ani razu.

— A może zauważyłeś coś niezwykłego w czasie snu?

— Hm... Niby pyta mnie pan o moje sny, co?

— Tak. Może pamiętasz jakiś obraz, zdarzenie, czyjąś twarz?

— We śnie?

— No tak. Może coś ci się w nim ciągle powtarza? Przez oczy Jastronia przesunął się cień niepokoju.

— Skąd pan to wszystko może wiedzieć? — zapytał szczerze zdumiony. — Mówi pan tak, jak gdyby pan we mnie siedział... W samej rzeczy prześladowe mnie we śnie noc w noc od kilku tygodni ten sam zwid.

— Jaki?

— Śni mi się duża żółta jaszczurka w czarne cętki. Wyłazi z nory jakiejś zapadłej piwnicy, przypełza ku mnie i pcha mi się do ust. Brr...

— Ciekawy sen!

— Obrzydliwy! Odtrącam rękami natrętny pstrokaty łeb, bronię ciała mego od jej dotknięcia. Brrr... Oślizgła jest i mokra...

— Co dalej?

— Dalej? Ano nic. Tak schodzi mi noc. Czasem męczy mnie ta zmora godzinami.

— Otóż widzisz, Jastroń — mógłbym cię od niej uwolnić.

— Od tej jaszczurzycy?

— Tak. Miałbyś odtąd spokojne noce. Musisz tylko spełnić jeden warunek; przyszedłem tu właśnie po to, by ci zrobić pewną propozycję...

Zanim zdołałem dokończyć, rozległ się w pobliżu przeraźliwy huk i wśród kłębow dymu wtargnęły do wnętrza czerwone kędziory ognia. W jednej chwili izba napełniła się duszącym swędem spalenizny. Gęsty dym zaciągnął wszystko brudnoszarą płachtą, poza którą znikł mi z oczu Jastroń i otoczenie. Po rękach i twarzy lizwały mię jęzory żywiołu, w piersiach i gardle czułem nieznośną suchość i zgagę. Rozpalona rękojeść browninga piekła mię w dłoń i palce. Więc wypuściłem z ręki broń, która padając wystrzeliła. Zaczęło tlić się na mnie ubranie...

Na osłep, dusząc się od dymu i swędu, dopadłem okna i wybiwszy pięścią szybę, wyskoczyłem na zewnątrz. W tym momencie doszedł mię złowrogi trzask przepalonych belek pułapu...

Świeży powiew mocnego wiatru przywrócił mi gasnącą przytomność. Odetchnąłem i obejrzałem się na płonąca ruderę. Wtedy z nieopisanym zdumieniem spostrzegłem, że pożar ustał. Przede mną czernił się znowu martwy i głuchy kontur domu; dym i płomienie wsiąkły gdzieś bez siału. Zajrzałem przez wybitą szybę w głąb trzeciej izby. Było ciemno tam wewnątrz, choć oko wykol; najłżejszy szmer nie przerywał ciszy. Więc obszedłem zagrodę wokoło, by po raz drugi wejść ze światłem do środka. Lecz nie znalazłem teraz już nikogo. Jastroń zniknął. Tylko na podłodze leżał mój wystrzelony browning i niedopałek mego papierosa.

Podniosłem broń i obejrzawszy naboje, schowałem do kieszeni.

— Wymknął mi się powtórnie — mruknąłem, zawracając zły i zbity z tropu ku wyjściu.

Już na progu odwróciłem się raz jeszcze, by po raz ostatni obrzucić spojrzeniem to miejsce przekłete i ten dom. Światło mej latarki padło na trójkątny przyczółek dachu i oświetliło jego godło. Brzmiało charakterystycznie: „Gospoda pod Miętusem”. — Budynek był szczątkiem dawnej rybackiej austerii...

Kukła

W trzy dni po nieudanej wyprawie do zagrody „Pod Miętusem” otrzymałem list od Kamy. W formie bezwzględnej, posłuch absolutny nakazującej, naznaczała mi schadzki w domu przy ulicy Parkowej.

W pierwszej chwili chciałem natychmiast skomunikować się z Wieruszem i zasięgnąć jego rady; potem zmieniłem zamiar. Żądza zobaczenia choćby raz jeszcze tej dziwnej istoty wzięła górę nad rozważą i sumieniem; nie mogłem się oprzeć pokusie. Obrazy przeżytych z nią chwil, chwil niezwykłych, jedyńskich, powróciły w szkarłacie wspomnień i złamały mą wolę. Poszedłem...

Poszedłem i nie żałuję — mimo wszystko, co potem przyjsć miało, nie żałuję. Jestem głęboko przekonany, że żadna kobieta na świecie nie potrafiłaby dać mi tej pełni rozkoszy, jakiej doznałem wtedy w ten wieczór — w ten nasz ostatni, pożegnalny wieczór. Jakby w przeczuciu, że nigdy się już więcej nie zobaczymy, zapragnęła w godzinę rozstania utrwalić mi się w duszy niezatartym wspomnieniem. I dopięła celu. Nie zapomnę jej nigdy!

Wicher miłosnego szału, który w tę noc miotał nami w pożodze krwi i zapamiętania, przepalił mi ciało i spopielił duszę. I dziś jestem jak wygasły krater wulkanu...

O Jastroniu i Andrzeju nie mówiliśmy wcale. Nie wspominała o nich ani razu w ciągu krótkiej, upalnej nocy. Usta jej pełne, soczyste jak winogrodziny nabrzmiły treścią jesieni, miały dla mnie tylko pieśczętę — nie wyszło z nich ani jedno słowo wyrzutu lub skargi...

Gdy nad ranem, wyczerpany rozkoszą i bezsennością, leniwym krokiem przechadzałem się po pokoju, wzrok mój padł na woskową figurkę umieszczoną pod szklanym kloszem na kominku. Coś mię zastanowiło w twarzyczce kukły, zresztą śmiesznej i karykaturalnej — jakiś rys skądś mi— znany. Korzystając z chwilowej nieuwagi Kamy, która rozczesywała w lustrze swe bujne, rude warkoczki, podniosłem klosz i wyjąłem figurkę. Wtedy spostrzegłem, że wyobraża kobietę i że głowę jej zdobią jasne, popielato-blond włosy. Z dreszczem nieokreślonej trwogi poznałem je po barwie i ciepłym, metalicznym odcieniu; były to włosy Halszki Grodzieńskiej...

Bez namysłu schowałem kukłę do wewnętrznej kieszeni zakietu... W parę minut później pożegnaliśmy się.

Zamyślony zeszedłem w dół schodami. U wyjścia odwróciłem się, by przekonać się, że i tym razem zaszła szczególna metamorfoza miejsca. Byłyżby fikcją mego chorego mózgu te schody obite czerwonym kobiercem i ten koryncki krużganek?...

Byłażby nią i moja demoniczna kochanka?...

Następstwa odnowienia stosunku z Kamą były fatalne. Wkrótce po mej ostatniej

schadzce w domu Wierusza zaczęła Halszka skarżyć się na gwałtowne bóle w całym ciele. Przychodziły nagle, ni stąd, ni zowąd, i trwały nieraz przez parę godzin z rzędu bez przerwy, pozostawiając po sobie jako ślad ogromne wyczerpanie. Biedna dziewczyna moja wyszczuplała w przeciągu kilku dni w sposób zatrważający; na twarz jej pożółkła nagle i wyciągniętą przez cierpienie wystąpił ceglasty rumieniec, w oczach płonęły trawiące ognie gorączki. Sztuka lekarska okazała się znów w tym wypadku bezradną. Przyzwani do łóżka chorej wybitni interniści, dr Biegański i Mokrzycki, stanęli wobec problemu nie do rozwiązania. Stwierdzili wprawdzie, że organizm panny Grodzieńskiej zdradzał zagadkową przemianę krwi, lecz przyczyny choroby i środków zaradczych podać nie umieli. Zrozpaczony uciekłem się ponownie do pomocy Andrzeja...

Było w same południe 24 czerwca r. 1910. Straszliwa, biała od blasków słońca godzina trwa wciąż niezmiennie na zegarze mego życia...

Pamiętam, jak młode, zielone gałązki modrzewi pozdrowiły mię po drodze u wejścia do parku, jak przefrunęła miimo para ślicznych dzieci w pogoni za obręczą, jak zaczepił mię biedny kamlot z pękiem gazet pod pachą. Takie drobne, takie śmiesznie błahe szczegóły — a jednak — a jednak ktoś mi je kazał zapamiętać na zawsze. Silny, przejaskrawiony do barw obłędu obraz zdarzeń, które miały wnet potem nastąpić, rzucił otęcz promieni na wszystko, co je poprzedziło, i wciągnął w krąg swój magiczny szczegóły uboczne... Gdy wchodziłem w próg domu Andrzeja, biła dwunasta.

Przyjął mię z chmurą na czole i wyrzutem w oczach. Nie mówiliśmy nic o Kamie, chociaż z zachowania się przyjaciela poznałem, że wiedział o wszystkim.

— Musisz koniecznie raz jeszcze widzieć się z tą wiedźmą — rzekł po wysłuchaniu mej relacji i jej stanie zdrowia

— Po co? — zapytałem przygnębiony.

— Ona musi mieć u siebie coś, co należało dawniej do Halszki: jakiś przedmiot, może wstążkę do włosów, może coś z ubrania. Musisz to jej stanowczo odebrać, rozumiesz? Odebrać i oddać natychmiast w moje ręce.

Nagle przypomniałem sobie woskową kukłę. Dziwna myśl przemknęła przez głowę.

— Zdaje mi się, że ta figurka może ci się na coś przydać.

Wydobywszy z kieszeni lalkę, podałem ją Andrzejowi:

— Znalazłem to u niej na kominku pośród cacek buduarowych. Włosy tej kukły należą niewątpliwie do Halszki: jest to ten sam jasny, bezcenny pukiel, który zgubiłem wtedy, w noc sabatową. Pamiętasz?

— Pamiętam — odparł, biorąc skwapliwie do ręki woskowy odlew. — Pamiętam — powtórzył ciszej, oglądając figurkę starannie ze wszystkich stron. — Mówiłeś mi o tym swego czasu; już wtedy zrodziło się we mnie podejrzenie, że owa „zguba” nie jest czymś przypadkowym.

Umieścił sobie kukłę na dłoni i zapytał, uśmiechając się zagadkowo:

— Czy wiesz, kogo ta figurka ma wyobrażać?

— Nie.

— Twoją narzeczoną.

— Wolne żarty.

— Mówię całkiem serio. Przy podobnych praktykach nie chodzi bynajmniej o podobieństwo rysów i postaci; kształt odgrywa tu rolę podrzędną — rozstrzyga intencja, zamiar. Lalka — to tylko symbol, to tylko taki sobie znak algebraiczny, wprowadzony w miejsce osoby, której się chce zaszkodzić. Wystarczy, jeżeli operujący nim czarny mag powie sobie, że oznacza ona pewne ściśle określone indywiduum. W naszym wypadku usuwają wszelkie wątpliwości co do intencji owe włosy, które rozpoznałeś.

— Tak; to jest pukiel włosów, który zginął mi wraz z medalionem.

— Pi, pi, pi! — zawołał nagle Wierusz, przybliżając do oczu ręce lalki. — Oglądałeś te palce?

— Istotnie zdumiewające! Nie brak nawet paznokci. Co za precyzja w wykonaniu!

— Raczej dokładność i gruntowność. Czy wiesz, czyje te paznokcie?

— Przypuszczam, że sztuczne, zrobione z jakiejś masy.

— Ja, przeciwnie, sądzę, że też należą do Halszki. Kama musiała je zdobyć w jakiś sprytny sposób.

Słowa Wierusza rozdarły ostrym błyskiem przypomnienia półcień chwil ubiegłych.

— Poczekaj — rzekłem, trąc czoło — coś sobie przypominam... Aha!... Mam! Halszka wspominała mi raz, może miesiąc temu, o jakiejś dziadówce, która zastała ją na werandzie przy porannym manicure...

— A zatem miałem słuszność.

— Ale jaki właściwie związek ma to wszystko z chorobą Halszki?

— Bardzo prosty i wyraźny. Wskutek włączenia w organizm tej woskowej figurki włosów i paznokci rywalki zawiązała Kama między nią a jej sobowtórem-kukłą astralny stosunek sympatii i wzajemności. Mając w swej mocy tak spreparowaną lalkę, uzyskała tym samym władzę niemal absolutną nad ciałem Halszki.

— Rzecz nie do wiary! Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, biedna dziewczyna jest zgubioną! Ale, nie, nie! To przecież niemożliwe! W jaki sposób posiadanie czyichś włosów lub paznokci może oddać władzę nad nim komukolwiek?

— Komukolwiek — nie; tylko temu, kto obznajmiony jest z arkanami czarnej magii. Pamiętaj o tym, że każda, choćby najmniejsza drobina naszego ciała, co więcej, każda, choćby krótko przez nas noszona, część ubrania, nawet jakikolwiek przedmiot wzięty przez nas przelotnie do ręki, przepojony jest w większej lub

mniejszej mierze naszymi fluidami. Na wszystkim, czego się tylko tknie, pozostawia człowiek po sobie ślad swego astrosomu. W momencie kontaktu odrywa się od nas coś z przenikającej nas na wskroś psychofizycznej aury i przywiera do rzeczy dotkniętej. Osobniki hiperwrażliwe umieją nieraz wyczuć szczątki astralnych pozostałości na ubraniach lub przedmiotach, które należały do ludzi zmarłych nawet przed kilkunastu laty.

— Astralne remanenty — szepnąłem zamyślony.

— Tak. Im to właśnie zawdzięczamy cały szereg zjawisk z zakresu tzw. psychometrii.

— Przypuśćmy tedy, że rzeczywiście udało się Kamie wytworzyć w ten sposób ów szczególny związek między łątką a Halszką — cóż stąd? Dlaczego to miałyby u niej wywołać objawy chorobliwe?

Zamiast odpowiedzi Andrzej przybliżył mi do oczu kukłę.

— Widzisz te otworki porozrzucane w rozmaitych punktach ciała woskowej pałuby?

— Hm. Istotnie. Wyglądają jak dołki i rowki, powstałe od nakłucia szpilką.

— Właśnie. To są ślady magicznej operacji, przedsięwziętej przez Kamę w celu zniszczenia znieawidzonej rywalki.

— To niemożliwe! To nonsens!

— To fakt nie ulegający dla mnie wątpliwości. Jest rzeczą dowiedzioną od dawna, że wszelka rana zadana takiej kukle odbija się straszliwie wiernym echem na ciele jej pierwowzoru. Kama, nakłuwając szpilką woskową tę lalkę, tym samym zadawała na odległość niewidzialne rany Halszce.

— To szaleństwo i zabobon! — krzyknąłem wzburzony. — To przesąd niegodny człowieka XX wieku! — Ty się mylisz, Andrzeju!

— Mówię prawdę. Operacja czarnoksięska, chociażby była zabobonna i nacechowana szaleństwem ciemnoty, bywa mimo to niejednokrotnie skuteczną i cel swój zgubny osiąga, o ile jest realizacją silnej, skoncentrowanej w sobie woli. Narzędzie, którym się mag przy swych praktykach posługuje, jest tylko symbolem wielkiego czynnika magicznego, który pod wpływem złej woli operatora zamienia się w trujący wicher astralny. Biada temu, w którą stronę skieruje on swe zabójcze prądy!... Magia czarna jest w istocie swej kultem szatana, jest znieawidzeniem Dobra spotęgowanym do granic obłądnego paroksyzmu. Jest to stek świętokradztw i zbrodni, których celem znieprawienie do gruntu woli i natury ludzkiej, a ideałem przekształcenie człowieka w ohydny koszmara demona!

— Namiętny ton, jakim Wierusz wypowiedział ostatnie słowo, sprawił na mnie wrażenie; czułem, że moc jego przekonania zaczyna mi się udzielać.

On tymczasem zdjął z półki bibliotecznej parę starych, w pomarańczowy safian oprawionych tomów i rozłożywszy je przede mną na stole, mówił:

— Znany był ten straszliwy proceder już jednemu z najstarszych ludów na

ziemi, tajemniczemu szczepowi Akkadów w Azji, znali go starożytni Hindusi, Żydzi, Egipcjanie i Grecy; rozpętał się też istną orgią szału i zbrodni w ponurym średniowieczu. Znasz tę książkę? — zapytał nagle, podając mi gruby, drobnym gotykiem wypełniony foliał.

— *Johannis Baptistae Porta Magiae naturalis libri XX* — odczytałem stronicę tytułową.

— Niezwykła książka — mówił Wierusz, z pietyzmem przerzucając karty. — Jedno z podstawowych dzieł starszego okultyzmu. A oto masz ponurego Glanvilla i jego *Sadducismus triumphatus* — księga dziwna jak szaleństwo i groźna jak wizja opętanego. Obaj ci ludzie, lubo rozdzieleni czasem, narodowością i przestrzenią, wierzyli mocno w potęgę czarów i kult szatana.

Wzięłem do ręki ciężki, w pergamin ujęty tom, z winietą przypominającą genialny cykl fantazyj Goyi pt. *Caprichos*.

— Cóż to znów za książka?

— To Del Rio i jego 6 ksiąg *Badań magicznych*. A tuż obok *Pseudomonarchia demonów* i *Zwodnicze majaki szatańskie* jednego z najfanatyczniejszych tępicieci satanizmu i czarownictwa w Niemczech, Jana Wiera. Znajdziesz tu i niesamowitą *Demonomanię magów* mistrza Bodina, i Remigiusza z Lotaryngii *Demonolatrię*, Hieronima Cardanusa *O różnorodności rzeczy* i Tomasza Campanelli *O istocie rzeczy i magii*. Żaden z nich nie wątpi w skuteczność astralnych projekcyj na odległość, chociaż w miarę postępu wiedzy i badań nad naturą ludzką przyjmują one u każdego coraz to inną nazwę. Lecz istota przejawu pozostaje ta sama: zła, występna i tajemnicza.

— Dlaczego jednak dzisiaj nie słyszy się o podobnych praktykach?

— Mylisz się, Jerzy. Dziś dzieje się to samo, lubo rzadziej i w zmienionej formie. Czy nie słyszałeś nic o doświadczeniach wybitnego psychiatry francuskiego Boiraca i jego *Psychologie inconnue*? Lub o eksperymentach pułkownika de Rochas?

— Coś sobie przypominam. Podobno ten ostatni pisał o eksterioryzacji wrażliwości?

— Właśnie o to chodzi. Doświadczenia jego i Boiraca z nakłuwaniem powierzchni wody w szklance, na którą przeniesiono w części otoczkę wrażeń pacjenta, znane są dziś już powszechnie wśród psychiatrów i neurologów.

— Byłyżby te zjawiska współmiernymi z gusłami półobląkanych histeryczek średniowiecza?

— Niewątpliwie — tylko bez przymieszki demonizmu. I u nas, w Polsce, istnieje jeszcze po dziś dzień między ludem wiara, że za pomocą odlewanych figurek z wosku lub ołowiu można czarować. O tym świadczy przedmowa do klasycznego pod tym względem dzieła z XVII w. pt. *Czarownica Powołana*. Podobnie mówią akta kryminalne miasta Poznania z r. 1544 o spaleniu żywcem na

stosie za czary Doroty Gnieczkowej, która na prośbę pani Kierskiej „lała воск na wodę, dochodząc do tego, kto jej był pieniądze ukradł. A lejąc ten воск, mówiła była te słowa, odmówiwszy przódzi trzy pacierze: — Poszła była miła Panna Maria; czekał Ją Syn Boży i pyta: — Gdzie idziesz, Matuniu moja miła? — Idę, mój miły Synu, zamawiać tego złodzieja, który uczynił złość tej pani. — Zamawiaj, Panno Czysta, Swoją mocą boską, mocą wszystkich Świętych Pańskich i moją mocą, iżby tu stanął ten człowiek, który wziął te pieniądze, w imię Ojca i Syna i Ducha Św. Za tymi słowy, gdy też już воск wylała, ukazał jej się służebnik pani Kierskiej, który pieniądze namienione był ukradł, jakoby palec, w tejże postaci, w której prawie był, a przy nim duże gromady pieniędzy; a on po nie sięgał i ze dwa razy tę pieniądze brał”.

— Zastanawia świętokradcze kojarzenie osób świętych z praktyką czarodziejską.

— Rzeczywiście. Podobne próby wciągania żywiołów przejętych z kultu chrześcijańskiego w świat guseł i procederów czarnoksiężskich spotykamy nierzadko w rocznikach naszego okultyzmu. Są to objawy religijnej perwersji, której szczytem cześć dla Szatana i czarna msza.

— Czy słyszy się cośkolwiek o operacjach tego rodzaju związanych z postaciami historycznymi?

— Owszem. Właśnie wspomniany przeze mnie Del Rio, którego *Disquisitiones magicae* przed chwilą oglądałeś, mówiąc o tajemniczej śmierci króla francuskiego, Karola IX, utrzymuje, że zginął on wskutek tzw. przebicia in effigie, dokonanego przez heretyków z zemsty za prześladowanie ich wiary. — Nasz poczciwy Benedykt Chmielowski tak opisuje ten proceder w swych *Nowych Atenach*: „Heretycy więc takich znaleźli czarnoksiężników, którzy portret jego, alias osobę uformowawszy z wosku ad instar króla, ten portret potem różnymi kłuli instrumentami to w głowę, to w bok, to w serce, to w nogi; a król żywy w tych samych członkach w te same czasy nieznośne ponosił boleści przez najdoskonalszych nie uśmierzone medyków”.

— Przyznasz jednak sam, że chyba niepodobna w tych sprawach zastaniać się „powagą” autora *Nowych Aten*?

— — apewne. Zresztą przytacza on opinię cudzą, nie własną. Poza tym rzecz była zbyt głośna w swoim czasie i nie stanowi faktu odosobnionego. Mógłbym ci podobnych wypadków naliczyć tysiące. W Anglii np. wydano za Henryka I specjalne ustawy karzące takich odlewaczy woskowych figurek, znanych wtedy pod nazwą *vultivoli* lub *vultuarii*. Również Walter Scott w jednym ze swych listów o demonologii mówi, że w Szkocji przypisywano śmierć króla Duffusa przebiciu jego wizerunku odlanego z wosku.

— Rzecz wygląda tak fantastycznie, że trudno uwierzyć. Słucha się tego wszystkiego jak opowieści wylęgłej w mózgu naiwnym i przewrotnym zarazem.

Podziwiać tylko się musi złośliwość inwencji.

— Demanizrn natury ludzkiej przyobleka najdziwaczniejsze kształty i formy. Ponura groza, wiejąca z obrzędów niektórych ludów pierwotnych, kojarzy się w zagadkowy sposób z humorystyką ekspresji i stwarza niesamowity stop, który nazwano groteską. Z otchłani życia wyglądają ku nam od czasu do czasu dziwnie uśmiechnięte maskary.

— Śmiech i groza — szczególne połączenie!

— Szczególne, a tak przecież częste. Czyż to nie charakterystyczne, że trupie głowy są zawsze uśmiechnięte? Opuścił głowę i przez chwil parę siedział pogrążony w zadumie.

— Symbolika guseł ludowych — podjął po czasie — pełna wewnętrznej treści i znaczeń, kryje zarodki głębokiej, filozofii. Trzeba tylko umieć odczytywać te znaki...

Wyciągnął rękę po ciężki foliał in quarto w wiśniowej oprawie, zamknięty na miedzianą klamrę.

— Moje ukochane dziwadła! — ciągnął dalej, otwierając księgę. — Oto żmudnie zebrane przeze mnie najstarsze polskie książki i pisma czarnoksięskie. Przeczytaj!

— Czarnoksięgu Polskiego ręką Andrzeja Wierusza, adepta Wiedzy Tajemnej, sporządzonego ksiąg pięcioro, czyli Polski Pentateuch Czarodziejski.

— Czytaj dalej!

— „Księga pierwsza: Postępek prawa czartowskiego z roku Pańskiego 1570. — Księga wtóra: Stanisława Poklateckiego Pogrom czarnoksięskich błędów, latawców zdrady i alchemiczne fałsze z r. Pańskiego 1595. — Księga trzecia: Thesaurus Magicus z r. 1637. — Księga czwarta: Czarownica Powołana z r. 1639. — Księga piąta i ostatnia: Appendix, czyli przepisy i recepty czarodziejskie zbieranej drużyny”.

— A teraz poszukaj na stronicy 323!

— Jest.

— Czytaj od trzeciego wiersza z góry!

— „Przepisy w materiej używania czarodziejskiej kukły : homunculus cereus alias człowiekiem woskowym zwanej”. — Charakterystyczny nagłówek!

— Co dalej?

— „Skoro już w homunculusa onego stworzonego na obraz a podobieństwo upatrzonej ofiary włosy tejże za.czynisz albolli zęby, wtedy łuk przygotuj. A łuk ten winien być z tarniny, a cięciwę mieć z włosów kozła, zasię strzały z ości rybich lub gwoździ podkowy. Gdy tedy człowieczka omego i łuk tarninowy nadobnie przysposobisz, czekajże cierpliwie konstelaczej Saturna libo Marsa.

A skoro figury one wrogie na niebie zaświtają, łuk napnij i strzałę wypuść w pierś kukły serdeczną...”

— Clausura nigromanticae — objaśnił Wierusz. — Jakby wyjęta skądś z Paracelsa. Przerzuć dwie kartki i czytaj dalej!

— „W noc cichą, w noc księżycową zwierciadło weź panieńskie, zwierciadło, co odbiło już nieraz kraśne lico, i zanurzywszy w kadź z wodą, obróć gładzią ku światłu. A gdy już księżyc wszędzie i w głąb kadzi zajrzy, rzuć na zwierciadło owo wieniec ze strzępów koszuli skalanej krwią dziewczki, co chorobę przebywa miesięczną. Wieniec ten, gdy się już światłem księżycyca nasyci, na głowę włóż kukle...”

— Fragment bez końca.

Obróciłem znów kartę i czytałem dalej:

— „Rozdział 10. — Praktyki czarnoksięskie ludu na Kujawach w wieku XVII. —...Jeśli tedy kogo tobie niemiłego na zdrowiu uszkodzić zapragniesz, ulepże przódzi z wosku libo z gliny świeżej łątko małe, kształtem a posturą człeka onego przypominające, któremu choróbko

zadać chcesz, a ulepiwszy, włosów parę jego spod pachy libo zęb jego, libo paznokiet w przydatku zaczyn... Potem z członków figurynki anej mierę bierz nitką unurzana w miazdze z rozduszonego pająka i mierę ową przywiąż do szyi żabie albolu leciwej ropusze, co ją w sadzie swoim

najdziesz. A skoro już mierę na szyi jakoby pętlę zawieszisz, przekłujże żabie oko igłą, (którą szyto przódzi żgło dla człeka zmarłego... Wierę w tydzień najdalej wróg twój serdeczny ciężko zaniemoże...”

— Czy nie dostrzegasz w tej naiwnie złośliwej recepcie czegoś w rodzaju metody sympatycznej? — zapytał, uśmiechając się pobłaźliwie, Andrzej.

— Rzeczywiście: ciekawy związek między kukłą, zwierzęciem i ofiarą.

— Jeżeli chcesz wiedzieć coś o homeopatii magicznej względnie o tzw. magia contagiosa, czyli magii zakaźnej, posłuchaj, jak brzmi najbliższy z kolei przepis:

— „Przywiąż homunculo do szyi szmatę przepojoną krwią chorej niewiasty i ochłap ścierwa ze świni lub zarażonej owcy, a przywiązawszy, miarę przyłóż z nici czarami uświęconej. Wrychło ciało tego, na czyją intencją homunculus ulepion został, pokryje się wrzodami i zmarnieje...”

— Jeżeli wszystkie te szatańskie zabiegi choć w części osiągały kiedykolwiek zamierzony skutek, a nie są tylko wytworem obłąkanych mózgów, dobrze zrobiłem, usuwając tę kukłę ze sfery wpływów Kamy.

— Niezawodnie. Kama jest tym groźniejszym przeciw. niklem, że zbrojnym w wysoką inteligencję i wtajemniczonym w arkana wiedzy magicznej. Mylisz się jednak zasadniczo, jeżeli przypuszczasz, że figurka ta wyszła już poza linię jej „magicznego obstrzału”!

— Przecież jest w naszych rękach!

— To nie zmienia sprawy. Mimo wszystko Kama pozostaje z nią ciągle w astralnym kontakcie i przez nią może w dalszym ciągu szkodzić Halszce.

Opuściłem bezradnie głowę.

— Co robić zatem? Czy nie ma już ratunku?

— Owszem, lecz musisz zgodzić się na ewentualną „śmierć” Kamy.

— Śmierć?

— Śmierć względnie powrót w dziedzinę żywiołu, z którego pochodzi.

— Wybieram to drugie.

— Niestety, wybór nie od ciebie zależy.

— Więc od kogo?

— Od tego, w jakiej formie bytowania znajduje się Kama w chwili obecnej. Jeżeli znów opanowała astral Jastronia i jest kobietą, musi zginąć — jeżeli zaś jest znów tylko salamandrą, dozna prawdopodobnie tylko czasowego wstrząśnienia na drodze magicznej, a powrót w ludzkie ciało zostanie jej uniemożliwiony na wieki.

— Czyń więc, jak sam uznasz za stosowne.

— Dobrze zatem. Lecz uprzedzam, że walka, którą podejmujemy w tej chwili, jest rozstrzygającą i dlatego ryzykowną; narażamy życie obaj.

— Jestem gotów oddać je za życie Halszki. Zbyt ciężko Względem niej zawiniłem.

Andrzej uściśnął mi rękę.

— Przede wszystkim muszę rozluźnić związek między Halszką a jej woskowym sobowtórem — rzekł zdejmując z palców kukły paznokcie i usuwając włosy z głowy. — Tak — teraz kontakt częściowo osłabiony.

Zebrał włosy i paznokcie do kryształowej puszkii i umieściwszy ją sobie na dłoni, zaczął drugą ręką zataczać wkoło niej koliste, współśrodkowe kręgi.

— All right! — odetchnął z ulgą po kilku minutach — otoczka gotowa. Teraz są zamknięte bezpiecznie jakby w magicznej kuli. Dostęp ze wszystkich stron odcięty.

Postawił puszkę na stole.

— Lecz to dopiero początek.

— Co zamierzasz?

— Musimy teraz stanowczo i nieodwołalnie przeciąć astralny sznur łączący kukłę z twoją narzeczoną. I tu właśnie grozi nam największe niebezpieczeństwo.

— Dlaczego nam?

— Ta lalka z wosku przepojona jest fluidami Halszki i jej rywalki; fluid pierwszej, niewinny i bierny, połączony astralną pępowiną z jej ciałem fizycznym, pozostaje wciąż pod wpływem Kamy, która wysyła w stronę kukły wicher zgubnie działających prądów. Jeżeli teraz wydzielę pierwiastki astralne parany Grodzieńskiej i każę wrócić im do ich macierzystego źródła, nastąpi miejscowe naruszenie równowagi astralnych form, do której ułożyły się od pewnego już, dłuższego czasu oba fluidy. Ponieważ wszelki ruch astralny odbywa się po linii kolistej, przeto każdy ładunek magnetyczny czy fluidyczny, który nie spotyka na

swej drodze upatrzonego celu, musi wrócić do swego punktu wyjścia. Innymi słowy astralne środowisko musi wrócić do nowego stanu równowagi zachwianej wskutek mojej interwencji.

— Z tego wynikałoby, że szkodliwe prądy idące od Kamy powinny do niej powrócić, czy nie tak?

— Naturalnie. Rozpętany wichler astralny, który jest właściwie skoncentrowaną wolą, zawsze osiąga swój skutek i nie może cofnąć się bez wywołania czyjejs śmierci. Jeżeli przedmiot ataku usunie mu się z drogi lub wyminie go w drodze, zabójczy prąd wraca do tego, kto go wysłał, i godzi weń bez litości.

— Zjawisko zdumiewające! Zatem mag ginie w tym wypadku zatruty własnym jadem?

— Tak. Jest to tzw. w magii „powrotne uderzenie”. W ten sposób nieraz spełnia się na operatorze wielkie prawo „reprobacji”, czyli magicznej „kary osądzenia”.

— Przyszło mi na myśl szczególne skojarzenie ze znaną historią z Nowego Testamentu o demonach wypędzonych z ciała opętanego w świnie.

— Przykład nader trafny, mój Jerzy. Chrystus, wyzwalający nieszczęśliwego opętańca w ten dziwny sposób, dokonał dzieła świadczącego o Jego wysokiej sile magicznej; było to potężne przerwanie prądu magnetycznego, zakażonego przez złą wolę. Znamienną przy tym jest rzeczą, że czarne siły, które opanowały ciało nieszczęśliwego, musiały przejść w inny, lubo niższy organizm. Wyparty z człowieka wir astralny wszedł w zwierzęta, które z kolei opętane przez demony, rzuciły się w morze i potonęły.

— Zatem właściwie nie nam grozi niebezpieczeństwo w razie rozerwania kontaktu z Halszką, lecz Kamie?

— Tak by należało się spodziewać, gdyby nie jedna okoliczność. Kama z wszelką pewnością wie o tym, że czarny mag, uwalniający kogoś od czaru przez siebie rzuconego, musi mieć w rezerwie drugą upatrzoną ofiarę; w przeciwnym razie prąd ugodzi w niego samego.

— Nie rozumiem. Przecież Kama nie ma chyba zamiaru wypuszczać Halszki spod swej władzy?

— Tak — lecz ja ją do tego zmuszę, przerywając więźbę magiczną między kukłą a twoją narzeczoną. Efekt będzie taki sam, jak gdyby Kama dobrowolnie oswobodziła spod czaru swą rywalkę. Tak czy owak, z pewnością przygotowała się na tę ewentualność i niewątpliwie zadzierzgnęła podwójną pętlicę. Chodzi tylko o to, komu przeznaczyła rolę ofiary „zastępczej” i kto ma wchłonąć w siebie ładunek wyzwolony z ciała Halszki?

— Teraz rozumiem. Nietrudno domyślić się: jeden z nas.

— Tak: ty lub ja... — Mam wrażenie, że cały mój dom przepojony jest zatrutym jadem tej mściwej istoty. Przeczuję, że siła jej jest olbrzymią i uderzenie będzie potężne. Lecz spróbuję je sparaliżować choć w części.

— W jaki sposób?

— Widzisz tę araukarię?... Mój ulubiony krzew — pamiątka po niej, jedyny, ostatni upominek w dzień rozstania. Jest mocna i pełna soków. Ona nas ocali. Może wytrzyma wicher trującego jadu...

Patrzyłem zdumiony, nie wiedząc, o czym myśli.

— Nie rozumiesz, Jerzy? Zanim przetnę związek z Halszką, połączę kukłę z araukarią.

— Czy się to na co przyda?

— Może choć w części. To też istota organiczna. Może przyjmie w swe zielone łono cios przeznaczony dla jednego z nas.

I wykonał ręką w powietrzu między figurką a sosną parę łukowatych, zamykających niby zwora magnetyczna, pociągnięć.

— Połączenie dokonane — rzekł opuszczając rękę. — Teraz przystąpimy do rozerwania łańcucha z Halszką.

Spojrzał mi głęboko w twarz. W siwych, bystrych oczach jego ujrzałem wtedy po raz pierwszy dwie ciche, męskie łzy...

— Jerzy! — rzekł silnie wzruszony. — A teraz na wszelki wypadek przyjdzie nam się pożegnać. Może to nasz dzień ostatni. Żegnaj mi, Jur!... Kochałem cię jak syna... Do widzenia!... na tamym brzegu!...

Rzuciłem mu się w ramiona na długą, długą chwilę. Łkanie zdławiło mi słowa...

W parę minut potem Andrzej „szukał” już kierunku, w którym rozpinał się „astralny węzeł”. Z oczyma wbitymi w przestrzeń, z wyprężonymi w przestwór ramionami krążył dookoła osi pionowej własnego ciała jak fakir zakłęty w wir tańca. Wreszcie znalazł... Stanął w miejscu jak wryty i zaczął wykonywać rękoma szczególne, zrazu dla mnie nieuchwytnie ruchy. Po pewnym czasie wyróżniłem w nich dwie linie; jedna zmierzała wyciągniętą krzywizną ku nam, druga odginała się w stronę wprost przeciwną; układ ich przypominał nader hiperbolę...

Nagle Wierusz sprężył się w sobie jak do skoku i podniósłszy dłoń prawą do góry, przeciął nią gwałtownie przestrzeń w rozstępie między niewidzialnymi liniami. Mimo woli zadrżałem...

A on, oparłszy mi ciężko rękę na ramieniu, wskazał oczyma araukarię:

— Popatrz tam!

Wtedy to w czasie krótszym od mgnienia sekundy stało się z pięknym, rozkosznym krzewem coś straszliwego. Jak pod dotknięciem ognistego wichru pustyni zmienił momentalnie barwę; miejsce soczystej zielonej rośliny zajął wazonie rudordzawy, przeżarty gorączką jej szkielet. Jeszcze przed chwilą bujne, prężne splawy opadły bezradnie ku trzonowi, poskręcały się w suche zwitki zwarzone jadem liście, wykrzywiły się w konwulsjach bólu pień i gałęzie. W oczach naszych sosna skończyła...

Lecz zanim zdołałem otrząsnąć się z przerażenia, rozległ się dookoła nas głuchy, złowieszczy łoskot. Instynktownie zwróciłem się ku Andrzejowi:

— Co to?

Twarz przyjaciela była trupio blada, oczy fosforyzowały dzikim, błędnym światłem.

— Rysują się mury mego domu — odpowiedział bezdźwięcznie.

Popatrzyłem po ścianach: Wierusz miał słuszność; na wszystkie strony od posadzki do sufitu biegły po nich, krzyżując się złowrogo, długie, rozsadzające 'mur żyły...

Uczułem, jak ręka Andrzeja wpija mi się kurczowo w ramię.

— Spójrz w tamtą stronę! — wyszeptał zbielełymi wargami. — Tam, tam, za biurkiem, w kącie, pod ścianą!...

Widzisz?!... To oni...

Wśród piekielnego łomotu rozstępujących się ścian ujrzałem w rogu pokoju na podłodze wyłaniające się nagle nagie ludzkie ciało — nie! — szkielet, okropnie wychudły, okryty żółtą jak pergamin skórą szkielet człowieka. Od szyi jego aż do stopy lewej biegła na ukos podłużna, czarno krwią podeszła pręga jak od uderzenia pioruna. W jednym miejscu, gdzie porażenie było najsilniejsze, pękła skóra na szerokość dwu palców, ukazując czarne, zwęglone doszczętnie mięso... Straszliwą musiała być siła, która przeszła przez ten łachman człowieczy...

Spojrzałem na twarz małą, wykrzywioną w okrutnym uśmiechu, z ostrą, ryżą bródką i poznałem Jastronia...

Jak przez sen zabrzmiały mi jeszcze w uszach ostatnie, westchnieniu konającego podobne słowa Andrzeja:

— Jego wybrała...

Huk, wstrząsający posadami świata, huk i łoskot zgłuszyły wszystko. Zachwiały się ściany, zakołysały stropy i z upiornym łomotem runęły w proch. W okamgnieniu willa zamieniła się w rumowisko drobnych, oślepiająco białych odruzgów. A w pośrodku startego na biały miał domu stałem ja, cudem ocalały człowiek. Przede mną o parę kroków leżały półzasypane gruzem zwłoki Jastronia, nade mną świeciło popołudniowe słońce...

— Andrzeju! — zawołałem głosem bezradnego dziecka. — Andrzeju!

I obejrzałem się wkoło, szukając przyjaciela. — Na próżno! Wierusz zniknął. Byłem sam — zupełnie sam...

Wśród blasków pastwiącego się nad pustką słońca wypełzła spod rumowia duża, złoto-czarna jaszczurka, przebiegła w poprzek ciało Jastronia i wśliznęła się z powrotem pomiędzy gruzy... Straciłem przytomność...

Epilog

Po długiej, nieskończenie długiej nocy ujrzałem nad sobą czyjaś twarz. Była znajoma mi i życzliwa. Podniosłem się i wyciągnąłem rękę. Ujęła ją dłoń ciepła i przyjacielska.

— Nie wolno się ruszać! — mówił ktoś pochylony nade mną.

— To pan, panie doktorze? — zagadnąłem przemagając ogromne znużenie, które przyciskało mi powieki żelaznymi palcami.

— Nie wolno mówić — brzmiał ten sam głos z wielkiej oddali.

Wbrew zakazowi usiadłem na łóżku. Poznałem dr. Biegańskiego.

— Gdzie jestem? Czy Wierusz wrócił?

— U siebie w domu. Pana Wierusza nie znam.

— Kto mnie tutaj przyniósł? Czy od dawna tu leżę?

— Powoli, powoli. Proszę leżeć cicho i nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Przebył pan szczęśliwie nader poważną chorobę; wszelkie wzruszenia mogłyby panu zaszkodzić.

— Którego mamy dzisiaj? — rzuciłem okrążające pytanie.

— 26 lipca.

Policzyłem dni i zrobiło mi się nieswojo.

— Więc aż cały miesiąc leżałem w malignie?

— Mniejsza o to, od kiedy i jak długo; dzięki Bogu, niebezpieczeństwo minęło.

— Co to było? Chyba zapalenie mózgu? Co?!

— Panie Jerzy — odpowiedział wymijająco lekarz — co zależy na rodzaju choroby? Nomenklatura obojętna.

— Przeszło, minęło — myślmy o chwili obecnej. Jak się pan czuje?

— Jestem straszliwie wyczerpany.

— Naturalnie. Przez parę tygodni żywiłeś się pan niemal wyłącznie kwaśnym mlekiem w dawkach minimalnych.

— Czy był tu Wierusz?

— Nie było nikogo. Przyszły tylko pocztą z początkiem lipca dwa listy; leżą tam na biurku nie rozpieczętowane.

— Dziękuję panu, doktorze! Ocaliłeś mi życie. Uścisnąłem mu rękę.

— Głupstwo. Teraz muszę odejść na parę godzin. Wieczorem zajrzę tutaj znowu. Pozwalam panu zjeść dobry rosół i kawałek białego mięsa; najlepiej coś z drobiu. Do widzenia!

Ledwo wyszedł, wyskoczyłem z łóżka.

— Listy, listy!

Drżącą ręką rozłamałem pieczęć. Pierwszy był od pani Stanisławy Grodzieńskiej z datą 28 czerwca.

Łaskawy Panie Jerzy! — pisała matka Halszki. — *Od czterech dni nastąpiło w*

chorobie Halszki szczęśliwe przesilenie; bóle ustały nagle 24 bm. w godzinach popołudniowych. Dr Biegański stwierdził, że znikła bez śladu zagadkowa przemiana krwi. Bogu Najwyższemu dzięki!... To cudowne, prawdziwie opatrnościowe ocalenie naszej dziewczynki musiało wyrzucić na niej silne i głębokie wrażenie. Zdaje się pod jego wpływem dojrzało w niej niezłomne postanowienie, by odtąd poświęcić życie wyłącznie Bogu i Jego chwale. Trzeba przyjąć to spokojnie, Panie Jerzy, i uznać jej wolę, tak jak myśmy oboje z Henrykiem ją uznali. Widocznie to jej było losem przeznaczone...

Jutro wieczorem wyjeżdżamy do północnej Francji, do Trouville nad morzem. Tam Halszka rozpocznie swój nowicjat w klasztorze panien klarysek...

Żegnaj Pana, Panie Jerzy, żegnaj jak syna. Bóg mi świadkiem, pragnęłam widzieć Was Oboje połączonych węzłem małżeńskim, pragnęłam z duszy całej pobłogosławić Wasze drogie głowy. Lecz znać sądzonym było inaczej. Przyjm z pokorą wolę Nieba i pomyśl, że może od Twego wyrzeczenia się zawisło jej życie...

Szczerze życzliwa

Stanisława Grodzieńska

Jak piorunem rażony siedziałem długo, wpatrując się bezmyślnie w pismo. W głowie huczało mi nieznośnie, gardło ścisnęły niewidzialne kleszcze. Machinalnie opuściwszy wzrok na adres listu drugiego, poznałem jej rękę. Błysk nieuzasadnionej nadziei rozdarł mrok rozpacz. Otworzyłem kopertę. Z wnętrza wypadły dwa arkusiki papieru: jeden, pisany ręką Halszki, zawierał tylko te trzy słowa: „Przebaczam Panu. — Helena” — drugim był jeden z listów pisanych przeze mnie do Kamy: namiętny, pełen uwielbienia i szału.

Wzdrygnąłem się jak pod ukąszeniem węża. Straszliwa zemsta kochanki dosięgła mię w samo serce... Ból ostry przeszył mię na, wskroś i pogrążył w odrętwienie. Głucha rozpacz zaległa martwością domu i tłukła się bezsilna po ścianach. Jakiś biedny, słaby człowiek tarzał się w podrzutach katuszy i gryzł palce w nieludzkim cierpieniu. Biedny, marny człowiek...

Jęk mię obudził żałosny, przeciągły jak wycie wichury. Tępy, automatycznym krokiem wywlokłem się z mieszkania...

Po drodze mijałem jakieś domy, ulice, spotykałem jakichś ludzi, odpowiadałem na czyjś ukłon. Ktoś mię raz zaczepił i mówił coś do mnie żywo i wśród gestów, nie pamiętam co. Na rogu którejś z przecznic ktoś inny potrącił mię w pędzie, omal nie obalił na bruk. Nie wziąłem mu tego za złe. Zatoczyłem się tylko jak pijany i poszedłem dalej...

Gdzieś już pod zachód zadzwoniłem do bramy znanego mi domu. Wyszedł służa stary, w ciemnowiśniowej liberii.

— Państwo w domu? — rzucam śmieszne pytanie.

— Wyjechali za granicę.

— Na długo?

— Nie wiem, proszę pana...

Brama zamknęła się z powrotem. Kalwaria włóczęgi bez celu rozpoczęła się od nowa. Znalazłem się wreszcie na Parkowej.

— Numer 6! — powtarza mi wciąż głos czyjś uparty. — Numer 6!

Jest, jest! Widnieje z daleka biała tabliczka z czarną szóstką na czole furtki. Bo tylko furtka została — żelazna furtka i siatka z zielonego drutu. He, he, he! Siatka otaczająca starannie, z pedanterią godną lepszej sprawy, czworobok z rumowia! Co?!... Jest i taster od dzwonka?... Czemuż by nie? Ocalał guzik i część drutu rozpiętego na parkanie.

Podnoszę palec i naciskam kontakt.

— Halo! Andrzeju, jesteś w domu?... O ironio! O mocy przyzwyczajenia!

Wchodzę w obręb siatki; przemierzam jak lunatyk mały wirydarz, zasypywany w części odmiotami gruzu, i staję w samym sercu ruiny. Jest zachód i czerwony uśmiech słońca krwawi się na strzyży z wapna, tynku i cegieł. Ani śladu choćby jednej ściany, choćby ułamka muru, choćby wspomnienia zrębu. Wszystko na proch starte, na biały, sypki, chrzęszczący pod stopą miał... Co za pustka!...

Słyszę głos swój chrapliwy, zmieniony, obcy:

— Andrzeju! Andrzeju!

Z sąsiedniej willi wychyla się z okna nad granicznym parkanem głowa jakiejś kobiety.

— Kogo pan szuka?

— Czy pan Andrzej Wierusz wyjechał?

— Nie znam tego pana.

— Jak to? Sąsiad pani najbliższy, były właściciel tego domu. I ruchem ręki wskazuję ruiny.

— Nazwisko mi zupełnie nie znane. Właścicielem był inżynier Rudzki, który zginął pogrzebany pod gruzami tej willi jeszcze przed 10 laty.

— A potem? Kto odbudował dom ten potem?

— Nikt.. Od 10 lat miejsce leży odłogiem.

— To szaleństwo! Tutaj jeszcze przed miesiącem stał dom! Katastrofa nastąpiła 24 czerwca!

Kobieta uśmiecha się i patrzy na mnie w szczególny sposób.

— Pan uległ zapewne pomyłce. Może to przy innej ulicy. Te ruiny istnieją tu od 10 lat... — Uśmiecha się raz jeszcze i znika w głębi mieszkania. W głowie odczuwam nagły ból, na oczy kładzie mi się czarny, nieprzenikniony całun...

— Więc czym byłem ja od roku? Kim był Wierusz? Kim Kama?...

A może to wszystko jest snem tylko, złym, trującym czadem swych wyziewów snem?...

Nie! Nie!... Tu, na piersiach, mam jej list, jej pożegnalny list, streszczający się w trzech okrutnych słowach! To rzeczywistość, to straszliwa w swej prostocie

rzeczywistość!...

Z królestwa zmory, z mrocznych snu krużganków wyniosłem na światło dnia tę
jedną, tę jedyną pamiątkę...

Jesienią i zimą r. 1922.

Zielone Świątki

Parafraza

Była godzina dziesiąta nad ranem, w pięćdziesiąty dzień po święcie Paschy – czas pogodny, słoneczny. Od Góry Oliwnej spływały w podmuchach porannego wiatru zapachy rozkwieconych drzew i biły w miasto upojną falą z głębin doliny Cedronu. Nad szczytami domów unosiła się lekka zasłona z mgły, rozpylana od czasu do czasu pod silniejszym powiewem wiatru w złotordzawy kurz....

Zbudzona ze snu Jerozolima szemrała porannym gwarem. Tłumy pobożnych, którzy przywędrowali do miasta na święto Pięćdziesiątnicy ze wszystkich stron świata, gromadziły się już rojnie koło chramu Salomona. W zgiełku głosów mieszały się beładnie narzecza z odległej krainy Partów i Medów, przeciągłospiewna mowa Elamitów i synów Mezopotamii, gwara Żydów miejscowych i z okolic Judei. Wśród tłumów wiernych przesuwwały się tęczową wstęgą kolorowe szaty pątników z Kapadocji i Pontu, białe turbany Arabów, powiewne płaszcze dzieci Sahary, Libii i Egiptu.

Od czasu do czasu morze głów rozpadało się na dwie kotłujące połowy, by środkiem przepuścić setnię legionistów, zstępującą w pełnym marszu od strony Nowego Miasta, lub oddział jeźdźców z prefektem w drodze ku Wieży Stratona. Potem znów obie pienieje zwierzały się w jeden pstrokaty kłęb, co szumiał szmerem świątlnych modłów, porannych pozdrowień, prośbami wędrownych żebraków...

Zewsząd ciągnęły ku świętemu miastu tysiące pielgrzymów: cesarskim traktem od Sychem, Cezarei i Liddy z północy, gościńcem do Gazy z zachodu, drogą do Betlejem i Morza Martwego z południa. Centurionowie i naczelnicy straży przy bramach mieli dnia tego pracę nader uciążliwą, tym bardziej, że namiestnik przykazał surowo przestrzegać porządku i nie wpuszczać w obręb murów podejrzanych włóczęgów.

Zwłaszcza koło bramy zwanej Porta Antonia w północno-wschodniej części miasta natłok panował okropny. Bliskość cudownej sadzawki Betsaidy o pięciu krużgankach była tego przyczyną. Tysiące chromych, ślepych i porażonych dusiło się wkoło, czekając na swą kolej.

W czasie bowiem święta zstępował do sadzawki Anioł Pański i burzyła się woda; kto zaś po jej poruszeniu zanurzył się i obmył schorzałe ciało, wychodził krzepki i zdrowy, choćby i ciężką był nawiedzony chorobą. Przeto cisnęli się tu ludzie najwięcej, hałasem okrutnym napełniając miejsce...

W jednym z zaułków Górnego Miasta, na zachód od pałacu arcykapłana Kajfasza stał budynek niepokazny z wyglądu, obwiedziony starym, zwietrzałym już murem; duże palmy figowe u wejścia niby wierne czaty pieściły zielenią spławów

przydaszki murowe.

Był to domek Marii, matki Marka, stryjecznego Barnaby. Tu był wieczernik uczniów Jezusa z Nazaretu, ukrzyżowanego na Górze Stracenia dni temu 53.

Tu schronili się w trwodze przed Żydami po Jego pogrzebie, tu spędzali długie godziny na modlitwie i krzepieniu serc, gdy Mistrza nie stało, gdy odszedł od nich, pozostawiając samych w bólu i żałobie bez miary.

I dziś zgromadzili się potajemnie, by naradzić się pospołu nad tym, co czynić i dokąd zwrócić umęczone pościęciem stopy.

Bo wieści, jakie przyniósł z miasta Nikodem, członek Sanhedrynu, zaniepokoiły wielce, zwłaszcza trwożliwych z natury. Starsi bowiem z żydowskiej Rady, bojąc się kary za ukrzyżowanie Mistrza, rozsiewali oszczercze pogłoski o Jego uczniach i apostołach, odgrażając się, że wytepią wszystkich mocą swej zwierzchniej władzy lub oczernią przed rządem cesarskim jako buntowników i wrogów rzymskiego imperium.

Więc struchleli co słabsi i z trwogą garnęli się pod skrzydła Piotra niby pisklęta po schron, opiekę, pociechę...

Przy bramie w murze, u wejścia, stało dwóch strażników i nie wpuszczało nikogo do wnętrza, jeśli nie wykazał się znaczkiem tesserą zwanym. Na dziedzińcu przed domem odmawiało kilku wiernych poranne modlitwy, inni, którzy już pokrzepili dusze rozmową z Panem, gwarzyli przyciszonym głosem lub spoglądali w górę ku oknom wierzchniego piętra, gdzie w wieczorniku obradowali apostołowie.

A był z nimi i Józef z Arymatei, ten sam, co się o grób dla Pana wystarał i wyprosił u Piłata pozwolenie na pogrzeb, i Natanael z Kany galilejskiej Bartłojem przez uczniów przewany, i Maria Kleofasowa, matka Jakuba i Józefa, kilka innych pobożnych niewiast, co były przy zgonie Jezusa. A wszystkich razem w świetlicy wraz z tymi, co stali na podwórzu lub czekali w sieni domu, było ludzi stu i dwudziestu, uczniowie sami i wierni wyznawcy Chrystusa...

W przestronnej, wapnem na biało pociągniętej izbie, stał stół długi i szeroki zasłany lnianym obrusem, a wkoło niego 13 siedlisch. Jedno z nich pośrodku było puste. Tam dni temu 53 zasiadł Mistrz ukochany, by po raz ostatni spożyć z uczniami wieczerzę. Odtąd miejsce to stało pustką. Nie śmiał go nikt zająć po Nim; ani sam Piotr nawet, pierwszy z apostołów...

Dziś w wieczorniku panowało dziwne milczenie; siedzieli zadumani jacyś i pełni szczególnych przeczuć.

Aż Szymon, Piotrem zwany, spostrzegłszy ich zamyślane twarze, przerwał ciszę.

– Bracia moi, cóżeście tak smutni i stroskani? Zaprawdę radować się nam, nie smucić przystoi. Wszakże zmartwychwstał Pan, jako przyrzekł, dnia trzeciego i wstąpił w chwałę Ojca Swego. Lecz widzę, że są tu spośród was jeszcze ludzie

słabego ducha i małej wiary, co wątpiąc w prawdę słów Jego, potrząsają głowami. „Zaprawdę, zaprawdę” - powiedział Pan - „stokroć szczęśliwsi ci, co nie widzieli a wierzą”.

I zawstydzony się niektórzy z obecnych i nabrawszy ducha, zaczęli pogodniej spoglądać na siebie. Aż jeden z uczniów, imieniem Kleofas, wystąpił z gromady i głosem pełnym radości jął opowiadać, jako wraz z drugim towarzyszem spotkał Jezusa zmartwychwstałego w drodze do Emmaus. I podniósł bardzo swą opowieścią upadłe już serca, bo gwar się wnet uczynił w świetlicy radosny, gdy zaczęli przypominać i dalsze zjawienie się Pana.

Więc świadczyli Andrzej i Mateusz, także Filip i Bartłomiej, i inni z apostołów, jako tegoż wieczora przez zamknięte drzwi wszedł Pan do świetlicy i pozdrowił strapionych i smutnych słowem pokoju. I Tomasz niewierny, teraz żarliwie przytwierdzał, jako osiem dni potem wkładał sam rękę w bok Mistrza i palec w blizny dłoni Jego. I znów po raz czwarty ujrzeli Go nad brzegiem Genezaretu, gdy usiadłszy do łodzi samoczwart z Szymonem, zarzucać mieli więcierze. W końcu ze smutkiem, ale i z otuchą lepszego jutra przywiedli na pamięć przedziwną chwilę na Górze Oliwnej, gdzie po raz ostatni zjawił się Mistrz w blasku nadziemskiej Swej chwały i odszedł w zaświaty ze słodką obietnicą na ustach:

– Nie opuszczę Was sierotami, lecz innego wam pošlę Ducha prawdy, Parakleta, by pozostał z wami do skończenia wieków.

Przeto podnieśli głowy i pokrzepieni na sercach oczekiwali na coś wielkiego. Jakiś nowy duch wstąpił w nich i rozniecił ogień zapału i wiary. Nawet i ci najślabsi, co uchodzić już chcieli z Jerozolimy przed zemstą żydów, teraz wstydzili się przed sobą i drugimi, postanawiając czekać na znak od Pana.

Szymon gorliwiec i Jan Zebedeuszowy zanucili pieśń cichą a słodką, jak smutek budzącej się wiosny, tę samą, co ją śpiewali wraz z Mistrzem po ostatniej wieczerzy. Za ich przewodem poszli i inni i rozbrzmiała świetlica chórem głosów jasnych i czystych.

Szedł z wieczornika ten śpiew na miasto i rozlegał się echem przedziwnie wzmocnionym pomiędzy domami, że przystawali na ulicach przechodnie i rozglądając się zdumieni wkoło, pytali:

– Cóż to za pieśń słodka i smętna zarazem?

I nasyciwszy uszy, odchodzili, kiwając głowami.

Nagle Galilejczycy umilkli. Po twarzach rozlała się błoga cisza pogody i podnieśli w niebo oczy pełne nadziemskiego szczęścia i mocnej, wyczekującej spełnień nadziei. I była długa chwila głębokiej ciszy. Zdawało się, że świat cały zamilkł na mgnienie czasu i przytalił oddech...

Wtem rozległ się szum ogromny jakby zrywającego się wichru i napełnił dom cały. Lica apostołów pojaśniały dziwnym blaskiem, oczy wypatrywały coś w dali zaświatowej, gdy Boży wiatr łopotał w ich szatach i wicherzył włosy na głowach. I

wtedy pojawiły się w wieczerniku ogniste języki i czerwonym różańcem spoczęły po jednym nad każdym z nich z osobna. Wszystkich też spłonieniał Duch Boży, że pełni świętego żaru i gorliwości wyszli z domu na ulice miasta i zaczęli przemawiać do tłumu rozmaitymi językami...

A byli wtedy w Jerozolimie wyznawcy zakonu Mojżesza z wszelakich szczepów i narodów pod niebem, którzy przyszedłszy tu ze wszystkich stron świata na Święto Paschy, wciąż jeszcze przebywali w mieście. Ci tedy zarówno, jak i inni obcy i zamieszkali, posłyszawszy wrzawę nagle powstałą wśród ludu, zbiegli się wielką rzeszą i osłupieli z podziwu, gdyż każdy słyszał apostołów mówiących w ich własnym języku. Więc zdumieni patrzyli jedni na drugich i pytali:

– Zali ci ludzie podobni natchnionym prorokom lub opętanym przez duchy szaleńcom nie są Galilejczykami?

– Jakże więc to się dzieje, że każdy z nas słyszy własny swój język i mowę, do której przywykł od dziecka?

A byli wśród tłumu i brunatni od słońca mieszkańcy ziemi libijskich niedaleko Cyrery, dzielni synowie Frygii i Pamfilii, niebieskoocy wyspiarze kreteńscy i Medowie o ciemno-oliwkowej barwie skóry.

Wszyscy ci acz językami i mową różni, rozumieli mówiących do rzesz dwunastu dziwnych mężów. I jedni dziwili się, z czcią kłoniąc głowy jako przed ludźmi świętymi – inni zaś o umysłach miękich i przyciemnych naśmiewali się, mówiąc:

– Ci się moszczem popili.

Słyszając te słowa obelżywe, Piotr podniósł głos swój i przemówił:

– Mężowie Judei i mieszkańcy Jerozolimy! Zaprawdę powiadam, nie są ci pijani, jako wy sądźcie, ile że dopiero trzecia godzina dnia; ale tu się iszczą słowa proroka Joela, który przepowiedział obietnicę Pana: „W dzień spełnień wyleję Ducha Mego na wszelkie ciało i będą prorokowali”. - Mężowie izraelscy! Rękoma bezbożnych ukrzyżowaliście i zgładzili Jezusa z Nazaretu. Tego Jezusa Bóg wskrzesił, czego świadkami jesteśmy. I tak prawicą Bożą podwyższony spełnił obietnicą nam daną i wylał Ducha Świętego, którego widzicie i słyszycie. Przeto wiedźcie o tym każdy niechybnie, że ów Jezus, którego ukrzyżowaliśmy, postawion jest przez Boga Panem naszym i Mesjaszem.

Co usłyszawszy, rzesze zlekły się wielce i pytać zaczęły apostołów, co im czynić należy. Wtedy Piotr przykazał im czynić pokutę i przyjąć chrzest.

– Ratujcie się bracia – mówił w słowach prostych jak zwykle a mocnych – ratujcie się spośród tego przewrotnego plemienia!

I nawróciło się dnia owego około trzy tysiące dusz.



STEFAN GRABIŃSKI

**SAD UMARŁYCH
I INNE OPOWIADANIA**